

Candace Camp

Szkoła zalotów

Rozdział pierwszy

Nikt nie odgadłby ze sposobu, w jaki lady Francesca Haughston przemieszczała się w sali balowej Whittingtonów, że oto wykonuje pierwsze posunięcia nowej kampanii. Jak zwykle płynnie przechodziła od grupki do grupki, przystając tu i ówdzie, by wypowiedzieć komplement pod adresem sukni jakiejś damy lub chwilę poplirtować z adoratorem, których miała tu wielu.

Rozsyłała uśmiechy i zręcznie manipulowała wachlarzem, grając rolę eterycznej zjawy w jasnyniebieskich jedwabkach, a z wysoko upiętego koczka spływały jej na wszystkie strony kaskady loczków. Tymczasem jednak dyskretnie rozglądała się za wybraną ofiarą.

Minął prawie miesiąc, odkąd przysięgła sobie, że znajdzie żonę dla księcia Rochforda, a tego wieczoru zamierzała wreszcie rozpocząć realizację tego planu. Wcześniej poczyniła niezbędne przygotowania. Przyjrzała się młodym, niezamężnym damom z towarzystwa i po zebraniu informacji oraz starannym namyśle zdołała ograniczyć liczbę potencjalnych kandydatek do trzech, które jej zdaniem były odpowiednie dla Sinclaira.

Była pewna, że wszystkie trzy młode damy zaszczytą to zgromadzenie swoją obecnością. Bal u Whittingtonów stanowił jeden ze szczytowych punktów sezonu i oprócz naprawdę poważnej choroby nic nie odwiodłoby panny na wydaniu od wzięcia w nim udziału. Co więcej, istniały duże szanse, że i książę pojawi się wśród gości, a to znaczyło, że Francesca może zainicjować intrygę. Wiedziała, że i tak bierze się do tego zbyt późno. Nie potrzebowała przecież

pełnych trzech tygodni, aby wybrać potencjalne narzeczone dla Rochforda. Panien, które nadawały się do roli księżnej, było doprawdy niewiele.

Tak się jednak złożyło, że od czasu ślubu i wesela Callie, siostry księcia, Francesca trwała pogrążona w nietypowym dla niej nastroju. Nie chciało jej się składać wizyt, uczestniczyć w przyjęciach ani chodzić do teatru. Nawet zaufany przyjaciel, sir Lucien, zwrócił uwagę na zupełnie niezwykle dla niej upodobanie do pozostawania w domu.

Francesca sama nie była pewna przyczyny tego stanu. Wszystko nagle wydało jej się nudne i właściwie niewarte zachodu. Musiała przyznać, że poddaje się melancholii, a był to zapewne skutek gwałtownej zmiany. Dopóki wybierała męża dla Callie, dopóty podopieczna mieszkała w jej domu, ale odkąd szczęśliwa męczatka się wyprowadziła, zapanowała tu pustka. Brakowało dźwięku jej radosnego głosu i widoku ujmującego i serdecznego uśmiechu.

Mimo wszystko Francesca czuła się w obowiązku naprawić zło, jakie wyrządziła bratu Callie, Sinclairowi, przed piętnastoma laty. Naturalnie nie sposób było wszystko poukładać, ale mogła przynajmniej wyświadczyć przysługę księciu, znajdując mu odpowiednią żonę. Jej talenty matrymonialne i szczęśliwa ręka do kojarzenia par były znane w towarzystwie. Mimo minorowego nastroju przyszła więc na bal tego wieczoru, aby rozpocząć w imieniu księcia subtelną grę zalotów.

W dalszym ciągu przesuwała się po obwodzie olbrzymiej biało-złotej sali z dębowymi parkietami w odcieniu miodu, rozświetlonej trzema mieniącymi się tysiącami świateł kandelabrami. Dodatkowo paliły się grube woskowe świece w złotych lichtarzach, a biało-złote kinkiety zdobiły ściany. Cały ten blask tonowały nieco wielkie wazony pełne krwistoczerwonych róż i piwonii.

Kwiatami udekorowano również balustradę majestatycznych schodów prowadzących na piętro. Sala imponowała więc elegancją godną pałacu i krążyły nawet pogłoski, że to właśnie ona skłoniła lady Whittington do

pozostania w tej olbrzymiej i wiekowej już rezydencji usytuowanej niefortunnie poza granicami modnego obecnie Mayfair.

Francesca, zręcznie pokonując ludzką ciżbę, dotarła do schodów z nadzieją, że zajęcie stanowiska przy balustradzie na piętrze pomoże jej zlokalizować młode damy, które musiała odszukać w sali balowej. Wspinając się, pomyślała, że wybór balu u Whittingtonów na początek kampanii był jedynym słusznym posunięciem. Bądź co bądź, dokładnie w tym samym miejscu skończyła przed piętnastoma laty z księciem Rochfordem. To właśnie tutaj jej świat obrócił się w gruzy.

Tamtego wieczoru wszystkie kwiaty były białe. Olbrzymie bukiety róż, piwonii, kamelii i słodko pachnących gardenii ożywianych zielenią wystającą z wielkich wazonów. To był wieczór jej oszałamiającego sukcesu. Zaledwie kilka tygodni wcześniej debiutowała, bezdyskusyjnie jednak zdobyła status królowej sezonu. Mężczyźni ciągnęli do niej jak ćmy do światła, flirtowali, zapraszali do tańca, składali ekstrawaganckie deklaracje miłości i prawili kwieciste komplementy. Tymczasem ona przez cały czas żyła ze swoją tajemnicą, radośnie przejęta oczekiwaniem i rozwijającą się miłością... dopóki lokaj nie wsunął jej w dłoń liściku.

Tymczasem doszła na piętro i zajęła wybrany punkt obserwacyjny. Znad balustrady spojrzała na wirujących tancerzy. Sytuacja bardzo przypominała tę sprzed lat. Suknie były naturalnie inne, zmieniły się kolory ścian i dekoracje, ale blask, podniecenie, nadzieje i intrygi były takie same. Francesca wodziła wzrokiem po ludziach, lecz tak naprawdę widziała tylko przeszłość.

- Smutno na balu? - rozległ się tuż obok znajomy głos.

Odwróciła się i ujrzała jasnowłosą kobietę.

- O, Irene. Jak miło cię zobaczyć.

Lady Irene Radbourne była damą zwracającą uwagę. Natura szczerze wyposażyła ją w gęste, kręcące się jasne włosy i niezwykle złociste oczy. W wieku dwudziestu siedmiu lat miała status starej panny, a co więcej była

zdecydowana go zachować i wytrwała w swym postanowieniu aż do ubiegłej jesieni, kiedy Francesca, szukając odpowiedniej żony dla hrabiego Radbourne'a, uświadomiła sobie, że Irene idealnie nadaje się do tej roli. Ponieważ obie przez całe życie obracały się w zbliżonych kręgach, Francesca od lat dobrze znała bezceremonialną, pewną swoich opinii lady Irene, ale zaprzyjaźniły się dopiero wtedy, gdy spędziły razem dwa tygodnie w Radbourne. Teraz Francesca zaliczała Irene do najlepszych przyjaciółek.

- Czyżby nowa trzódka panien na wydaniu sprawiła ci głęboki zawód? - spytała Irene, wodząc wzrokiem po barwnym tłumie zgromadzonym na dole.

Francesca wzruszyła ramionami. Chociaż obie elegancko uciekały się do przemilczeń, Irene prawdopodobnie domyślała się, że wysiłki swatki były w większym stopniu metodą na przeżycie niż zabawą.

- Prawdę mówiąc, nie poświęciłam im dotąd wiele uwagi. Obawiam się, że od czasu ślubu Callie popadłam w rozleniwienie.

- Coś cię gryzie, prawda? - bystro spytała Irene. - Czy mogę jakoś pomóc?

Francesca pokręciła głową.

- To naprawdę nic wielkiego. Po prostu trochę zaczęłam wspominać... to już było tak dawno. Całkiem inny bal właśnie w tym miejscu. - Zmusiła się do uśmiechu, a na jej policzku ukazał się dołeczek. - Gdzie się podziewa hrabia Gideon?

W ciągu ostatniego pół roku, odkąd się pobrali, rzadko widywało się lady Irene bez męża. Oboje pasowali do siebie nawet lepiej, niż zdawało się Francesce. Wyglądało na to, że z każdym mijającym dniem ich miłość się pogłębiała.

- Zaraz kiedy weszliśmy, uprowadziła go cioteczna babka - wyjaśniła ze śmiechem Irene.

- Lady Odelia? - upewniła się Francesca. - Wielki Boże, co ona tu robi? - Rozejrzała się dookoła, tknięta najgorszym przeczuciem.

- Tu jesteśmy bezpieczne - uspokoiła ją Irene. - Schody wydają się przekraczać jej możliwości. Między innymi właśnie dlatego uciekłam na galerię, gdy tylko wyszłam z garderoby i przekonałam się, że ma w swych szponach Gideona.

- I zostawiłaś go na łasce losu? - spytała rozbawiona Francesca. - Wstyd, hrabino Radbourne. Jak to się ma do treści ślubów małżeńskich?

- Nie było żadnej wzmianki o ciotce Odellii, możesz mi wierzyć. Wprawdzie miałam trochę wyrzutów sumienia, ale pocieszam się, że Gideon jest silnym człowiekiem, u wielu budzącym lęk.

- Nawet najsilniejsi rejterują przed lady Odelią. Pamiętam, że sam Rochford wyszedł raz tylnymi drzwiami prosto do stajni, kiedy zauważył na podjeździe jej powóz. Co gorsza, zostawił mnie z matką i jego babką, abyśmy stawiły czoło temu kataklizmowi.

- Potrafię to sobie wyobrazić - odparła ze śmiechem Irene. - Muszę mu to wytknąć, kiedy się spotkamy.

- A jak się ma książę? - spytała Francesca, odwracając wzrok. - Widziałaś go ostatnio?

- Jakiś tydzień temu. Byliśmy razem w teatrze. - Irene przyjrzała jej się z uwagą. - Od pewnego czasu są z Gideonem nie tylko kuzynami, lecz również przyjaciółmi. Nie wątpię jednak, że i ty widzisz Rochforda.

- Od ślubu siostry Rochforda, Callie, raczej rzadko. W istocie przyjaźniłam się przecież z nią.

Prawdę mówiąc, od tamtej pory Francesca bardzo starannie unikała księcia. Czuliła się winna, a ilekroć go widziała, wyrzuty sumienia ogarniały ją ze zwiększoną siłą. Dobrze wiedziała, że powinna mu powiedzieć, co odkryła, i przeprosić go za swoje zachowanie. Uniki były z jej strony tchórzostwem.

Nie potrafiła jednak zdobyć się na nic więcej. Wszystko się w niej burzyło na samą myśl, że mogłaby wyznać błąd i poprosić o wybaczenie. Przynajmniej po tylu latach osiągnęli stan względnej równowagi. Pewnie trudno byłoby nazwać to przyjaźnią, ale nie tak wiele do niej brakowało. Gdyby odważyła się na wyznanie, mogłaby sprowokować wybuch gniewu Rochforda.

W rezultacie starała się, by ich drogi się nie krzyżowały. Ilekroć sądziła, że może spotkać Rochforda na wieczorku czy balu, po prostu zostawała w domu. Jeśli zaś już się stało, że przyszli w to samo miejsce, uważała, by się do niego nie zbliżać. A jeśli mimo wszystko los zetknął ich twarzą w twarz, co zdarzyło się chyba dwa razy, czuła się bardzo skrępowana, więc korzystała z pierwszej okazji do ucieczki.

To naturalnie musiało się skończyć, jeśli chciała znaleźć księciu żonę. Trzymając się z dala od niego, nie byłaby przecież w stanie zaaranżować spotkania z żadną potencjalną narzeczoną.

- Callie powiedziała mi, że Rochford nieelegancko się wobec ciebie zachował - zaczęła ostrożnie Irene.

- Nielegancko? - Francesca spojrzała na przyjaciółkę zaskoczona. - A co on takiego zrobił?

- Nie wiem - przyznała Irene. - Odniosłam wrażenie, że miało to coś wspólnego z zalotami hrabiego Bromwella do Callie.

- Ach, o tym mówisz. - Francesca skwitowała domysł pstryknięciem palcami. - Księżę miał powód do niepokoju, ale... I tak nie mogłam nic na to poradzić, odkąd się w sobie zakochali, co Rochford w końcu zrozumiał. Nie jestem taka delikatna, żeby ostra odprawa zrobiła na mnie wrażenie.

Francesca znów skierowała wzrok na tańczących, a Irene poszła za jej przykładem.

- Kogo szukasz? - spytała po chwili.

- Słucham? Och, nikogo szczególnego.

- Hm, to chyba nie wyjaśnia twojej gorliwości w poszukiwaniach.

Francesce trudno było coś ukryć przed Irene, której wyjątkowa bezpośredniość zdawała się zachęcać do wzajemności.

- Miałam nadzieję spotkać tu dzisiaj lady Altheę Robart - wyznała po krótkim wahaniu Francesca.

- Altheę? - zdziwiła się Irene. - Po co?

- Nie lubisz jej?

- To zbyt mocno powiedziane. Po prostu wolałabym nie przebywać w jej towarzystwie. Za bardzo zadziera nosa jak na mój gust.

Francesca skinęła głową. Wspomniana młoda dama rzeczywiście grzeszyła pewną sztywnością, ale niewielka doza pychy niekoniecznie była wadą u kandydatki na księżnę.

- Nie znam jej dobrze.

- Ja też nie - przyznała Irene.

- A Damaris Burke?

- Córkę lorda Burke'a? - upewniła się lekko zdumiona Irene. - Tego dyplomaty?

- Właśnie jego.

Irene się zamyśliła.

- Trudno mi wydać opinię - stwierdziła po chwili. - Nigdy nie obracałam się w kręgach rządowych.

- Mnie ona wydaje się całkiem przyjemna.

- Ma ogładę - zauważyła Irene. - To zresztą nic dziwnego u kobiety, która wydaje przyjęcia dla dyplomatów. - Zerknęła na przyjaciółkę z niemalym zainteresowaniem. - Dlaczego o nie pytasz? Nie powiesz mi chyba, że zwróciły się do ciebie, abyś znalazła im mężów?

- Nie - odparła szybko Francesca. - Po prostu... chciałam się o nich czegoś więcej dowiedzieć.

- Aha, więc to dżentelmen zwrócił się do i ciebie - domyśliła się Irene.

- Niezupełnie. Te rozważania prowadzę na własną rękę.

- Dopiero teraz naprawdę rozbudziłaś moją ciekawość. Swatasz kogoś, kto nawet cię o to nie poprosił? Czy znowu założyłaś się z księciem?

Francesca wyraźnie się zaczerwieniła.

- Nic podobnego. Pomyślałam... Kiedyś wyrzuciłam komuś krzywdę i szukam sposobu, żeby to wynagrodzić.

- Znajdując mu żonę? - Irene wydawała się mocno zdziwiona. - Znam sporo mężczyzn, którzy nie podziękowałiby ci za taką przysługę. O kim mówimy?

Co odpowiedzieć? - zadała sobie w duchu pytanie Francesca. Ze wszystkich przyjaciółek Irene wiedziała o niej najwięcej; jej ojciec w dawnych czasach przyjaźnił się z mężem Franceski. Przyjaciółka z pewnością domyślała się, jak bardzo nieudane było to małżeństwo, chociaż Francesca nie wspomniała o mężu ani razu. Do tej pory nikomu nie powiedziała też ani słowa o tym, co przed laty zaszło między nią a Rochfordem, nagle jednak wbrew rozsądkowi, odczuła przemożną chęć, by się zwierzyć.

- Czy to on jest powodem twojej melancholii? - zagadnęła Irene.

- Melancholię przypisywałabym raczej zbliżającym się nieubłaganie kolejnym urodzinom - odparła żartobliwie Francesca, ale westchnienie dowodziło, że się poddała. - Częściowo zawiniło również to, że go uraziłam, chociaż wcale na to nie zasługiwał. Jest mi z tego powodu bardzo przykro.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabyś zrobić coś nagannego - odrzekła Irene, marszcząc czoło.

- On pewnie byłby innego zdania. - Francesca spojrzała w pełne współczucia oczy przyjaciółki. - Pamiętaj, nikt nie może o tym wiedzieć, nawet hrabia Gideon, bo on zna tego człowieka.

Irene zrobiła domyślną minę i Francesca zrozumiała, że przyjaciółka już wie.

- Księżę? - spytała. - Mówisz o Rochfordzie?

- Tak, to on, ale obiecaj mi, że nikomu nie powiesz.

- Będę milczeć jak grób nawet przed Gideonem, ale jednego nie rozumiem. Rochford jest twoim przyjacielem. Co to za wielka krzywda, którą miałaś mu wyrządzić?

Francesca wciąż się wahała. Ta historia bardzo ciążyła jej na sercu mimo czasu, jaki od niej upłynął.

- Zerwałam nasze zaręczyny.

- Wiedziałam, że was coś łączy! Nie byłam tylko pewna, w czym rzecz. Nie rozumiem jednak, dlaczego nigdy o tym nie słyszałam. Taki skandal musiał odbić się głośnym echem.

- Nie. - Francesca pokręciła głową. - Zaręczyliśmy się potajemnie, więc i skandalu nie było.

- Potajemnie? Do księcia to mi nie bardzo pasuje.

- Och, nie było w tym niczego niestosownego - zapewniła ją Francesca. - Rochford zawsze pedantycznie przestrzegał zasad. Powiedział, że nie chce wiązać mi rąk oświadczynami w czasie mojego pierwszego sezonu. To się zdarzyło latem tego roku, kiedy debiutowałam. Księżę liczył się z tym, że po sezonie moje nastawienie może się zmienić. Co do mnie, byłam pewna, że tak się nie stanie, ale znasz Rochforda. On musi przewidzieć wszystkie ewentualności. Bez wątplenia nie ufał też stałości moich uczuć.

- Byłaś młoda - przyznała Irene.

Francesca wzruszyła ramionami.

- Tak. W dodatku nie grzeszyłam przesadną powagą i nigdy grzeszyć nie będę. - Pięknie uśmiechnęła się do towarzyski. - On porównywał mnie do motyla.

- Czyli nie pasowaliście do siebie.

- Nie w tym rzecz. Wydaje mi się, że Rochford był całkiem zadowolony, a przynajmniej nie wyrażał niezadowolenia. A ja... - Zamilkła na moment, a na jej wargach zamajaczył rozmarzony uśmiech. - Ja byłam w nim zakochana do szaleństwa uczuciem, na jakie może się zdobyć tylko osiemnastoletnia panna.

- Co się wobec tego stało? - spytała Irene.

- Daphne - odparła ponuro Francesca.

- Daphne?! Lady Swithington? - Irene nie posiadała się ze zdumienia. -
Siostra hrabiego Bromwella?

- Tak. - Francesca skinęła głową. - To ona posiała niesnaski między księciem a Bromem i właśnie dlatego Rochford potem tak zdecydowanie sprzeciwiał się małżeństwu Broma z Callie. Nie ja jedna nabrałam się na kłamstwa Daphne. Jej brat też sądził, że Daphne i książę mieli romans.

- Co ty mówisz! - Irene krzepiąco położyła jej rękę na ramieniu. - Myślałaś, że ona jest jego kochanką?

- Początkowo nie. Wprawdzie sama jednoznacznie mi to powiedziała, ale jej nie uwierzyłam. Znałam Rochforda, a przynajmniej zdawało mi się, że go znam. Wiedziałam, że on mnie nie kocha tak jak ja jego, ale uważałam, że jest zanadto honorowy, aby ożenić się z jedną kobietą, a drugą utrzymywać jako kochankę. Tymczasem pewnego wieczoru właśnie w tym domu przekonałam się, że jestem w błędzie. Akurat schodziłam z parkietu, kiedy lokaj podał mi bilecik. Ktoś napisał, żebym przyszła zaraz do oranżerii, jeśli chcę zobaczyć coś ciekawego.

- Och.

- Właśnie. Myślałam, że napisał do mnie książę, bo przygotował dla mnie jakąś niespodziankę, może nawet coś romantycznego. Tydzień wcześniej podarował mi parę szafirowych kolczyków ze słowami, że to najlepsze klejnoty, jakie potrafił znaleźć, ale i tak nie ma w nich tyle blasku, co w moich oczach.

- Masz jeszcze te kolczyki? - spytała Irene.

- Oczywiście. Są piękne. Nie nosiłam ich, ale nie mogłam się ich pozbyć. Naturalnie po zerwaniu zaręczyn chciałam mu je zwrócić, lecz odmówił.

- Rozumiem, że zastałaś księcia i lady Daphne w kompromitującej sytuacji.

Francesca skinęła głową. Przypomniało jej się, co czuła, kiedy w uniesieniu spieszyła długimi korytarzami do oranżerii. Miała nadzieję, że Rochford znalazł

trochę czasu, aby mogli pobyć tylko we dwoje. W Londynie było to jeszcze trudniejsze niż na wsi, przeszkadzały bowiem nie tylko przyzwoitki, lecz również całe towarzystwo. Naturalnie schadzki nie pasowały do księcia, który zawsze bardzo uważał, by nie postawić jej w dwuznacznej sytuacji. Zanadto dbał o reputację. Liczyła jednak na to, że udzielił się Rochfordowi balowy nastrój.

Trudno jej było wyobrazić sobie księcia rozpalonego namiętnością. Rochford należał do ludzi, którzy mimo największego zamętu umieją wytrwać w chłodnej elegancji. Form przestrzegał aż do przesady. Raz czy dwa zdarzyło mu się jednak ją pocałować. Napór jego warg był przyjemny, czuła wtedy również bijące od niego ciepło i miała wrażenie, że całe jej ciało budzi się do życia. I choć chwile te mijały bardzo szybko, Francesce zdawało się, że widzi w oczach Sinclaira zapowiedź czegoś budzącego lęk swą intensywnością, lecz zarazem wspaniałego.

- Poszłam do oranżerii - podjęła. - Cicho zawołałam go po imieniu. Sinclair był w głębi, nie widziałam go wyraźnie, bo dzieliły nas drzewka pomarańczowe. Kiedy zbliżał się do mnie, zauważyłam, że ma przekrzywiony fular i potargane włosy. Początkowo nie zrozumiałam, co się dzieje, ale usłyszałam hałas, więc spojrzałam mu za plecy. Za nim szła Daphne, w sukni rozpiętej aż do talii.

Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że twarz jej nagle sposepniała. Dobrze pamiętała częściowo zniszczoną fryzurę tej kobiety, kręjące się włosy opadające jej na twarz, rozwiązana cienką koszulkę i niemal całkowicie obnażone pełne białe piersi. Daphne uśmiechnęła się do niej jak kot, który właśnie wyjadł gospodyni śmietankę. To była klęska.

- Zrozumiałam wtedy, jaka byłam naiwna. Na szczęście wcześniej nie uległam złudzeniu do tego stopnia, by sądzić, że Rochford mnie kocha. Oświadczając mi się, podał wszak kilka bardzo rozsądnych powodów, dla których jego zdaniem dobrze do siebie pasowaliśmy. Nie wygłaszał porywających zapewnień o miłości, nie pisał ód na moją cześć i w ogóle nie

pozwalał sobie na żadne ekstrawagancje. Wierzyłam jednak, że jestem dla niego ważna. Byłam też pewna, że nigdy mnie nie skrzywdzi ani nie potraktuje bez szacunku. A gdybym była dla niego dobrą żoną i czułby się ze mną szczęśliwy, to może któregoś dnia pokochałby mnie tak samo jak ja jego.

- Tymczasem on był zaręczony z tobą, ale romansował z lady Daphne.

- Tak. A właściwie nie. To było kłamstwo, tylko że wtedy o tym nie wiedziałam, a tego, co wydawało mi się prawdą, znieść nie mogłam. Bez wątplenia wiele kobiet puściłoby sprawę w niepamięć, zadowolając się tytułem i godząc się z tym, że serce księcia należy do innej, ale ja nie potrafiłam. Zerwałam.

- Rozumiem, że Daphne zaaranżowała tę scenę i przysłała ci bilecik.

- Tak. Na weselu Callie wyznała mi, że to była intryga. On wcale nie był jej kochankiem, tak jak zresztą się zarzekał. Naturalnie wtedy nie uwierzyłam w jego zapewnienia. W ogóle nie miałam zamiaru go słuchać. A potem, kiedy próbował złożyć mi wizytę, nie chciałam go przyjąć.

- I dlatego poślubiłaś lorda Haughstona? - domyśliła się Irene.

Francesca skinęła głową.

- Był absolutnym przeciwieństwem Rochforda. Uwielbiał pompatyczne oświadczenia i ekstrawaganckie gesty. Mówił mi, że jestem jego księżycem i wszystkimi gwiazdami. To działało jak balsam na moją zranioną duszę. Tłumaczyłam sobie, że właśnie na tym polega prawdziwa miłość, i poślubiłam go. Tyle że nawet nie minął nasz miodowy miesiąc, gdy uświadomiłam sobie, jak wielką popełniłam omyłkę.

- Przykro mi. - Irene ścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Było, minęło.

- Wiesz, nie chce mi się tylko wierzyć, że lady Daphne przyznała się do oszustwa.

- Zapewniam cię, że nie zrobiła tego w nagłym przypiływie szlachetności. Chciała po prostu, żebym zrozumiała, jak byłam głupia i co straciłam. Bo przecież nie zostałam przez to księżną.

- Tymczasem najbardziej żałujesz krzywdy, jaką wyrządziłaś Rochfordowi.

- Musiałam bardzo głęboko urazić jego dumę. To boli, kiedy człowiek traci honor, chociaż jest niewinny.

- Och, Francesco... to straszne. Pomyśl jednak, że nie tylko on cierpiał.

- Prawda, tyle że ja sama byłam sobie winna. Można powiedzieć, że w pewnym sensie na to zasłużyłam. Przecież uwierzyłam w jej kłamstwa. I nie chciałam dać wiary Sinclairowi, chociaż mówił prawdę i nic złego nie zrobił.

- Czyżbyś uważała, że znalezieniem mu żony zrekompensujesz dawną krzywdę? - spytała Irene, nie kryjąc sceptycyzmu.

- Nie wiem, czy to jest w ogóle do naprawienia. Obawiam się jednak, że... Sama pomyśl. A jeśli Rochford właśnie przeze mnie nigdy się nie ożenił...? - Na twarzy Franceski pojawił się lekki rumieniec. - Nie chcę przez to powiedzieć, że złamałam mu serce na całe życie. Nie wydaje mi się, abym była niezastąpiona. Obawiam się jednak, że podkopałam jego zaufanie do kobiet, i to dlatego Rochford nie chce się ożenić. Z czasem przyzwyczał się do samotności i nie czuje potrzeby zmian. Przecież tytuł odziedziczył we wczesnej młodości, więc zdążył się już nauczyć, że ludzie chcą sobie zaskarbić jego przychylność, bo jest bogaty i ma wysoką pozycję. Myślę, że właśnie stąd wziął się u niego pomysł, by mnie poślubić. Znamy się od dzieciństwa i nigdy nie darzyłam go ślepym uwielbieniem. Zawsze widziałam w nim tego, kim jest naprawdę, a nie księcia. No, ale kiedy zarzuciłam mu kłamstwo, musiał potraktować to jak zdradę. Zresztą odniosłam wrażenie, że od tej pory wzrosła jego nieufność wobec świata.

- To możliwe, ale jeśli on nie chce się ożenić...

- Musi, i wie to równie dobrze jak ja. Jest księciem, więc ciąży na nim obowiązek sprowadzenia na świat dziedzica, który odziedziczy tytuł i majątek.

Poczucie odpowiedzialności nie pozwoli mu się przed tym uchylić. Chcę więc pomóc mu przeprowadzić to, czego nie uniknie. Dobrze wiesz, że potrafię zaprowadzić do ołtarza nawet zdeklarowanych zwolenników życia w pojedynkę.

- Przyznaję, że z wielkim znanstwem łączysz w pary nawet najbardziej nieufnych - powiedziała z przekąsem Irene. - Interesuje mnie jednak, jak księżę ustosunkuje się do twojego planu.

- Och, wcale nie zamierzam go wtajemniczać - odrzekła Francesca. - Właśnie dlatego prosiłam cię, żebyś nie zdradziła Gideonowi ani słowa z tego, o czym rozmawiamy. Jestem pewna, że Rochford uznałby to za niedopuszczalne wścibstwo z mojej strony i zażyczył sobie, żebym odstąpiła od zamiarów. Nie mogę do tego dopuścić.

Irene skinęła głową. Wydawała się rozbawiona.

- Znalezienie kobiety, która chce poślubić księcia, nie powinno być trudne. To jest bodaj najwyżej ceniona partia na rynku małżeńskim w całym kraju.

- Owszem, w to nie wątpię. Zauważ jednak, że chociaż chętnych byłoby z pewnością bez liku, to księżę nie może poślubić byle kogo. Muszę znaleźć dla niego odpowiednią kobietę, a to jest dużo trudniejsze zadanie, niż wydawało mi się na początku. W każdym razie Rochford zasługuje na kogoś absolutnie wyjątkowego, więc kandydatek po prostu nie może być wiele.

- Rozumiem, że Althea i Damaris do nich należą. Kogo jeszcze bierzesz pod uwagę?

- Przeprowadziłam eliminację i zostały mi trzy panny. Oprócz Damaris i Althei jeszcze lady Caroline Wyatt. Muszę porozmawiać z wszystkimi trzema dziś wieczorem i wymyślić, w jaki sposób zapoznać każdą z osobna z księciem.

- A jeśli żadna z nich mu się nie spodoba? - spytała Irene.

- Wtedy poszukam innych. Ktoś powinien go w końcu zadowolić.

- Może się mylę, ale wydaje mi się, że najlepszą kandydatką jesteś ty sama - orzekła Irene.

- Ja?! - Francesca spojrzała na nią z wyrazem najwyższego zdumienia.

- Ty. Jesteś przecież jedyną kobietą, o której można powiedzieć z niezbitą pewnością, że Rochford byłby gotów ją poślubić, zważywszy na to, że kiedyś miał takie zamiary. Gdybyś powiedziała mu, że poznałaś prawdę i że przepraszasz za brak zaufania, jakiego się dopuściłaś...

- Nie, nie... - zaproponowała Francesca wyraźnie zmieszana. - To niemożliwe. Mam prawie trzydzieści cztery lata, to stanowczo zbyt wiele jak na żonę dla księcia. Przepraszę go naturalnie i przyznam się do błędu i braku rozsądku, bo to muszę zrobić, ale my dwoje razem... Nie, to już przeszłość.

- Na pewno?

- Na pewno. Proszę, nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem. Jestem o tym święcie przekonana. Dobrze wiesz, że małżeństwo już nie dla mnie. A zresztą nawet gdyby było inaczej, ta historia jest zbyt stara i zbyt wiele nas podzieliło. Rochford nigdy tak naprawdę nie mógłby mi wybaczyć tego zerwania. Jest bardzo dumnym człowiekiem. Poza tym nawet jeśli kiedykolwiek żywił do mnie jakieś uczucia, to dawno wygasły. Minęło przecież piętnaście lat. Ja go nie kocham, więc on mnie tym bardziej nie. Zresztą od dawna prawie ze mną nie rozmawia. Dopiero w ostatnich latach nasze stosunki układają się nieco lepiej.

- Cóż, skoro jesteś pewna...

- Jestem.

- Co wobec tego zamierzasz?

- Myślę... O, jest lady Althea. - Francesca dostrzegła pannę stojącą na obrzeżu cizby tancerzy, zajętą rozmową z inną kobietą. - Od niej zacznę. Jeśli trochę pogawędzimy, to może zaplanujemy wspólny piknik. Wtedy będę mogła się postarać, żeby Rochford dołączył do towarzystwa.

- Jeśli masz właśnie takie plany, to fortuna zdaje się być po twojej stronie - stwierdziła Irene, dyskretnie wskazując skinieniem głowy inną część sali balowej. - Księżę właśnie przyszedł.

- Naprawdę? - spytała Francesca i ostrożnie odwróciła się we wskazanym kierunku.

Rzeczywiście był to Rochford we własnej osobie. Jak zwykle ubrany w nieskazitelny formalny strój, łatwo mógł przyćmić wszystkich obecnych mężczyzn. Gęste czarne włosy miał starannie przystrzyżone w taki sposób, że fryzura sprawiała wrażenie raczej swobodnej i niedbałej, a choć wielu próbowało ten styl naśladować, tylko nielicznym się to udawało.

Obcisły frak i także spodnie, hołdujące najnowszej modzie, podkreślały jego wzrost i smukłość sylwetki. Nie było w nim cienia ostentacji - jedyną ozdobą w całym stroju była szpilka do fularu z onyksową główką, pasującą odcieniem do ciemnych oczu. W każdym razie nikt, widząc go, nie miałby wątpliwości, że stoi przed prawdziwym arystokratą.

Francesca mocniej zacisnęła dłoń na wachlarzu, obserwując, jak księżę rozgląda się po sali. Ilekroć widywała go ostatnio, popadała w uczuciowy zamęt. Tyle lat minęło, odkąd doznawała podobnej mieszanki niepokoju, podniecenia i nadziei zarazem! Uświadomiła sobie, że rozmowa z Irene ożywiła przeszłość, obudziła uczucia, które wydawały się od dawna uspione.

Nawet jeśli Rochford jej nie zdradził, niczego to nie zmieniało. Mimo to jego widok znów zaczął wprawiać ją w dobry nastrój. Sinclair nigdy nie należał do Daphne, nie całował jej swoimi kształtnymi ustami, nie szeptał czułych słówek. Jego dłonie nie obsypywały jej ani pieszczotami, ani klejnotami. Dręczące obrazy, które przez ostatnie piętnaście lat wyobraźnia podsuwała Francesce, nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Musiała przyznać przed sobą, że ją to cieszy.

Odwróciła głowę, nagle bowiem okazało się, że trzeba poprawić rękawiczki, inaczej uchwycić wachlarz, wygładzić spódnice.

- Muszę mu powiedzieć - szepnęła.

Wiedziała, że nie poczuje się w jego obecności swobodnie dopóty, dopóki tego nie załatwi. Przeprosiny były konieczne. Przecież nie mogła go swatać, nie

będąc w stanie przebywać w jego obecności bez skrepowania. Tylko jak się do tych przeprosin zabrać?

- Zdaje się, że okazja sama pcha ci się w ręce - stwierdziła Irene.

- Słucham? - Francesca roztargniona odwróciła głowę.

Schodami zbliżał się ku nim książę Rochford.

Rozdział drugi

Francesca znieruchomiła, choć najchętniej by uciekła. Jednak nie miała szans, ponieważ Rochford zmierzał wprost do nich. Nie mogła po prostu się odwrócić, jeśli nie chciała, by poczytano to za nietakt. Zresztą Irene miała rację, nadarzyła się okazja, aby nareszcie wszystko wyjaśnić.

Czekała więc na księcia, stojąc na swoim miejscu z obowiązkowym uśmiechem na twarzy.

- Lady Haughston. Lady Radbourne.- Rochford skłonił się przed nimi na powitanie.

- Rochford, miło mi - odrzekła Francesca.

- Dawno się nie widzieliśmy. Rzadko panią spotykam.

Powinna była wiedzieć, że książę zauważy, iż unikała kontaktów towarzyskich. Uwagi Rochforda rzadko coś umykało.

- To prawda. Od czasu ślubu Callie odpoczywam.

- Czyżby pani niedomagala? - Zmarszczył czoło.

- Och, nie, skądże. Nic takiego... - Francesca zżymała się w duchu.

Ledwo zdążyła powiedzieć parę słów, a już zaczęła się plątać. Kłopot polegał na tym, że nie potrafiła oszukiwać Rochforda. Nawet najbardziej niewinne kłamstewko, które w innych okolicznościach wypowiedziałaby bez mrugnięcia okiem, pod wpływem jego posepnego spojrzenia zamierało jej na wargach. Czasem odnosiła wrażenie, jakby Rochford umiał zajrzeć w głąb jej duszy.

Nieco odwróciła głowę i dodała:

- Nie byłam chora... po prostu trochę zmęczona. Sezon może każdemu dać się we znaki, nawet mnie.

Była przekonana, że jej nie uwierzył. Przez chwilę bacznie jej się przyglądał, zanim odpowiedział gładko:

- Nikt by tego nie zauważył, daję słowo. Wygląda pani tak samo wspaniale jak zawsze.

Francesca przyjęła ten komplement skinieniem głowy, a księżę zwrócił się do Irene:

- Pani również. Małżeństwo zdaje się pani służyć.

- Owszem, służy - przyznała Irene odrobinę zaskoczona.

- Czy Radbourne tu jest? Dziwi mnie, że nie widzę go przy pani.

- To dlatego, że Irene go porzuciła - wtrąciła z szerokim uśmiechem Francesca.

- Przyznaję się - potwierdziła Irene. - Zostawiłam go w szponach lady Pencully i tchórzliwie uciekłam na górę.

- Wielki Boże! Czy to znaczy, że jest tutaj również ciotka Odelia? - spytał księżę, rozglądając się z zaniepokojeniem.

- Proszę się nie obawiać. Schody są teraz dla niej nie do pokonania - uspokoiła go Francesca. - Na górze jest pan bezpieczny.

- Nie byłbym tego taki pewien. Ta dama zdaje się mieć coraz więcej wigoru, odkąd świętowała na balu osiemdziesiąte urodziny.

Irene zerknęła na przyjaciółkę i powiedziała:

- Chyba muszę zachować się jak dobra żona i wybawić Gideona z opresji, zanim biedak straci cierpliwość i powie coś, czego będzie potem żałował.

Francesca skupiła się na opanowaniu objawów paniki, którą spowodowało u niej odejście Irene. Nie rozumiała tego nagłego poczucia zażenowania, skoro rozmawiała z księciem setki razy.

- Jak zdrowie księżnej? - spytała wreszcie w braku lepszego tematu.

- Babka ma się dobrze i obecnie przebywa w Bath. Wprawdzie odgrażała się nieraz, że przyjedzie do Londynu przynajmniej na kilka tygodni sezonu, ale myślę, że tego nie zrobi. Za bardzo się cieszy, że nie musi być przyzwoitką Callie.

Francesca skinęła głową. Temat wydawał się wyczerpany. Nerwowo przestąpiła z nogi na nogę i znów potoczyła wzrokiem po sali balowej. Rozumiała doskonale, że chwila wyznania nieuchronnie się zbliża. Nie mogła przecież bez końca w obecności Rochforda czuć się jak niedoświadczona debiutantka.

Tęskniła zresztą do rozmów z księciem, gdyż jego cięte poczucie humoru sprawiało, że najnudniejsze przyjęcie mogło stać się łatwiejsze do zniesienia. Mogła też liczyć na zaproszenie do walca, co oznaczało przynajmniej jeden taniec w ciągu wieczoru bez obaw o całość palców.

Musiała wreszcie załatwić tę sprawę. Szczerze przyznać się do błędu i poprosić o wybaczenie. Spojrzała księciu w oczy i zrozumiała, że on to wie. Jest stanowczo zbyt spostrzegawczy, pomyślała Francesca.

- Może zechce pani obejrzeć ze mną galerię Whittingtonów - zaproponował, podając jej ramię. - Słyszałem, że jest interesująca.

- Dziękuję, chętnie. Pomysł wydaje się atrakcyjny.

Francesca położyła mu rękę na ramieniu i wkrótce znaleźli się w długim korytarzu. W galerii oprócz portretów przodków wisiało mnóstwo innych dzieł o najrozmaitszej tematyce, w tym wizerunki ulubionych koni i psów Whittingtonów z różnych epok. Przechodzili od obrazu do obrazu, tu i ówdzie przystając na chwilę, ale żadne z nich nie zdradzało autentycznego zainteresowania. W galerii byli sami, a odgłos ich kroków echo niosło w głąb rezydencji. Milczenie stawało się z każdą chwilą coraz bardziej niezręczne.

- Czyżbym czymś śmiertelnie panią obraził? - spytał w końcu Rochford.

- Słucham? - Zdumiona Francesca spojrzała mu w oczy. - Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że ostatnio rzeczywiście widuję panią rzadko, ale jednak kilka razy się na siebie natknęliśmy. Tyle że natychmiast po dostrzeżeniu mojej obecności znikwała pani w tłoku. A jeśli już przypadkiem wpadliśmy na siebie, korzystała pani z pierwszej okazji, by się oddalić. W związku z tym mogę przypuszczać jedynie, że nadal nie wybaczyła mi pani tego, co powiedziałem na temat zalotów Bromwella do Callie.

- Nie! - zaoponowała gorąco Francesca. - To nieprawda. Nie mam do pana pretensji, proszę mi wierzyć. Może rzeczywiście zabrzmiało to dość brutalnie, ale przecież pan przeprosił. A poza tym miał pan poważny powód, aby odczuwać zatroskanie. Nie mogłam jednak zawieść zaufania Callie, a jej świętym prawem było samodzielnie decydować o własnej przyszłości.

- Wiem. Callie jest dość niezależna - przyznał z westchnieniem Rochford. - Zdaję sobie sprawę z tego, że właściwie nie miała pani wyboru, brakuje mi też podstaw, by sądzić, że mogła pani zapanować nad moją siostrą. Mnie też nie bardzo to się udawało. Dlatego gdy minęła mi złość, zrozumiałem, że zachowałem się niewłaściwie. Przeprosiłem i zdawało mi się, że przeprosiny zostały przyjęte. Tymczasem pani zaczęła się przede mną ukrywać.

- To nie całkiem tak... Przeprosiny rzeczywiście przyjąłem i wcale nie jestem zła za to, co wtedy pan powiedział. Zresztą już wcześniej doświadczyłam próbek pańskiego temperamentu.

- Czy to znaczy, że nie jest pani na mnie obrażona? Nawet na weselu Callie nie rozmawialiśmy. - Rochford zamyślił się, po czym spytał: - Czy to z powodu sceny w domku myśliwskim? Chodzi o to, że... - Urwał.

- Że powalił pan na podłogę przyszłego szwagra? - spytała z uśmiechem Francesca. - i że biliście się w salonie, tłukąc wazony i przewracając krzesła?

Rochford chciał zaprotestować, ale zapanował nad tym odruchem i powiedział:

- No cóż, zachowałem się jak kompletny grubianin i w dodatku wystawiałem się na pośmiewisko.

- Mój drogi książę, a dlaczego miałabym z tego powodu czuć się urażona? - zainteresowała się Francesca.

Roześmiał się.

- Przynajmniej wykazała pani dość życzliwości, aby nie powiedzieć, że to dla mnie typowe. Naturalnie mógłbym wspomnieć, że choć zdarzało mi się zawinić nieokrzesaniem, to przynajmniej nie opowiadałem niestworzonych historii, jak to się zdarza niektórym - rzekł z przekąsem.

- Niestworzone historie! - Francesca lekko uderzyła go wachlarzem, nawet nie zauważywszy, że zakłopotanie minęło i przekomarzają się jak za najlepszych czasów. - To bardzo krzywdząca ocena.

- Chyba pani nie zaprzeczy, że była pani tamtego ranka... nazwijmy to „niezwykle twórcza”.

- Ktoś musiał zaprowadzić ład w tym bałaganie - odcięła się. - Inaczej wszyscy znaleźlibyśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

- Wiem. - Spoważniał i ku zaskoczeniu Franceski ujął ją za rękę. - Zdaję sobie sprawę, jak wiele pani zrobiła dla Callie. Zasłużyła pani na moją nieustającą wdzięczność. Gdyby nie pani, moja siostra byłaby niechlubną bohaterką skandalu.

Francesca poczuła, że się rumieni. Spuściła wzrok.

- Nie ma potrzeby mi dziękować. Bardzo lubię Callie, jest dla mnie jak siostra.

Przyszło jej do głowy, że te słowa zabrzmiały dwuznacznie, i spłonęła jeszcze mocniejszym rumieńcem. Na wszelki wypadek odwróciła się i ruszyła przed siebie, kurczowo zaciskając dłoń na wachlarzu. Rochford dostosował się do jej kroku. Czuła na sobie jego wzrok. Wiedział, że coś jest nie w porządku, a ona tylko pogarszała sprawę i przedłużała swoje cierpienia.

- Muszę pana przeprosić - wyrzuciła z siebie niespodziewanie.

- Przeprosić? Mnie?! - Zdumienie w jego głosie zabrzmiało szczerze.

Francesca przystanęła i z determinacją zwróciła się do księcia:

- Wyrzuciłam panu krzywdę. Piętnaście lat temu, gdy... - Urwała, bo dalsze słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

Rochford lekko zeszywniał, a wyraz zaciekawienia na jego twarzy ustąpił miejsca zaskoczeniu.

- ...kiedy byliśmy zaręczeni - dokończył za nią.

Francesca nie była w stanie znieść jego spojrzenia. Odwróciła głowę.

- Na weselu Callie lady Swithington przyznała się, że skłamała wtedy o was dwojgu. Wyjaśniła mi, że między wami nigdy do niczego nie doszło.

Nie zareagował, więc Francesca zebrała się w sobie i znów spojrzała mu w oczy. Jednak z maski obojętności na twarzy Rochforda nie sposób było czegokolwiek wyczytać.

- Postąpiłam niegodnie - ciągnęła. - niesprawiedliwie pana oskarżyłam. W dodatku nawet nie chciałam wysłuchać. Przepraszam teraz za to wszystko, co wtedy powiedziałam.

- Tak, rozumiem... - Przez chwilę Rochford milczał. - Obawiam się, że zupełnie nie wiem, co w tej sytuacji powiedzieć.

- Nie jestem pewna, czy trzeba coś mówić - przyznała Francesca ruszyli z powrotem drogą, którą przyszli. - Nic już nie można zrobić. Wszystko dawno się skończyło. Nie zaznam jednak spokoju, dopóki nie będzie pan wiedział, że zrozumiałam swój błąd. Nie oczekuję wybaczenia. Chcę tylko, żeby pan miał świadomość, że poznałam prawdę i jest mi przykro z powodu krzywdzącego osądu, jaki wydałam. Powinnam była mieć więcej zaufania.

- Była pani bardzo młoda.

- Owszem, tyle że to niczego nie usprawiedliwia.

- No cóż, tak.

Francesca zerknęła kątem oka na Sinclaira. Obawiała się, że jej wyznanie wywoła zjadliwą uwagę albo że książkę wpadnie w gniew i odejdzie bez słowa. W ogóle nie brała pod uwagę takiej możliwości, że zabraknie mu słów.

Przez podwójne drzwi wrócili na galerię sali balowej i zakłopotani zatrzymali się twarzą w twarz. Francesca nie chciała rozstawać się z księciem. Zależało jej na tym, by się przekonać, jaki efekt wywarło jej wyznanie. Nie zniosłaby, gdyby okazało się, że zburzyła kruchą przyjaźń, jaką udało im się zawrzeć ostatnimi czasy.

- Zatańczymy? - spytała pod wpływem nagłego impulsu.

- Dlaczego nie? - Księżę z lekkim uśmiechem podał jej ramię i zeszedł schodami na parkiet.

Orkiestra akurat zaczęła walca. Przez ostatnie lata Francesca tańczyła z księciem wielokrotnie, a mimo to ogarnęło ją niespotykane uniesienie. To było coś nowego. Nie, poprawiła się w myślach. To było coś podobnego jak przed laty.

Wyraźnie czuła siłę otaczających ją ramion, aromat wody kolońskiej i słabszy, trudny do opisanie, lecz niezaprzeczalnie obecny zapach męskiego ciała. Pamiętała bal w Dancy Park, wydany przed laty w drugi dzień Bożego Narodzenia, kiedy właśnie podczas walca zrozumiała, że dziewczęce zauroczenie Rochfordem, które towarzyszyło jej przez wiele lat, jest w istocie czymś więcej. Patrzyła w jego ciemne oczy, wiedząc, że kocha tego człowieka do szaleństwa. Czuła podniecające mrowienie, a gdy spojrzał na nią i przesłał jej uśmiech, oblała ją fala gorąca.

Pod wpływem tego wspomnienia Francesce lekko poróżwiały policzki. Upływ lat nie odebrał Rochfordowi niczego z jego chwały.

Wręcz przeciwnie, choć nieco starszy, wydawał jej się jeszcze bardziej przystojny, a drobne zmarszczki przy kącikach oczu złagodziły surowość rysów. Czarne oczy, bardzo ciemne włosy i wydatne kości policzkowe nadawały mu nieco piracki wygląd zwłaszcza wtedy, gdy mierzył kogoś chłodnym spojrzeniem, lekko ściągając brwi. W takich chwilach wydawał się wręcz niebezpieczny.

Jednak gdy był w pogodnym nastroju, sprawiał zupełnie inne wrażenie. Z twarzy biła radość, a usta układały się w dyskretny uśmiech. I choć jeszcze nie znikł on z warg, już ogarniała tęsknota za następnym.

Francesca złapała się na tej myśli i mocno ją to zmieszało. Miała nadzieję, że przynajmniej Rochford nie odgadł, skąd się wziął jej rumieniec. Naturalnie jej niespodziewana nerwowość nie miała najmniejszego sensu. Śmieszne też było, że przypomniały jej się chwile młodzieńczego oczarowania. Przecież dawno już wyrosła z takich sentymentów. Wyleczyły ją z tego długie bezsenne noce i przelane łzy.

- Miał pan ostatnio wiadomości od Callie? - spytała, żeby przełamać milczenie.

- Dostałem list, bardzo zresztą krótki. „Paryż jest piękny. Bromwell cudowny. Jestem ciekawa Włoch”.

Francesca cicho się roześmiała.

- Och, na pewno nie był aż taki krótki.

- Rzeczywiście nie. Jest jeszcze mały opis Paryża, ale w sumie to naprawdę wzór zwięzłości. Zamierzają niedługo wrócić do Londynu, chyba że zechce im się jeszcze przedłużyć podróż poślubną.

- Wygląda więc na to, że Callie jest szczęśliwa.

- Owszem. Nigdy bym nie uwierzył, że Bromwell może naprawdę ją kochać.

- Musi pan czuć się bez niej samotny.

- Przyznaję, że w domu jest podejrzanie cicho. Mimo wszystko mam dużo zajęć. A pani?

- Pyta pan o zajęcia czy o Callie?

- O jedno i drugie. Przez ostatnie dwa miesiące przed ślubem Callie spędziła więcej czasu u pani niż w domu.

- To prawda. Rzeczywiście teraz trochę za nią tęsknię - przyznała. - Nawet sobie nie wyobrażałam, jak bardzo się do niej przywiązałam.

- Może powinna pani wziąć pod swoje skrzydła kolejną pannę - podsunął usłużnie Rochford. - Widziałem tu dzisiaj przynajmniej kilka takich, którym pani fachowe umiejętności mogłyby bardzo się przydać.

- Niestety, żadna z nich nie prosiła mnie o pomoc. Sam pan rozumie, że byłoby dość nieelegancko przedstawiać bez pytania swoją opinię na taki temat.

- Zapewne tak. Chociaż na przykład lady Livermore bez wątpienia odniosłaby dużą korzyść z zastosowania się do kilku pani rad.

Francesca przygryzła wargę, żeby nie parsknąć śmiechem. Lady Livermore właśnie tańczyła z kuzynem. Włożyła na ten wieczór suknię w ulubionym intensywnie pąsowym odcieniu. Niewiele kobiet dobrze w nim wygląda, a młoda dama bez wątpienia do nich nie należała. Co gorsza, niewątpliwie uważała, że ozdób nigdy nie za dużo, bo jej kreacja tonęła w falbanach. Nawet na krótkich bufiastych rękawach udało się pomieścić dwa ich rzędy. Do tego na przodzie sukni i na rąbku znalazło się jeszcze miejsce na jedwabne różyczki łączone rządkami pereł. Całość uzupełniał pąsowy toczek również bogato przyozdobiony.

- Mam wrażenie, że lady Livermore nie ma ochoty niczego zmieniać - powiedziała Francesca. Po chwili milczenia spytała: - Zna pan lady Altheę?

Ledwie padły te słowa, Francesca zorientowała się, że popełniła poważną niezręczność. Jak mogła tak bezceremonialnie wprowadzić ten temat?

- Córkę Roberta? - spytał wyraźnie zaskoczony książę. - Sądzi pani, że potrzebna jej pomoc w znalezieniu męża?

- Lady Althea na pewno nie wymaga mojego wsparcia. Przyszło mi to do głowy, bo akurat patrzyłam na nią, jak tańczy z sir Corneliusem. - Po małej pauzie dodała: - Jej na pewno nie brakuje adoratorów. Jest całkiem atrakcyjna, nie sądzi pan?

- Myślę, że tak - przyznał Rochford.

- I utalentowana. Dobrze gra na fortepianie.

- Rzeczywiście. Nawet miałem okazję słyszeć.

- Naprawdę? Wiele osób wyraża się o niej z niemałym podziwem.

- Bez - wątpienia.

Francesca nie mogła nie usłyszeć zniecierpliwienia w głosie Rochforda. Na pewno czułaby się lepiej, gdyby książę wykazał w rozmowie o lady Althei więcej entuzjazmu. Przecież nie była na tyle próżna, by nie móc znieść komplementowania innej kobiety. Mimo to z najwyższym trudem zapanowała nad złością, chociaż sama poruszyła ten temat.

Szybko zaczęła mówić o czym innym, ale kiedy muzyka ucichła, zręcznie pokierowała Rochfordem tak, by zeszedli z parkietu w pobliżu miejsca, do którego partner odprowadził lady Altheę. Udało się znakomicie, bo sir Cornelius akurat się oddalał.

- Lady Althea - powitała Francesca młodą damę. - Jak miło panią spotkać. Wieki nie rozmawialiśmy. Z pewnością zna pani księcia Rochforda, prawda?

Lady Althea uśmiechnęła się uprzejmie.

- Tak, naturalnie. Miło mi pana widzieć.

Rochford skłonił się nad jej dłonią i zapewnił, że cała przyjemność po jego stronie, a Francesca zmierzyła kandydatkę badawczym spojrzeniem. Biała suknia balowa robiła bardzo dobre wrażenie, aczkolwiek prezentowała się nieco za mało sztywnie. Lady Althea była wysoka i szczupła, miała gęste ciemnobrązowe włosy i duże piwne oczy z długimi rzęsami, a choć wąskie usta i nieco zbyt wydłużony podbródek odbierały jej prawo do miana piękności, to bez wątpienia wielu mężczyzn uznałoby ją za ładną.

Francesca dyskretnie zerknęła na Rochforda, aby sprawdzić, czy i on podzielałby ich opinię.

Lady Althea zapytała uprzejmie o samopoczucie babki Rochforda i rodziców Franceski, po czym zaczęła chwalać ślub Callie. Był to ten rodzaj konwersacji, w którym Francesca doskonaliła się przez większą część życia, podobnie zresztą jak Rochford i lady Althea, udało im się więc spędzić kilka minut, na dobrą sprawę nie rozmawiając o niczym konkretnym.

Kiedy skończyli zachwycać się balem lady Whittington, która zdaniem lady Althei przeszła samą siebie, i zdążyli współczująco omówić zły stan nerwów matki lady Althei, zmuszający ją do pozostania tego wieczoru w domu, przeszli do najnowszej sztuki wystawionej w Drury Lane. Okazało się jednak, że nikt z nich jeszcze jej nie widział.

- Och, musimy to nadrobić! - zawołała Francesca, zerkając na lady Altheę.

Ta wydawała się nieco zaskoczona, ale odpowiedziała posłusznie:

- Naturalnie. To dobry pomysł.

Francesca się rozpromieniła i zauważyła:

- Pozostaje nam namówić księcia, aby nas tam zabrał.

Rochford nie krył zdziwienia, ale przytaknął.

- Oczywiście. Będzie mi bardzo przyjemnie towarzyszyć dwóm tak uroczym damom w teatrze.

- To wspaniale. - Francesca ponownie zwróciła się ku Althei, która wyprawą z udziałem księcia wydała się zainteresowana. - Wobec tego musimy ustalić dzień. Może we wtorek? Czy to państwu odpowiada?

Księżę i Althea wyrazili zgodę, a Francesca podziękowała im uśmiechem. Zwykle zdobywała się na bardziej finezyjne manewry i sama nie rozumiała, co jej się stało, ale przynajmniej osiągnęła cel, a tamci dwoje zdawali się niczego nie podejrzewać.

Przez kilka minut podtrzymywała rozmowę o niczym, po czym zostawiła Rochforda z Altheą, sama zaś powędrowała na drugą stronę sali, po drodze wymieniając pozdrowienia i uprzejmości. Powinna triumfować. Bądź co bądź, właśnie rozpoczęła realizację planu. Tymczasem czuła jedynie ból głowy.

Przystanęła i rozejrzała się dookoła. Zobaczyła w oddali Irene, a chwilę potem zwrócił jej uwagę sir Lucien, który wirował w walcu. Mogła podejść do Irene albo zaczekać, aż przyjaciel opuści parkiet, mogła też znaleźć innych partnerów do rozmowy lub poczekać, aż ktoś zaprosi ją do tańca. Stwierdziła jednak, że żadne z tych rozwiązań jej nie odpowiada. Pulsowanie w skroniach

stawało się z każdą chwilą bardziej uciążliwe, uznała więc, że najlepiej będzie wrócić do domu.

Żaląc się na migrenę, wyjątkowo nieudawaną, pożegnała panią domu i wyszła, aby odszukać swój powóz. Staruszek miał już dziesięć lat i był dość staroświecki, ale Francesce wydał się bardzo przytulny, od muzyki, światła odgrodziła się w nim od gwaru niezliczonych rozmów.

Fenton sprawiał wrażenie zaskoczonego wczesnym powrotem chlebobdawczynie. Natychmiast też się zatroszczył.

- Czy wszystko w porządku? Może milady się przeziębila?

Kamerdyner pracował u Franceski od ponad czternastu lat. Najęła go wkrótce po swoim ślubie z lordem Haughstonem. Zawsze zachowywał się wobec niej niezwykle lojalnie, podobnie jak cała służba. Nie raz i nie dwa spóźniała się z wypłatami, Fenton jednak nigdy na to nie narzekał, a bez wątpienia również dyscyplinował tych, którym przyszło to do głowy.

- Dziękuję, nic mi nie jest - uspokoiła go z uśmiechem. - Trochę boli mnie głowa, to wszystko.

Na górze osobista służąca, Maisie, zapytała ją dokładnie o to samo, co Fenton. Zaraz potem szybko rozpuściła i wyszczotkowała Francesce włosy, zdjęła jej suknię i pomogła się przebrać w strój do spania. Przyniosła też wodę lawendową na ból głowy. Wkrótce Francesca leżała otulona pościelą na stercie poduch, mając na czole okład z chusteczki namoczonej w wodzie lawendowej. Knot lampki naftowej przy łóżku został maksymalnie przykręcony.

Z westchnieniem przymknęła powieki. Nie była senna, bo zwykła pora snu jeszcze nie nadeszła. Kiedy przed pięcioma laty zmarł jej mąż, nie zostawiając prawie niczego oprócz domu w Londynie, który na szczęście nie został zastawiony wraz z posiadłością na wsi, Francesca nie czekała z założonymi rękami, aż straci i to.

Zredukowała wydatki do minimum i skupiła się na spłaceniu długów pozostałych po mężu. Część domu zamknęła, zwolniła sporo służby i rozpoczęła

stopniową wyprzedaż srebrnej i złotej zastawy, a nawet własnej biżuterii. Szybko nauczyła się też praktycznej ekonomii i raczej przerabiała stare suknie, niż kupowała nowe, a pantofelki wzuwała, póki nie miały dziur w podeszwach.

Mimo to oszczędzanie plus niewielka renta nie przynosiły dostatecznych środków, tak by Francesca mogła na dłuższą metę utrzymać siebie i choćby nieliczną służbę. Większość kobiet w jej sytuacji poszukałaby męża, ona jednak po złych doświadczeniach wyniesionych z pierwszego małżeństwa nie zamierzała ponownie popełnić tego samego błędu.

Wyglądało na to, że w perspektywie czeka ją przeprowadzka do domu po ojcu, obecnie będącego własnością jej brata, i rezydowanie tam do końca życia w charakterze ubogiej krewnej.

Francesca postanowiła poszukać możliwości zdobycia dodatkowych dochodów. Naturalnie pracy dla szlachetnie urodzonych kobiet nie było, z wyjątkiem takich posad jak dama do towarzystwa lub guwernantka. Te Franceski nie interesowały, a gdyby nawet, to nikt nie zatrudniłby jej w takim charakterze.

Atuty, którymi dysponowała - wyśmienity gust, sztuka komponowania strojów podkreślających urodę kobiety, doskonała znajomość londyńskiej sceny towarzyskiej, umiejętność flirtowania tak, by nie posunąć się za daleko, i ożywienia najnudniejszego przyjęcia oraz rozładowania najbardziej niezręcznej sytuacji - nie były tego rodzaju, aby czerpać z nich wymierne zyski.

Kiedy jednak kolejna matrona zwróciła się do niej z prośbą, by pomogła podczas sezonu jej córce, która nie ma powodzenia, Francesca zorientowała się, że jej talenty mogą bardzo się przydać właśnie damom z towarzystwa. Dla naiwnych panien wkraczających w dorosły świat okazała się idealną przewodniczką, która mogła przeprowadzić je przez wszystkie niebezpieczne miejsca wielkiego świata, a przy tym potrafiła znaleźć odpowiednią suknię, doradzić, jak podkreślić urodę i zatuszować niedostatki, albo wymyślić ciekawą fryzurę.

Cierpliwość, takt i poczucie humoru pomogły jej przetrwać trudne lata małżeństwa, a potem przez kolejnych pięć utrzymać się na niepewnej wszak pozycji dyktatorki mody *beau monde*.

Już od trzech lat Francesca zajmowała się swataniem par, naturalnie pod pretekstem przysługi wyświadczanej przyjaciółce, i dzięki temu udawało jej się przynajmniej związać koniec z końcem. Wreszcie wystarczało jej na jedzenie, utrzymanie nielicznej służby i ogrzanie części domu zimą, choć większe pomieszczenia musiała wtedy zamykać. Poza tym dzięki pracy, którą zapewniała szwaczkom i modystkom swoich podopiecznych, uzyskała przywileje i często mogła korzystnie kupić zamówioną przez kogo innego, lecz nieodebraną toaletę albo uzyskać zniżkę na suknię lub kapelusz.

Z pewnością nie było to życie, o jakim marzyła w młodości, i bez wątpienia zbyt często rachunki do zapłacenia spędzały jej sen z powiek, ale przynajmniej mogła być niezależna, a przy tym cieszyć się statusem szanowanej kobiety. Naturalnie jej matka byłaby wstrząśnięta, gdyby się dowiedziała, czym para się jej córka. Podobnie zareagowałyby wiele matron. Szczerze mówiąc jednak, Francesca odczuwała niemałą satysfakcję, gdy udało jej się całkowicie pozbawioną gustu pannę przemienić w atrakcyjną i modną młodą damę, nawet jeśli było to zajęcie niegodne szlachetnie urodzonej kobiety. Cieszyło ją też, że pomaga ludziom znaleźć się nawzajem.

Krótko mówiąc, była całkiem zadowolona z własnego życia przynajmniej do tej pory. Niestety, w ciągu ostatnich tygodni coś się zmieniło. Ogarnęło ją znużenie, a chwilami była gotowa przyznać nawet, że czuje się samotna.

Wydawało się to naturalnie dość niedorzeczne, ponieważ jej kalendarz towarzyski był nieustannie zapełniony. Dostawała zaproszenia na każdy wieczór tygodnia, często nawet więcej niż jedno. Codziennie przyjmowała licznych gości, kobiety i mężczyzn. Nigdy nie brakowało jej partnera do tańca ani towarzystwa, w którym mogła iść na przyjęcie. Tyle że ostatnio nie miała ochoty nigdzie chodzić ani nikogo widywać.

Ciągle wracały do niej myśli o błędzie popełnionym przed piętnastoma laty. Gdyby w swoim czasie poślubiła Rochforda, z pewnością nie musiałyby łamać sobie głowy nad przeróbką każdej znoszonej sukni. Jednak to nie sprawy materialne były najważniejsze. O wiele częściej zastanawiała się, czy byłaby z nim szczęśliwa. Pamiętała przecież radość, jaką kiedyś budziła w niej sama jego obecność.

Naturalnie pamiętała też wszystkie jego pocałunki. Nie było ich dużo, a większość mieściła się w granicach przyzwoitości. Mimo to za każdym razem serce zaczynało jej bić mocniej. Dwa razy Rochford pozwolił sobie na większą śmiałość i mimo że zaraz potem cofnął się i przeprosił za brak opanowania, Francesca ledwie go słyszała. Cała żyła oczekiwaniem, zafascynowana nieznanymi do tej pory doznaniem, które pobudziły jej zmysły. Chciała mieć ich więcej.

Rochford ją lubił, choć byłoby naiwnością wierzyć, że mogłaby zaskarbić sobie jego miłość. Naturalnie w małżeństwie postępowałyby bardziej honorowo niż Haughston. Nie upokarzałby jej i nie zapraszał kochanek do domu. Bez wątplenia jednak tak miłe pocałunki kończyłyby się tym samym, czego zawsze chciał od niej mąż. To zaś było okropne, a Andrew nazywał ją potem bryłą lodu. Z pewnością i Rochford przeżyłby z jej powodu wielkie rozczarowanie. Czy mimo to ich zażyłość mogłaby przetrwać?

Nie, stanowczo lepiej było żyć tak jak teraz. W chwilach smutku przywoływała wspomnienia szczęśliwej młodości. Rochford powinien się cieszyć, że jej nie poślubił. Zawiódłby się na niej głęboko, a tak wciąż mógł kogoś poślubić i spłodzić dziedzica.

Nie wątpiła, że trzy wybrane przez nią kobiety doskonale nadają się na żonę Rochforda i matkę jego dzieci, a on łatwo mógł się zakochać w każdej z nich. Do tej pory wszystkie małżeństwa, które udało jej się skojarzyć, żyły zgodnie, miała więc prawo przypuszczać, że i Rochford będzie zadowolony.

Powinna się cieszyć, że może mu w tym pomóc, jednak myśl o swataniu tym razem nie budziła u niej entuzjazmu.

Rozdział trzeci

Szła przez ogród w Dancy Park. Słońce grzało ją w plecy, w powietrzu unosił się zapach róż. W promieniach słońca lśniły różnobarwne kwiaty: niebieskofioletowe ostróżki, białe i żółte lwie paszcze, olbrzymie czerwone i różowe piwonie i oczywiście wszechobecne róże we wszystkich możliwych kolorach, rosnące na krzaczkach, pnące się po murach i oplatające kraty altan. Wiatr kołysał ciężkimi główkami, targał im płatki, a tu i ówdzie zrywał jakiś i unosił w dal.

- Francesco.

Odwróciła się i ujrzała Rochforda. Widziała go pod słońce, więc rysy miał zamazane, ale głos, sylwetka, ruchy, kiedy do niej się zbliżał, nie pozostawiały wątpliwości, że to on. Poczula też, że się uśmiecha, i w jej sercu drgnęła wrażliwa struna.

- Zobaczyłem panią z okna gabinetu - powiedział, oddalony już tylko o kilka kroków.

Pojawił się zarys twarzy i Francesca pomyślała, że chciałaby powieść dłonią po jej wyrazistych płaszczyznach. Słońce rozjaśniało mu oczy, tęczę wokół czarnych jak smoła źrenic wydawały się pożyczać kolor od stopionej czekolady. Przesunęła wzrok na wydatne męskie usta.

- Sinclair...

Wypowiedziała jego imię niewiele głośniejszym niż szeptem. Nie mogłaby zresztą inaczej, bo w jego obecności trudno przychodziło jej wydobyć słowa ze ściśniętego gardła. Znała go doskonale, tak samo jak ten ogród i dom, a mimo to ilekroć do niej podchodził, ogarniały ją całkowicie sprzeczne uczucia; płochliwość granicząca z lękiem, lecz zarazem entuzjazm pchający ją w zgoła

przeciwnym kierunku, właśnie ku niemu, tak jakby nie znała go jeszcze i chciała poznać.

Uniósł ramię i pogłaskał ją po policzku. Kciuk dotarł do kącika ust, po czym zaczął je obrysowywać. Muśnięcia ożywiały jej wrażliwe wargi, pozostawiając po sobie ciepło.

Przyglądała się zafascynowana, jak głowa Sinclaira pochyla się ku niej, a gdy zwarli usta w pocałunku, zamknęła oczy. Dłoń na policzku wydała jej się nagle gorąca. Sinclair tymczasem objął ją wolnym ramieniem i mocno do siebie przyciągnął.

Francesca odniosła wrażenie, że topnieje niczym wosk. Pod naporem ust Sinclaira rozchyliła wargi. Przeszył ją dreszcz i zrobiło się jej gorąco. Znów zadrżała, przejęta tęsknotą za czymś, co zdawało się tak blisko, tuż poza jej zasięgiem...

Otworzyła oczy. Otaczała ją ciemność. Ciało miała wilgotne od potu, oddech przyspieszony, piersi falowały w nierównym rytmie. Nie pojmowała, co się z nią dzieje. Rozejrzała się niepewnie; lekko uniósłszy głowę. To była jej własna sypialnia. A więc śniła. Tylko jak to się stało, że wizja, która do niej przyszła, wydawała się zupełnie realna?

Dwa dni później Francesca odbywała na górze naradę z Maisie; zastanawiały się nad możliwością przerobienia jednej z sukien, kiedy kamerdyner zaanonsował sir Alana Sherbourne'a.

- Sir Alan? - powtórzyła zdziwiona. - Czy powinnam go znać, Fenton?
- Nie sądzę, milady - odparł z powagą.
- Czy wobec tego należy go przyjąć?
- Wydaje się, że nic mu nie można zarzucić. Moim zdaniem ten dżentelmen spędza większość czasu na wsi.
- Rozumiem. Ciekawe, czego sobie życzy. Wprowadź go, proszę, do salonu.

Kiedy Francesca pojawiła się tam po chwili, przekonała się, że kamerdyner trafnie opisał gościa. Sir Alan był średniego wzrostu, miał miłą twarz, która jednak nie zapadała w pamięć, i ogólnie rzecz biorąc, wydawał się niepozorny, choć właściwie niczego mu nie brakowało. Postawa i sposób mówienia jednoznacznie wskazywały na człowieka szlachetnie urodzonego, ale nie było w nim nadmiernej pewności siebie. Podobnie jego strój dobrej jakości i starannie skrojony, lecz niemodny, potwierdzał tylko słuszność spostrzeżenia Fen-tona, że gość nie jest londyńczykiem.

- Sir Alan? - powitała przybysza, wchodząc głębiej do pokoju.

Odwrócił się od portretu wiszącego nad kominkiem i zrobił zdumioną minę, szeroko otwierając oczy.

- Lady Haughston, proszę o wybaczenie... Nie spodziewałem się... - Urwał wyraźnie speszony. - Proszę mi wybaczyć, zazwyczaj nie mam kłopotów z wymową. Po prostu nie byłem przygotowany na to, że zobaczę tak młodą i piękną kobietę...

Francesca mimo woli się uśmiechnęła. Zawsze było przyjemnie usłyszeć komplement, zwłaszcza wypowiedziany tak spontanicznie.

- Ojej - odparła z przekąsem. - Czyżby ktoś przedstawił mnie jako starą wiedźmę?

- Och, nie, milady - wybąkał zakłopotany przybysz. - Nikt niczego podobnego nie powiedział. Po prostu wszystko, co słyszałem o pani wielkich wpływach w towarzystwie i różnych możliwościach, kazało mi wyobrazić sobie osobę znacznie starszą, rzekłbym matronę... - Urwał. - Zdaje się, że nie stawiam się w najlepszym świetle.

- Proszę się nie przejmować. Daję słowo, że nie czuję się obrażona. Może pan usiądzie? - Wskazała mu miejsce na kanapie, a sama zajęła stojące obok krzesło.

- Dziękuję. - Usadowił się i ponownie zwrócił w jej kierunku. - Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to najście. Wiem, że to z mojej strony nadmierna

śmiałość, skoro nie zaliczam się do pani znajomych, ale przyjaciel zapewnił mnie, że mogę u pani szukać pomocy.

- Czyżby? Jeśli tylko będę w stanie...

- Chodzi o moją córkę Harriet. W tym roku miała debiut.

- Rozumiem.

Misja gościa przestała być dla Franceski zagadką. Próbowwała przypomnieć sobie pannę Harriet Sherbourne, ale nie zdołała przywołać z pamięci żadnej twarzy. Prawdopodobnie na tym właśnie polegał problem. Pierwszy sezon panny Harriet mijał bez sukcesów.

- Jestem wdowcem - ciągnął przybysz. - Od sześciu lat sam opiekuję się Harriet. Dobra z niej córka. Daje mi dużo pociechy i wiem, że będzie przykładną żoną. U mnie od czterech lat praktycznie prowadzi dom, ale tutaj... No cóż, nie ma powodzenia. - Zmarszczył czoło, wyraźnie tym zdziwiony.

- Pierwsza wizyta w Londynie może być trudna dla młodej panny - zapewniła go Francesca.

- Nie chodzi o to, że chcę ją jak najszybciej wydać za mąż - zapewnił sir Alan. - Szczerze mówiąc, wiem, że kiedy Harriet odejdzie z domu, zostanę sam jak palec. - Uśmiechnął się smutno. - Trudno mi jednak pogodzić się z tym, że przyjechała do Londynu i źle się tutaj czuje. Jak może czuć się dobrze, skoro cały czas siedzi pod ścianą i nikt jej nie chce poprosić do tańca?

- Ma pan rację.

- Ktoś wspomniał mi, że pani czyni cuda z młodymi damami, które nie radzą sobie dobrze w tej wspinaczce po drabinie społecznej, by tak powiedzieć. Wiem, że nie należymy do grona pani znajomych i w zasadzie nie powinienem oczekiwać pomocy, ale miałem nadzieję, że przynajmniej zechce nam pani doradzić. Słyszałem, że pod tym względem można liczyć na pani wielkoduszność.

- Naturalnie z wielką chęcią pomogę - zapewniła gościa Francesca.

Od pierwszej chwili sir Alan jej się spodobał, poza tym nie mogła odrzucić szansy, która tak niespodziewanie jej się nadarzyła. To było wyjątkowo fortunne zrządzenie losu. Inaczej musiałaby sama szukać wśród debiutantek takich, które mogłyby skorzystać z jej doświadczenia, a w dodatku miały rodziców skłonnych potrząsnąć sakiewką.

- Nie bardzo wiem, naturalnie, czego pani może dokonać - podjął dość niepewnie sir Alan.

- Ja też nie - przyznała Francesca. - Bez wątpienia powinnam najpierw poznać lady Harriet.

- Naturalnie. Jeśli zgodzi się pani, abyśmy razem złożyli jej wizytę, z przyjemnością przyprowadzę córkę w najbliższym czasie.

- To bardzo dobry pomysł. Może na przykład jutro po południu? Zapoznam się z lady Harriet, zobaczę, na czym polega problem, i wtedy będzie mi łatwiej coś zaradzić.

- Znakomicie. - Sir Alan cały się rozpromienił. - Bardzo jest pani uprzejma.

- Tymczasem może pan mi trochę opowie o swoich nadziejach, jakie wiąże z perspektywami córki w tym sezonie.

- Co pani przez to rozumie? - spytał zaskoczony.

- Z moich doświadczeń wynika, że rodzice często mają inne oczekiwania niż ich dzieci. Niektórzy chcą, żeby córka jak najszybciej wyszła za mąż, inni wolą, by poczekała na możliwość bardzo korzystnego małżeństwa.

- Ach, pojmuję. - Wyraźnie mu ulżyło. - Nie mam żadnych oczekiwań w związku z małżeństwem, milady. Jeśli Harriet pozna uczciwego młodego człowieka, którego zechce poślubić, to naturalnie będę się cieszył. Jest młoda i nie słyzałem dotąd, żeby wyrażała wielkie zainteresowanie zamążpójściem. Chcę po prostu, żeby miała udany sezon. Ona się nie skarży, ale przez ostatnie lata musiała dźwigać na barkach większą odpowiedzialność niż cała reszta jej rówieśniczek. Zasluguje na to, by dobrze się bawić w Londynie. Dlatego przyjechaliliśmy w czasie sezonu. Prawdę mówiąc, wydaje mi się jednak, że te

przyjęcia i bale ją nużą. Chciałaby móc potańczyć i porozmawiać z rówieśnikami. Moja matka sprawowała nad Harriet opiekę, ale biedaczka ma już swoje lata. Nie jest w stanie wszędzie towarzyszyć takiej pannie. Czasem mam też wątpliwości, czy te miejsca, w których mama bywa, są dla Harriet odpowiednie.

Francesca skinęła głową. Miała coraz jaśniejszy obraz sytuacji.

- Rozumiem.

Sir Alan sprawiał wrażenie porządnego ojca, który chciał dla swojej córki wszystkiego, co najlepsze. Bez wątpienia była to przyjemna odmiana po rodzicach, jacy przychodzili do niej wcześniej. Tych w większości interesowało, żeby małżeństwo było korzystne, szczęście wydawało się mniej ważne, a już naprawdę nieliczni wyrażali pragnienie, by córka po prostu miło spędziła czas.

Naturalnie życzliwość niekoniecznie przekładała się na gotowość wydawania pieniędzy dla osiągnięcia wyznaczonych celów. Byli rodzice, którzy oczekiwali od niej cudów, a jednocześnie nie zamierzali kupować córce nowych strojów lub domagali się świeżej garderoby za kilka pensów.

- Doświadczenie mówi mi, że chcąc zapewnić córce udany debiut, często trzeba dobrać jej odpowiednią garderobę, co zwiększa wydatki - zaczęła Francesca, chcąc sprawdzić, z jaką reakcją się spotka.

- Naturalnie, jeśli tylko uzna pani to za konieczne - zgodził się. - Takie kwestie zostawiam w pani rękach. Obawiam się, że moja matka nie jest najlepszą osobą do wybierania strojów na sezon dla młodej panny.

- Bez wątpienia będzie pan również musiał wydać przyjęcie. - Widząc jego przestraszoną minę, dodała szybko: - Jeśli pan woli, możemy urządzić je tutaj. Wtedy to ja zajmę się przygotowaniem.

- Tak będzie lepiej - orzekł Alan. - To najlepsze rozwiązanie, jeśli będzie pani taka uprzejma. Rachunki proszę przesyłać do mnie.

- Naturalnie.

Francesca uśmiechnęła się. Współpraca z niesprawiającymi trudności rodzicami sprawiała jej satysfakcję, zwłaszcza gdy scedowali na nią wszystkie decyzje i sprawy organizacyjne.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować, lady Haughston - powiedział niezwykle zadowolony sir Alan. - Harriet na pewno będzie bardzo szczęśliwa. Pójdę już, i tak zająłem pani zbyt wiele czasu.

Skłonił się uprzejmie i wyszedł, a Francesca wróciła na górę podniesiona na duchu. Wzięcie pod skrzydła Harriet Sherbourne oznaczało, że będzie miała co robić, a ponadto wiązało się z jakże pożądanym przyływem zasobów w najbliższych czasach. Po jakości ostatnich posiłków przygotowywanych przez kucharkę wywnioskowała, że Fentonowi kończą się pieniądze, które pełnomocnik księcia przysłał na utrzymanie Callie podczas jej pobytu u Franceski. Kamerdyner z kucharką jak zwykle zdołali dokonać małego cudu finansowego i środki wystarczyły jeszcze na kilka tygodni po wyprowadzce Callie.

Prowadzenie domu było zabezpieczone do końca sezonu dzięki podarkowi. Opuszczając dom Franceski, Callie sprezentowała jej kameę po matce, klejnot tak piękny, że trudno było się zdecydować, czy go spieniężyć. Na szczęście wkrótce potem księżna wdowa przysłała Francesce srebrny zestaw na kosmetyki jako osobne podziękowanie za zajęcie się w jej imieniu organizacją ślubu i wesela. Z nim również trudno było się rozstać, taca z dopasowanymi puzderkami, naczynkami i flakonikami cieszyła bowiem oko misternością rzemieślniczej roboty, jednak ostatecznie wczoraj Francesca skapitulowała i poleciła Maisie zanieść wszystko do jubilera.

Po sezonie następowały jesień i zima, czyli okres, w którym trudno było liczyć na jakiegokolwiek wpływy. Dlatego wszelkie oszczędności z funduszy sir Alana były w gospodarstwie domowym niezbędne. Zresztą Francesca po prostu lubiła mieć zadanie do zrealizowania. Dwa cele jednocześnie gwarantowały jej zaś, że nie będzie mogła sobie pozwolić na taki atak melancholii jak ostatnio.

Drobną radość poprawiającą nastrój zawdzięczała też Maisie, która właśnie przypomniała sobie, że ozdoby ze srebrnej koronki, jakie jesienią udało jej się odpruć od zniszczonej sukni balowej, doskonale będą pasować do jasnoszarej kreacji wieczorowej, którą Francesca zamierzała włożyć do teatru.

Resztę popołudnia spędziła więc z Maisie na krawieckich przeróbkach. Usunęły wierzchnią spódnicę i zastąpiły ją srebrzystym woalem z innej sukni, potem wykończyły koronką rąbek, dekolt i bufiaste rękawki. Popracowały trochę nad szwami, wreszcie dodały srebrzystą kokardę i suknia lśniła jak nowa. W niczym nie przypominała tej, która jeszcze rano wydawała się nie do włożenia. Francesca miała nadzieję, że będzie w niej wyglądać efektownie, i nikomu nie wpadnie do głowy, by pomyśleć o jej trzydziestu czterech latach.

We wtorkowy wieczór wybrany na eskapadę do teatru książę pojawił się przed umówioną godziną, czemu zresztą nie należało się dziwić. Jak zwykle był punktualny. Natomiast zaskakujące było to, że i Francesca była gotowa do wyjścia. Jednak kiedy Fenton powiadomił ją o przyjeździe Rochforda, odczekała jeszcze kilka minut, zanim zeszła go powitać. Dama nie powinna objawiać nadmiernej gorliwości, nawet jeśli chodzi o starego przyjaciela, a nie adoratora.

Kamerdyner zaprowadził gościa do oficjalnego salonu, więc gdy Francesca weszła, zastała go przed portretem wiszącym nad kominkiem. Obraz pochodził z czasów małżeństwa z Haughstonem i wisiał na swoim miejscu już tak długo, że nikt go nie zauważał, tak samo jak nie zwraca się uwagi na stare meble.

Tym razem jednak Francesca poświęciła wizerunkowi nieco uwagi i natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście miała kiedyś tak gładką i aksamitną skórę, czy artysta umiał schlebiać swoim modelkom.

Słyszając odgłos kroków, książę zerknął przez ramię i przez chwilę miał w twarzy coś takiego, że Francesca znieruchomiała. Zaraz jednak uśmiechnął się i nawet trudno było odgadnąć, co mogła wyrażać ta mina. Mimo to serce Franceski забиło mocniej.

- Rochford - powitała go i wyciągnęła do niego rękę.

Wtedy zobaczyła, że trzyma w dłoni bukiet kremowych róż. Zaskoczona przytknęła dłonie do piersi.

- Jakie piękne! Dziękuję!

Wzięła od niego kwiaty, pokraśnawszy z zadowolenia.

- Wiem, że pospieszyłem się o jeden dzień, ale pomyślałem, że zanim rozstaniemy się tego wieczoru, będą pani urodziny.

- Ojej. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Pamiętał pan.

- Naturalnie.

Francesca skryła twarz wśród róż i wciągnęła w nozdrza ich zapach, tak naprawdę chciała jednak przede wszystkim ukryć wzruszenie.

- Dziękuję - powtórzyła, spoglądając księciu w oczy.

Nawet nie umiałyby sprecyzować, dlaczego tak ją cieszy, że zadał sobie trud i przyniósł kwiaty. W każdym razie poczuła się tak radośnie, jak już dawno jej się nie zdarzyło.

- Nie ma za co. - W półmroku panującym w pokoju z jego ciemnych oczu nie sposób było cokolwiek wyczytać.

Intrygowało ją, czy Rochford przypomina sobie, jak wyglądała przed piętnastoma laty? Czy uważa, że bardzo się zmieniła?

Zaniepokojona biegiem swoich myśli, pociągnęła za taśmę dzwonka. Fenton, jak zawsze niezwykle sprawny, nadszedł niemal natychmiast, a ponieważ widział już wcześniej księcia z różami, od razu wniósł wazon wypełniony wodą. Postawił go na stoliku przy kanapie, więc Francesca mogła zająć się dłużej układaniem kwiatów.

- Mam jednak nadzieję - odezwała się po chwili, wciąż pochłonięta przesuwaniem łądyżek w wazonie - że przechowuje pan w pamięci jedynie datę moich urodzin, a nie kolejne liczby.

- Pani sekret jest u mnie bezpieczny - zapewnił ją z udawaną powagą. - Zresztą daję słowo, że gdybym chciał ujawnić pani wiek, nikt by mi nie uwierzył.

- To łgarstwo, ale ileż ma uroku.

- Proszę nie zarzucać mi mijania się z prawdą. Właśnie patrzyłem na ten portret i myślałem o tym, jak niewiele się pani zmieniła.

Już miała odpowiedzieć jakąś kąśliwą uwagą, kiedy nagle przypomniał jej się sen sprzed dwóch dni. Spojrzała na Sinclaira i już nie mogła oderwać wzroku od jego oczu. Właśnie tak patrzył na nią w tym śnie i zaraz potem poczuła dotyk jego warg...

Splonęła rumieńcem, a w twarzy Rochforda nagle coś się zmieniło. O ton pociemniały mu oczy. Francesca pomyślała, że zaraz ją pocałuje i zamarła w oczekiwaniu.

Rozdział czwarty

Jednak jej nie pocałował. Cofnął się o krok i wtedy przekonała się, że jak zwykle przybrał maskę chłodnej obojętności. Bardzo różniło się to od wyrazu twarzy, jaki zdawała się przez chwilę widzieć. Najwyraźniej jednak zwiódł ją półmrok, gra cieni. Wszystko przez Fentona, który z oszczędności zapalił zbyt mało świec.

- Dziwię się, że nie wydała pani przyjęcia urodzinowego - zauważył Rochford.

Francesca odwróciła się, usiłując zapanować nad niepożądaną słabością, która zdawała się brać nad nią górę. Nie będzie myślała o śnie. On nic nie znaczył. Poza tym książę nie ma pojęcia, że coś takiego jej się śniło. Dlaczego więc ma się czuć zakłopotana?

- Głupstwa pan mówi - odparła kwaśno i gestem zaprosiła go, by za jej przykładem usiadł. - Osiągnęłam już wiek, w którym kobieta nie chce zwracać uwagi na kolejne mijające lata.

- Mimo wszystko pozbawia pani nas, zwykłych śmiertelników, okazji do uczczenia jej obecności.

- Grubymi nićmi to szyte, czyż nie? - odparła z ironią.
- Moja droga Francesco - Rochford nie przejął się jej sarkastycznym tonem
- z pewnością nieraz porównywano panią do bogini.

- Nigdy jednak nie robił tego człowiek, który cieszy się opinią fanatyka prawdy.

- Poddaję się - stwierdził ze śmiechem. - Niezaprzeczalnie zostałem pobity. Wiem zresztą nie od dziś, że ten, kto wdaje się z panią w potyczkę słowną, nie ma wielkich szans.

- Ładnie, że pan to przyznaje. Czas na nas. Obawiam się, że lady Althea już czeka.

- Tak, naturalnie - przyznał książę, nie wydawał się jednak nadmiernie zainteresowany perspektywą spotkania, co zafrasowało Francescę.

Od początku wiedziała, że sprawa będzie trudna i zmagania bez wątpienia potrwać długo. Książę nie był człowiekiem zmiennym, należało więc wykazać niemało cierpliwości i uczciwie się postarać, żeby przekonać go do czegoś, czemu od lat się sprzeciwiał. Poza tym nie była stuprocentowo pewna, czy to właśnie lady Althea jest wymarzoną żoną dla księcia.

Przypomniała sobie uwagę Irene, rzuconą podczas balu. Szczerze mówiąc, musiała zgodzić się ze zdaniem, że snobizm nie jest obcy lady Althei. Niby u księżnej nie stanowiło to problemu, warto było jednak postawić sobie pytanie, czy ktoś taki może uszczęśliwić Rochforda. Naturalnie kiedy chciał, potrafił pokazać „książęce oblicze”, jak to nazywała Callie, nie należał jednak do ludzi, którzy mają zwyczaj obnosić się ze swoją pozycją. Potrafił porozmawiać niemal z każdym, bez względu na jego status społeczny. Francesca nie przypominała sobie sytuacji, kiedy książę uznałby, że wysłuchanie kogoś lub przyjście komuś z pomocą jest poniżej jego godności.

Zerknęła na niego, gdy opuszczali dom i zbliżali się do eleganckiego powozu, którym zwykle Rochford poruszał się po Londynie. Ten właśnie pojazd stanowił dowód całkowitego braku jego zadufania. Był oczywiście solidnie

wykonany i kosztowny, ale książęcy herb nie zdobił drzwiczek. Rochford nigdy nie szukał poklasku tłumów, nie odczuwał też potrzeby obnoszenia się ze swoją pozycją. Pomógł jej wsiąść, a potem zajął miejsce naprzeciwko. Oparła się o miękki skórzany zagłówek i pogrążyła w zadumie. Mroczne kameralne wnętrze stwarzało dużo bardziej intymną atmosferę niż salon, nawet jeśli dzieliła ich mniej więcej taka sama odległość.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jechała powozem sam na sam z Rochfordem. Nie towarzyszył jej na bale i przyjęcia, jeśli nie liczyć krótkiego okresu ich narzeczeństwa, wtedy zaś była bardzo młodą panną, więc nie odstępowała jej przyzwoitka: jej matka lub jego babka. Francesca zerknęła z niepewną miną na swoje dłonie w rękawiczkach z kozłej skórki, splecione na kolanach.

W gruncie rzeczy sytuacja wydawała się jej dość zabawna. Bądź co bądź, powszechnie uważano ją za osobę, która potrafi podtrzymać każdą konwersację, tymczasem nagle poczuła pustkę w głowie, w dodatku siedząc naprzeciwko człowieka, którego znała od niepamiętnych czasów. Niestety, wyglądało na to, że nie uda się wyrzucić z pamięci niedawnego snu, który raz po raz zakłócał tok myśli. Poza tym bardzo rozpraszała Francescę świadomość, że Rochford na nią patrzy. Naturalnie nie było żadnego powodu, dla którego miałby tego nie robić, skoro siedzieli twarzą w twarz. Na pewno jednak nie powinna się czuć nieswojo, a właśnie ogarnęło ją skrępowanie.

Na szczęście podróż do rezydencji lady Althei trwała zaledwie kilka minut. Francesca została w powozie, Rochford poszedł po ostatnią uczestniczkę wyprawy. Nie zajęło mu to dużo czasu, bez wątplenia więc nie gawędzili z sobą zbyt długo. Francesca uznała jednak, że nie może brać tego lady Althei za złe, skoro ona sama przez ostatnie minuty miała pustkę w głowie. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby lady Althea wykazała nieco więcej zaangażowania.

Gdy lokaj otwierał drzwiczki powozu i przystawiał schodki, a Rochford z lady Altheą stali w oczekiwaniu, Francesca usłyszała zadane dość rozczarowanym tonem pytanie:

- Ojej, nie jedziemy książęcym powozem?

Rochford zerknął kątem oka na Francescę, która obserwowała tę scenę przez okno, i kpiąco uniósł brew.

- Nie, milady. Obawiam się, że jedynie moja babka używa powozu z herbem. Można jednak powiedzieć, że i to jest książęcy powóz, skoro należy do mnie.

Lady Althea popatrzyła na niego nieco zdziwiona.

- Tylko skąd inni mają to wiedzieć? Francesca omal głośno nie westchnęła. Poczucie humoru i swoboda nie wydawały się mocnymi stronami starannie wybranej przez nią panny.

- Zaiste - mruknął książę, wyciągając rękę, by pomóc jej we wsiadaniu.

Althea zajęła miejsce obok Franceski i zaszczyliła ją skinieniem głowy z całkowicie obojętną miną.

- Dobry wieczór, lady Haughston.

- Dobry wieczór. Pięknie pani wygląda.

- Dziękuję.

Trochę ją rozdrażniło, że lady Althea nie odwzajemniła komplementu. Co więcej, nawet nie próbowała podtrzymać konwersacji.

- Ufam, że pani rodzice mają się dobrze - dzielnie brnęła Francesca.

- Nie najgorzej, dziękuję. Ojciec rzadko niedomaga. Tak zresztą jest ze wszystkimi Robartami.

- Nadzwyczajne. - Francesca odnotowała wyraz rozbawienia w oczach księcia. Złościło ją jednak, że lady Althea raczej nie dokłada starań, by wyrzeć korzystne wrażenie. - A czy lady Robart znajduje sezon interesującym? Muszę powiedzieć, że w tym roku rzadko ją widuję.

- Lady Robart często dotrzymuje towarzystwa mojej matce chrzestnej - wyjaśniła Althea. - To lady Ernesta Davenport, siostra lorda

Rodneya Ashenhama, ale pani naturalnie to wie, prawda?

- Ach, tak.

Francesca знаła Ashenhama i jego siostrę, oboje wydawali się jej dość zarozumiali. Lady Davenport skarciła ją kiedyś, mówiąc, że prawdziwa dama nie śmieje się głośno, tylko pospolite dziewczki ryczą jak oślice. Zdarzyło się to wtedy, gdy Francesca dostała ataku chichotu po jakiejś gafie, którą popełniła podczas pierwszego sezonu.

- One razem dorastały - ciągnęła lady Althea. - Są zresztą kuzynkami w pierwszej linii.

- Rozumiem.

Althea najwyraźniej potraktowała to lakoniczne potwierdzenie jako wyraz zainteresowania, przez dłuższy czas bowiem rozwijała kwestię drzewa genealogicznego Ashenhamów, którzy - jak się okazało - mieli związki ze wszystkimi najwybitniejszymi rodami angielskimi.

Francesca wytrwale słuchała tego z perfekcyjnie wyćwiczoną jeszcze w czasach młodości miną mającą wyrażać głębokie zainteresowanie, tymczasem zaś w myślach przypominała sobie wszystkie swoje pantofelki, starając się ustalić, czy któreś z nich pasują do wieczorowej sukni w kolorze morskim widzianej przez nią w ubiegłym tygodniu w pracowni mademoiselle du Plessis. Suknia czekała na klientkę, która miała uiścić lwią część rachunku, ale trwało to już dosyć długo i mistrzyni igły szczerze wątpiła, czy zamawiająca kiedykolwiek do niej wróci. Obiecała więc sprzedać tę kreację Francescę za jedną trzecią ceny, jeśli klientka nie pojawi się w ciągu tygodnia.

Suknia była za długa, tym jednak Francesca zupełnie się nie przejmowała, Maisie potrafiła bowiem poradzić sobie z takim zadaniem bez kłopotu. Nowa kreacja była pilnie potrzebna. Przeróbek nie można było ciągnąć w nieskończoność, a pokazywanie się zbyt często w tej samej toalecie balowej

mogło zwrócić czyjąś uwagę. Francesca wiedziała, że duma jest uczuciem grzesznym, nie zniosłaby jednak, gdyby ludzie zorientowali się, jak bardzo zbliżyła się do granicy ubóstwa.

Największy problem miała z pantofelkami. Mimo starań Franceski zużywały się one niewiarygodnie szybko. Tymczasem pantofelki do tańca nie były towarem, który można nabyć po okazyjnej cenie. Dlatego Francesca od dawna już wybierała pantofelki w możliwie uniwersalnych kolorach, pasujących do wielu sukni. Z tą toaletą w kolorze morskim najpiękniej wyglądałyby srebrne sandaalki, taki zakup wydawał się jednak Francescę zbyt ekstrawagancki. Chociaż właściwie... Pasowałyby przecież także do innych kreacji.

Może powinna wybrać się na strych i znowu poszperać w kufrach? Zawsze była szansa na znalezienie czegoś wartościowego, co można spieniężyć.

- Lady Haughston?

Francesca szybko spojrzała na rozmówczynię, świadoma, że zatonęła we własnych myślach.

- Słucham? Och, przepraszam bardzo, zamyśliłam się.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła dość sztywno Althea.

- Rzeczywiście. - Francesca wyjrzała przez szybę i ujrzała znajomy zarys Royal Theater.

Podejrzewała, że trochę utarła nosa lady Althei takim zagubieniem wątku konwersacji. Ta panna powinna się nauczyć, że dokładne analizowanie drzewa genealogicznego własnej rodziny nie jest dobrym sposobem na utrzymanie uwagi słuchaczy. Francesca uznała, że musi znaleźć sposób na udzielenie lady Althei kilku cennych rad dotyczących sztuki prowadzenia konwersacji, aby miała ona szansę zaskarbić sobie względy Rochforda. Naturalnie najpierw sama Francesca musiała nabrać przekonania, że to lady Althea jest kobietą, która powinna zawojować Rochforda.

Księżę zręcznie wysiadł z powozu i wyciągnął ramię, by pomóc damom. W drodze do drzwi Francescę udało się zostać nieco z tyłu, aby Sinclair znalazł się

sam na sam z Altheą. Musiała przecież dać mu sposobność do lepszego poznania tej panny. Nie była tylko pewna, czy obecność księcia nie przejmuje Althei niepokojem. Niektóre kobiety tak na niego reagowały, a przecież zdenerwowanie często sprawia, że ludzie plotą trzy po trzy.

Francesca zatrzymała na nich wzrok. Ciemna głowa Rochforda była lekko pochylona ku Althei, która coś mówiła. Może wcześniejsza konwersacja go nie zraziła? Widziała już przecież mężów, którym nie przeszkadzały najbardziej zdziwaczałe żony. A cokolwiek sądzić o Althei, atrakcyjności odmówić jej nie można było.

Przyszło jej do głowy, że w czasie przerwy powinna złożyć komuś wizytę w łoży. To dałoby tym dwojgu okazję do sam na sam, które nie byłoby niestosowne w otoczeniu widowni pełnej ludzi. Postanowiła się rozejrzeć przed rozpoczęciem przedstawienia i wypatrzeć znajomych.

Tymczasem zaczęła obserwować wchodzących. Tak ją to pochłonęło, że aż drgnęła zaskoczona, gdy ktoś nagle dotknął jej łokcia. Podniosła głowę i ujrzała bacznie przypatrującego jej się Rochforda.

- Czyżby znów pani popadła w zadumę, lady Haughston? - spytał z ironicznym uśmiechem.

- Ja... - Poczwała, że się rumieni. - Bardzo przepraszam, obawiam się, że dziś wieczorem trudno mi się skupić.

Weszli do środka. Księżę szedł teraz obok Franceski, a lady Althea przed nimi. Jednak gdy dotarli do luksusowej łoży, Francesca zdołała wykonać zręczny manewr i lady Althea znalazła się między nią a Rochfordem. Zająwszy miejsce, szybko przytknęła do oczu lornetkę, aby wśród widzów wyszukać znajomych.

Najpierw zauważyła panią Everson z mężem i dwiema córkami. Mogła ewentualnie potem do nich podejść, chociaż nie była to zachęcająca perspektywa. Na wszelki wypadek powitała ich skinieniem głowy, po czym kontynuowała poszukiwania. Szkoda, że nie poprosiła Luciena, aby zabrał

kogoś tego wieczoru do teatru, wtedy bowiem miałyby bezpieczną przystań, która nie grozi konwersacyjnymi mieliznami.

Podczas gdy prowadziła oględziny, ogarnęło ją denerwujące wrażenie, że jest obserwowana.

Odsunęła lornetkę od oczu i omiotła wzrokiem całą salę, najpierw rzędy łóż, potem parter. W pewnej chwili zauważyła mężczyznę w przejściu i z ust wyrwał jej się cichy okrzyk. Mimo woli mocniej zacisnęła dłoń na ręczce wachlarza.

- Co się pani stało, Francesco? - spytał Rochford, który pochylił się nad barierką i próbował się zorientować w przyczynie jej nagłego zaniepokojenia.

- Do licha! Perkins! - odpowiedziała półgłosem.

Mężczyzna, widząc, że skupił na sobie uwagę Franceski, skłonił się z kpiącą miną. Francesca odwróciła wzrok, nie zaszczyciwszy go nawet skinieniem głowy, po czym odsunęła się od balustrady.

- Co on tutaj robi? - spytała z nieukrywaną odrazą.

- Kto? - zainteresowała się lady Althea, wodząc wzrokiem po głowach tłumu zgromadzonego na parterze.

- Galen Perkins - odparł Rochford.

- Nie wydaje mi się, żebym z kimś kojarzyła to nazwisko.

- Nic dziwnego - wyjaśniła Francesca. - Od wielu lat nie było go w kraju.

- To łajdak, jakich mało - dodał książę.

Francesca zauważyła, że przy okazji ukradkiem na nią zerknął. Bez wątplenia wiedział, że Perkins należał do przyjaciół jej zmarłego męża. Pochodził z bocznej gałęzi szanowanego rodu, ale robił wszystko, by zszargać jego opinię. Był hazardzistą i pijakiem i z tej racji towarzyszył w niejednej eskapadzie lordowi Haughstonowi. Francesca nie bez wstrętu przypomniała sobie, że mimo ich przyjaźni dość bezceremonialnie się do niej zalecał.

- Czego on znowu szuka w Londynie? - spytała Francesca i kierując wzrok na lady Altheę, dodała: - Przed kilkoma laty Perkins musiał uciekać na kontynent, ponieważ zabił w pojedynku człowieka.

- Wielkie nieba, kogo?

- Avery'ego Bagshawa, syna sir Geralda - wyjaśnił Rochford. - Sir Gerald niedawno zmarł, przypuszczalnie więc Perkins uznał, że powrót niczym mu nie grozi. Sir Gerald nie może już naciskać na władze, by aresztowały Perkinsa. Minęło siedem czy osiem lat, a w takich sytuacjach zwykle przymyka się oko.

- Jestem pewna, że nikt go nie zechce przyjąć - stwierdziła zdecydowanie lady Althea, wzmiankując najwyższy w swoim pojęciu wymiar kary.

- Bez wątpienia - przyznała Francesca.

Przerażało ją, że człowiek, który dopuścił się takiego czynu, znów jest w Londynie. Przynajmniej nie była skazana na ciągłe z nim kontakty. Andrew nie żył, więc Perkins nie będzie przychodził do jej domu, a lady Althea miała rację, że wstęp do eleganckiego świata jest dla niego zamknięty, więc o przypadkowym spotkaniu na balu lub przyjęciu też nie było mowy.

Wyrzuciła więc z myśli tego szubrawca i skupiła się na swoim towarzystwie. Podczas gdy przyglądała się widowni, konwersacja zamarła, wymiana zdań na temat Galena Perkinsa też dobiegła końca.

Francesca znowu przejęła inicjatywę.

- Czytali państwo najnowszą książkę? - spytała

- Lady Rumor? - sprecyzował Rochford, uśmiechając się kącikami ust.

- Jaka lady? - zdziwiła się skonfundowana Althea.

- Rumor. To pseudonim literacki - wyjaśniła Francesca. - Nikt nie wie, kto się pod nim ukrywa, podobno jednak autorka należy do towarzystwa.

- Po co ktoś należący do towarzystwa miałby pisać książki?

- Opowiada o różnych plotkach i skandalach w sposób trochę zamaskowany. Wszyscy jednak i tak się boją, czy nie zostali opisani - ciągnęła Francesca.

- Z drugiej strony ci, których pominięto, czują się głęboko urażeni - dodał zjadliwie Rochford.

- Trudno odmówić panu racji - przyznała Francesca.

- To niedorzeczne - oceniła Althea. - Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał zostać wymieniony w skandalizującej książce. Taka plama na honorze rodziny!

Francesca uznała, że lady Althea istotnie jest pozbawiona poczucia humoru. Zerknęła kątem oka na Rochforda i zauważyła u niego objawy rozbawienia.

- Ma pani rację, nie potrafię odgadnąć, skąd przyszła mi do głowy tak niedorzeczna myśl - rzekł i przesłał ucieszne spojrzenie Francesce, która musiała odwrócić głowę, by ukryć uśmiech.

Rozumiała jednak, że sytuacja jest niekorzystna. Lekka konwersacja, którą zamierzała prowadzić, najwyraźniej nie była terenem, po którym lady Althea swobodnie się poruszała. Na-leżało więc zmienić kierunek rozmowy, tak by umożliwić jej przedstawienie się w lepszym świetle. Francesca próbowała coś odpowiedniego wymyślić, kłopot polegał jednak na tym, że nie znała dobrze lady Althei.

- Zbliża się bal u lady Symington - powiedziała w końcu. - Czy pani się tam wybiera?

- Tak. Lady Symington jest dalszą kuzynką mojego ojca.

Na szczęście Francesce udało się powściągnąć jęk rozpaczy. Niechcący utrafiła w temat lubiany przez lady Altheę, która najwidoczniej chętnie konwersowała na temat swojej rodziny.

- Zdaje się, że gasną światła - zauważył Rochford. - Zaraz zaczniesz się przedstawienie.

- To prawda. - Francesca z ulgą skierowała wzrok ku scenie.

Szczerze mówiąc, rozwój akcji mało ją jednak interesował. Zanadto pochłaniały ją własne plany. Nadzieje na wciągnięcie lady Althei do zajmującej konwersacji wydawały jej się nierealne, uznała więc, że należy urzeczywistnić

wcześniej powzięty zamiar i podczas przerwy odwiedzić kogoś w innej loży, aby umożliwić Rochfordowi sam na sam z ewentualną kandydatką na narzeczoną.

Naturalnie byłoby lepiej, gdyby udało jej się dojrzeć kogoś bardziej zajmującego niż Eversonowie. Pan Everson uważał się za eksperta w każdej dziedzinie i z przyjemnością dzielił się swoimi opiniami bez względu na to, czy ktoś chciał go słuchać. Z kolei pani Everson uwielbiała opowiadać o swoich dolegliwościach, które wydawały się niezliczone, choć nie uniemożliwiały jej czynnego udziału w życiu towarzyskim. Tylko dziewczęta zdawały się mieć niewiele do powiedzenia, co nie dziwiło, zważywszy na to, jak wymowni byli ich rodzice.

Francesca rozumiała jednak dobrze, że nie ma wyboru. Wprawdzie powoli nabierała pewności, że Althea Robart nie nadaje się na żonę dla Rochforda, ale mimo wszystko była gotowa dać jej jeszcze jedną szansę. Może podczas tego sam na sam panna nagle zabłąśnie. Gdy więc kurtyna opadła i znów zapalono światła, Francesca wstała. Okazało się, że nie doceniła Rochforda, który ją uprzedził.

- Może przynieść paniom coś do picia? - zaproponował. - Na przykład po kieliszku ratafii?

- To bardzo miły gest z pana strony - odparła Francesca, zanim lady Althea zdążyła zareagować. - Jeśli chodzi o mnie, to dziękuję. Chyba pójdę odwiedzić panią Everson. Może jednak lady Althea ma ochotę?

Rochford spojrzał na nią z miną bliską osłupienia.

- Panią Everson?

- Tak, widziałam ją, kiedy wchodziliśmy. - Francesca wykonała dość szeroki gest.

- Ja też - potwierdził Rochford, nadal bacznie jej się przyglądając. - Skoro tak, proszę pozwolić, że panią odprowadzę.

- Słucham? - Teraz to Francesca zdumiała się ponad wszelką miarę. - Pan?

Doskonale wiedziała, że Rochford unika pana Eversona jak zarazy, ten bowiem usiłował wciągnąć księcia w jakąś inwestycję w Indiach. Zaledwie kilka tygodni temu Callie opowiadała jej ze śmiechem, jak brat spędził cały tydzień w wiejskim domu lorda Kimbrough i przez cały czas bawił się z Eversonem w chowanego. Dlaczego więc nagle dobrowolnie naraża się na kontakt z tym człowiekiem?

- Tak, ja - odrzekł beznamiętnie.

- Ale... To jest...

- Tak, słucham? - Przechylił głowę, przybrawszy dość irytującą minę.

- Będzie mi bardzo miło. - Zwróciła się z uśmiechem do trzeciej uczestniczki wyprawy. - Lady Altheo, czy zechce nam pani towarzyszyć?

Panna rozejrzała się po widowni, bez wątpienia próbując dociec, co ciekawego może być w Eversonach.

- Dobrze - powiedziała w końcu.

Rochford odsunął się na bok, by przepuścić kobiety, ale gdy Francesca była w połowie drogi do wyjścia, rozległo się pukanie, a zaraz potem drzwi łoży zostały otwarte. O framugę opierał się Galen Perkins.

Francesca stanęła jak wryta i przez dłuższą chwilę trwała sytuacja patowa. Potem Perkins skłonił głowę i wszedł do środka.

- Lady Haughston. Wygląda pani jeszcze piękniej niż zwykle. Osiem lat powinno zrobić swoje, tymczasem mam wrażenie, że znalazła pani jakiś czarodziejski środek.

- Pan Perkins - odpowiedziała przez zaciśnięte zęby Francesca.

Nigdy tego człowieka nie lubiła, kiedyś jednak przynajmniej atrakcyjnie wyglądał. Lata rozpusty sprawiły, że utył, a twarz zrobiła mu się nalana. Kręcone jasne włosy, choć wciąż z wielkim pietyzmem przystrzyżone, wiele straciły ze swego blasku i wyraźnie się przeredziły. W białych niebieskawych oczach Perkinsa odbijało się znużenie.

- Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu straty - ciągnął. - Lord Haughston był moim wypróbowanym przyjacielem. Bardzo mi było przykro, że nie mogłem przyjechać na jego pogrzeb.

- Dziękuję.

Rochford wysunął się zza dam i stanął przed Francescą.

- Perkins.

- Rochford - odparł tamten, nieco rozbawiony zachowaniem księcia.

- Dziwię się, że pana tutaj widzę - ciągnął obojętnym tonem Rochford.

- Naprawdę? Chciałem porozmawiać z lady Haughston. Nie mogłem nie odnowić starej przyjaźni.

- Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi - oświadczyła Francesca.

- To bardzo szorstkie słowa - odrzekł z nieprzyjemnym uśmiechem Perkins.

- Po tylu latach znajomości nie spodziewałbym się po pani takiego braku życzliwości.

- Nie miałem na myśli pańskiej zaskakującej obecności w loży - podjął złowróbnym tonem Rochford. - Ona też zresztą jest przejawem bezczelności, zważywszy na to, że nikt pana nie zaprosił. Chodziło mi jednak o pana pobyt w Londynie po dość raptownym wyjeździe przed ośmioma laty.

- To już przeszłość.

- Nad życiem człowieka nie przechodzi się tak łatwo do porządku - odparł książę.

- Pan się ani trochę nie zmienił - wycedził Perkins. - Zawsze należał pan do świętoszków. -

Zwrócił się do Franceski i dodał: - Widzę, moja droga, że tym razem mierzy pani wyżej. Ciekaw jestem, co pomyślałby sobie biedny Andrew.

Francesca zdrętwiała. Dopiero teraz przypomniała sobie z całą mocą, jak bardzo nie znosiła tego człowieka.

Nie zdążyła jednak wygłosić stosownej odpawy, bo uprzedził ją książę.

- Myślę, że czas już, aby pan stąd odszedł, Perkins.

Perkins zacisnął usta, przez chwilę zdawało się, że zamierza wszcząć awanturę, ale nagle wyraźnie się rozluźnił.

- Jak sobie życzy Wasza Wysokość. - Tytuł honorowy zabrzmiał w jego ustach jak obelga. Perkins skłonił się przed damami. - Żegnam panie.

Odwrócił się i wyszedł. W loży zapanowało milczenie.

- Doprawdy, cóż za impertynencki osobnik - powiedziała w końcu lady Althea. - Proszę mi nie mówić, że utrzymywała z nim pani jakiegokolwiek stosunki, lady Haughston.

- To zrozumiałe, że nie - odrzekła poirytowana Francesca. - On był tylko znajomym mojego nieżyjącego męża.

- Pojawienie się tutaj było wysoce nieeleganckie z jego strony - uznała lady Althea.

- Nie wydaje mi się, by pan Perkins szczególnie przejmował się przyjętymi formami - wtrącił oschle Rochford.

Przez cały następny akt Francesca dyskretnie go podglądała, żeby sprawdzić, czy interesuje się Altheą. Księżę jednak uważnie wpatrywał się w scenę, a raz, kiedy odwrócił głowę, patrzył prosto na nią. Spłonęła rumieńcem i bardzo była wdzięczna losowi, że w sali panuje mrok. Miała nadzieję, że nie dokonywała swych oględzin zbyt ostentacyjnie. Rochford miał denerwującą umiejętność dostrzegania różnych rzeczy, a gdyby zorientował się w jej planach, mógłby zażądać wprost, by zaniechała swych zamiarów.

Po epizodzie z Perkinsem w czasie następnej przerwy zrezygnowała jednak z odwiedzin u Eversonów. Ponieważ zaś pozostała w loży, podjęła ostatnią próbę zachęcenia Althei i Rochforda do rozmowy. Okazało się jednak, że pierwsze skrzypce gra księżę, chociaż Francesca starała się, jak mogła angażować Altheę. Gdy Rochford wspomniał o pewnym kompozytorze, natychmiast spytała pannę o jej opinię, a gdy nadmienił o zamiarze odwiedzenia posiadłości w Kornwalii, zainteresowała się, czy lady Althea lubi tamtejsze

krajobrazy. Również gdy wspominali z księciem jej starego gniadosza z Redfields, nie omieszkała spytać lady Althei, czy jeździ konno.

Taki sposób prowadzenia konwersacji był dość męczący, a w dodatku Francesca nie widziała, by przynosił on spodziewane rezultaty. Althea, owszem, odpowiadała na pytania, ale jej wtręty nie wydawały się ani zbyt ożywcze, ani naturalnie wkomponowane w tok rozmowy.

Francesca nie sądziła, by w przyszłości Rochford miał szczególną ochotę szukać towarzystwa lady Althei, nie zamierzała jednak dłużej go wspomagać, nawet gdyby przyszło mu to do głowy. Kolejny tak wyczerpujący wieczór stanowczo przerósłby jej siły.

Po ostatnim spuszczeniu kurtyny Rochford odwiózł damy do domu. Najpierw elegancko odprowadził Altheę do samych drzwi, potem powtórzył ten sam manewr pod domem Franceski. Kamerdyner im otworzył, po czym natychmiast skłonił się i wycofał. Francesca zwróciła się do Rochforda.

Nagle zdała sobie sprawę z otaczającej ich ponurej ciszy. Pierwszy raz od bardzo dawna byli naprawdę sami. Cała służba spała na poddaszu, a jedynym źródłem światła na dole był kandelabr pozostawiony na stoliku w holu.

Cisza była głęboka i tak natrętna, że niemal można było jej dotknąć. Poza żółtawym kręgiem panował mrok. Francescę znowu ogarnęło mrowiące doznanie, jakie pamiętała z wieczoru, gdy tańczyli na balu. Spojrzała w twarz Rochfordowi.

Wszystko w jednej chwili minęło, gdy dostrzegła jego minę. Ściągnął brwi, zaciśnięte usta tworzyły wąską linię. Oczy groźnie lśniły mu w półmroku.

- Co, u diabła, pani sobie wyobraża?

Rozdział piąty

Tak ją zaskoczył, że w pierwszej chwili Francesca zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zaraz jednak dumnie uniosła głowę i lodowatym tonem stwierdziła:

- Przykro mi bardzo, ale nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Niech pani nie żartuje. Ta mina niewiniątka może działać na innych, ale nie na kogoś, kto zna panią od małego. Chodzi mi o występ, który dała pani dziś wieczorem.

- Występ? Czy pan przypadkiem nie dramatyzuje?

- A jak to pani zdaniem inaczej nazwać? Najpierw zarządziła pani wyjście we trójkę do teatru, mimo że lady Althea wcale nie jest pani przyjaciółką.

- A skąd pan wie?

Rochford spiorunował ją wzrokiem.

- Francesco, litości... Niech mnie pani traktuje jak nieco bardziej rozumnego człowieka. Potem była scenka: „Co pani o tym sądzi, lady Altheo?”, „Czy pani lubi tego kompozytora, lady Altheo?”. Nie wspomnę już o pani planie pozostawienia nas sam na sam podczas odwiedzin u Eversonów. Niech pani się przyzna. Koniecznie chciała mnie pani dziś wieczorem skojarzyć z Altheą Robart. Muszę zresztą powiedzieć, że taki brak finezji zupełnie do pani nie pasuje.

- Gdyby ta kobieta miała choćby blade pojęcie o tym, jak prowadzić konwersację z mężczyzną, nie musiałabym tak się męczyć - odparła ze złością Francesca.

- Dlaczego? Tylko niech mi pani nie wmawia, że ona potajemnie o mnie marzy. Szczerze wątpię, by ta panna była w stanie okazać zainteresowanie kimkolwiek. Nie potrafię też sobie wyobrazić, żeby jej matka poprosiła o pomoc w zaaranżowaniu małżeństwa córki.

- Do mnie się nie zwracała. Althea nie próbuje pana usidlić. Myślę, że należy to jasno powiedzieć.

- Powtarzam więc pytanie: po co? Francesca rozważała, czy jest dobre wyjście z tej sytuacji. Gdy milczenie się przedłużało, Rochford skrzyżował ramiona i obrzucił ją kpiącym spojrzeniem.

- Niech pani nie próbuje wymyślać łągarstw. Oboje wiemy, że nie uwierzę.

- Pewnie rzeczywiście - przyznała niechętnie. - Czy nie może pan zadowolić się wyjaśnieniem, że chcę mu wyświadczyć przysługę?

- Skazując mnie na kobietę, która umie wyrecytować drzewo genealogiczne swojej rodziny do pięciu pokoleń wstecz?

- Nie wiedziałam, że jest taka nudna. Nie znam jej dobrze.

- A mimo to sądziła pani, że jest dla mnie idealną kandydatką?

- Nie, tylko jedną z kilku.

Księżciu odebrało mowę. W końcu wycedził z emfazą:

- A po co pani te kandydatki?

- Przecież pan musi się ożenić. Skończył pan trzydzieści osiem lat, a na głowie rodu spoczywa obowiązek...

- Doskonale znam swój wiek, dziękuję za przypomnienie. Zdaję też sobie sprawę ze swoich obowiązków wynikających z tytułu. Nie rozumiem tylko, skąd u pani przeświadczenie, że szukam żony, i dlaczego to pani miałaby mi przedstawiać kandydatki!

- Pst, Rochford! - Francesca skierowała zaniepokojone spojrzenie ku schodom. - Służba może usłyszeć.

Wziąwszy ze stolika kandelabr, przeszła do salonu, a Rochford za nią. Odstawiła świecznik i starannie zamknęła za nimi drzwi.

- Niech będzie. - Stanęła przed nim wyprostowana. - Powiem, skoro pan tak nalega.

- Bardzo proszę. - Księżę przyglądał jej się posępnym wzrokiem.

- Zrobiłam to, żeby panu pomóc - zaczęła z wahaniem Francesca. - Rozejrzałam się w towarzystwie i wyszukałam kilka młodych kobiet, które moim zdaniem nadają się na księżnę. Nie zamierzałam żadnej z nich panu narzucać. Pomyślałam tylko, że gdyby miał pan okazję trochę z nimi pobyc, to może odkryłby pan u siebie słabość do tej czy innej.

- Wciąż nie wyjaśniła mi pani, skąd to przeświadczenie, że potrzebuję pani pomocy w kwestii wyboru towarzyszki życia.

- Wszystko przez to, co panu zrobiłam! - krzyknęła bliska łez Francesca. Odetchnęła głęboko i wytłumaczyła spokojniej: - Uwierzyłam Daphne, a nie panu. Nie okazałam dość zaufania i zerwałam zaręczyny. Chciałam wynagrodzić panu swój błąd sprzed piętnastu lat.

Rochford próbował to pojąć, ale czuł, że materia go przerasta.

- Postanowiła pani znaleźć mi żonę w zamian za tę, której nie mam?

- No nie - zaprotestowała. - W takim ujęciu brzmi to wręcz okropnie.

- A jak ma brzmieć?

- Nie proponowałam jej zamiast mnie. To niedorzeczność. Natomiast zastanawiałam się nad tym, dlaczego przez tyle lat pan się nie ożenił, i doszłam do wniosku, że być może... Krótko mówiąc, to, co zrobiłam, mogło zniechęcić pana do małżeństwa w ogóle. Przeze mnie uznał pan, że kobietom nie wolno ufać, że każda pana zawiedzie. Miałam wyrzuty sumienia.

- Nie ożeniłem się, ponieważ nie chciałem.

- Nic na to nie poradzę, ale uważam, że to przeze mnie i że gdyby nie ja, od dawna byłby pan żonaty - nie ustępowała. - Martwiłam się o pana. A ponieważ mam umiejętność kojarzenia par, postanowiłam z niej skorzystać. Naprawdę nie zamierzałam pana zirytować. Próbowalam pomóc. Przecież nie ulega wątpliwości, że musi pan się ożenić.

- Teraz wydaje mi się, że słyszę moją babkę - zauważył z grymasem Rochford. Odszedł kilka kroków i ponownie zwrócił się do Franceski: - Czy ma mnie pani za kogoś tak nieudolnego, że nie potrafi samodzielnie zdobyć

kobiety? Musi pani robić to za mnie? Naprawdę tak bardzo brakuje mi uroku? Czy pani zdaniem grozi mi, że pozostawiony samemu sobie, wystraszę wszystkie potencjalne kandydatki?

- Ja... Mnie...

Podszedł do niej wyraźnie zirytowany.

- Taki jestem niezdarny? Czy moje zaloty były takie odstręczające?

Stanął przed nią, a ponieważ był dużo wyższy, chcąc na niego spojrzeć, musiała zadrzeć głowę.

- Czy moje pocałunki były nużące? - ciągnął, zniżywszy głos tak, że ledwie go słyszała. - A moje pieszczoty wstrętne?

W tym momencie zdarzyło się coś jeszcze bardziej dla niej zaskakującego. Rochford chwycił Francescę za ramiona i przyciągnął do siebie, po czym zawładnął jej ustami. Wszelkie myśli natychmiast uleciały jej z głowy. Rejestrowała tylko mocny uścisk męskich dłoni na ramionach i napór dokonujących podboju ust. Towarzyszył temu żar rozlewający się po jej wnętrzu, co zaskoczyło ją nie mniej niż zachowanie Rochforda.

Przez chwilę trwała ta zdumiewająca burza doznań, nagle jednak książę się cofnął. Mruknął coś niezrozumiałego pod nosem, po czym odwrócił się i szybko wyszedł.

Francesca długo stała nieruchomo. Teraz, kiedy zniknął, zebrało się jej na płacz. Całkiem wbrew swoim intencjom głęboko go uraziła. A przecież wcale tego nie chciała, musiała mu to wytłumaczyć.

Nie rozumiała, jak mogło dojść do, łagodnie rzecz ujmując, niezręcznej sytuacji. Liczyła się z irytacją Rochforda, w razie gdyby wykrył jej podstęp, ale nie z wybuchem złości. Niestety, wyglądało na to, że straciła go bezpowrotnie również jako przyjaciela.

Nie mogła pojąć, dlaczego książę ją pocałował. Trudno było uznać ten pocałunek za wyraz uczuć, a w każdym razie przychylności. Całował ją gwałtownie, pod wpływem złości. Zupełnie jakby miała to być kara.

Tyle że wrażenia, jakie w niej obudził, nie miały nic wspólnego z poczuciem winy. Francesca przesunęła palcem po wargach. Wciąż czuła na nich smak ust Rochforda, a jej ciało reagowało w sposób dość samowolny. Wstrząśnięta tym do głębi, poszła na górę do sypialni, aby wypocząć.

Rochford energicznie pchnął drzwi klubu White'a. Nie bardzo wiedział, po co tutaj przyszedł. Z pewnością nie szukał towarzystwa, z drugiej jednak strony zupełnie nie odpowiadała mu perspektywa pozostawania w samotności w rozległej i pustej rodowej rezydencji, w Lilles House.

Po chwili doszedł do wniosku, że potrzebuje butelki porto i zapomnienia o kłopotach. Skinął na Timmonsa i zajął miejsce w tej części klubu, gdzie akurat nikogo nie było.

Oparł głowę na miękkim oparciu fotela z nadzieją, że odzyska przynajmniej namiastkę spokoju. Jak udało jej się doprowadzić go do wybuchu po tylu latach? Wiedział oczywiście, że cieszył się opinią człowieka chłodnego, zrównoważonego i zachowującego spokój nawet w trudnych sytuacjach. Jedynie w obecności Franceski był nieustannie bliski eksplozji.

Słyszając kroki, zamknął oczy z nadzieją, że intruz przejdzie obok. Jednak kroki ucichły i nic nie wskazywało na to, by miały znów zabrzmieć, więc Sinclair skapitulował i uniósł powieki.

- Gideon! - stwierdził zaskoczony. Spodziewał się któregoś z bywalców zawsze gotowych do zamienienia kilku zdań z księciem. - Co tu porabiasz?

- Należę do tego klubu - odrzekł hrabia z uśmiechem, czającym się w kącikach ust. - Sam mnie tu wprowadziłeś.

- Owszem, jednak rzadko cię tu widuję, a już na pewno nie o tak późnej porze. - Wskazał fotel. - Siadaj.

- O tobie można by powiedzieć to samo - odparł Gideon i zajął wskazane miejsce.

Gideon był dalekim kuzynem księcia, jednym z licznych ciotecznych wnuków budzącej powszechny strach lady Odellii Pencully, i nawet istniało między nimi pewne podobieństwo. Obaj byli wysocy, mieli gęste, bardzo ciemne włosy; Gideon ustępował Sinclairowi wzrostem, był nieco bardziej barczysty i miał odcień włosów o ton jaśniejszy. Hrabia Radbourne, mimo że wywodził się z arystokracji, z powodu rodzinnego dramatu dorastał na ulicach East Endu zupełnie nieświadom tego, że jest synem hrabiego. Wyszło to na jaw dopiero ponad rok temu, ale przez ten czas między Gideonem a Rochfordem zawiązała się przyjaźń oparta nie tyle na wspólnocie krwi, co na zbieżności charakterów.

- Przyznaję, że nie jestem wielkim miłośnikiem klubów - wyznał Sinclair. - Obawiam się, że należę do dość bezbarwnych typów. Mimo wszystko czasem wpadam gdzieś na kieliszek przed snem. W domu nie czeka na mnie piękna żona - dodał, porozumiewawczo mrugając do Radbourne'a.

- Na mnie też nie - odparł Gideon. - Irene pojechała z matką odwiedzić swoją szwagierkę, lady Wyngate, która w tych dniach będzie rodzić.

- Rozumiem. Irene jest tam potrzebna do pomocy.

- Szczerze wątpię. - Gideon szeroko się uśmiechnął. - Maura i Irene są jak ogień i woda, a szczególnie wtedy, gdy chcą być dla siebie miłe. To obecność matki Irene była wysoce pożądana. Moja żona wkrótce wróci, teściowa zabawi tam kilka tygodni. Chwilowo jestem więc słomianym wdowcem.

- Założę się, że wcale ci się to nie podoba.

Gideon uwielbiał żonę, co było powszechnie wiadome w towarzystwie. Niektórzy nawet nazywali go pantoflarzem, chociaż naturalnie nikt nie ważył się powiedzieć mu tego prosto w oczy.

- Zgadłeś - przyznał z marsową miną Gideon. - Muszę przyznać, że nie bardzo to rozumiem. Zanim poznałem Irene, byłem bardzo zadowolony z kawalerskiego stanu. A teraz dom bez niej wydaje mi się przeraźliwie pusty. Dziwne.

- Obawiam się, że dla kawalera, a na pewno dla mnie, zjawisko jest niewytłumaczalne.

Timmons przyniósł butelkę porto, a ponieważ był spostrzegawczy, podał do niej dwa kieliszki. Panowie spędzili kilka minut na rozkoszowaniu się winem w przyjaznym milczeniu. Przerwał je Radbourne.

- Nie byłem pewien, czy jesteś spragniony towarzystwa. Wyglądałeś... tak, jakbyś potrzebował sekundanta.

Sinclair parsknął śmiechem.

- Nie jest aż tak źle, żebym miał się pojedynkować. To tylko lady Haughston - wyjaśnił, dokończył wino i nalał sobie drugi kieliszek. Gideon zrobił zdziwioną minę.

- Czyżbyś był skłócony z tą damą?

- To jest najbardziej irytująca, najnieznośniejsza kobieta, jaką w życiu poznałem! - wybuchnął Rochford.

- Rozumiem.

- Jestem pewien, że niczego nie rozumiesz. Nie spędziłeś ostatnich piętnastu lat na próbach dogadania się z tą damą.

Gideon bąknął coś pod nosem.

- Dzisiaj przeszła samą siebie, ale to tylko jej ostatni wyczyn z wielu. Wiesz, co jej się ubzdurało? Czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, jakim szaleństwem mnie uraczyła?

- Nie.

- Ona chce mi znaleźć żonę. - Przy tym ostatnim słowie książę skrzywił się tak, jakby miał w ustach piołun. - Postanowiła poszukać kobiety, która jej zdaniem będzie najlepszą księżną Rochford.

- Zakładam, że jej o to nie prosiłeś - zaryzykował Gideon.

- Oczywiście, że nie! Jej się wydaje, że jeśli znajdzie mi żonę, to w jakiś sposób wynagrodzi mi coś, co stało się przed laty. - Urwał i zerknął na przyjaciela. - Och, do diabła! Prawda jest taka, że ona zerwała nasze zaręczyny.

- Jesteś zaręczony z lady Haughston?! - nie krył zdziwienia Gideon.

Księżę westchnął.

- Byłem dawno temu. Wtedy jeszcze nie nazywała się Haughston. Przed piętnastoma laty była tylko lady Francescą, córką hrabiego Selbrooke'a.

- Jak to się stało, że nigdy o tym nie słyszałem? Naturalnie nie wtedy, bo nie miałem na to szans, ale odkąd wróciłem na łono rodziny... Nie pojmuję, jak to możliwe, że ani ciotka Odelia, ani moja babka, ani nikt inny słowem o tym nie wspomniał.

- One też o tym nie wiedziały - wyjaśnił

Rochford. - Zaręczyliśmy się potajemnie. Francesca dopiero co skończyła osiemnaście lat. Naturalnie znałem ją prawie od urodzenia. Posiadłość Selbrooke'a, Redfields, graniczyła z moim majątkiem Dancy Park. Zobaczyłem ją tam kiedyś zimą, gdy miała już siedemnaście lat... - Twarz mu złagodniała. - Nagle jakby łuski opadły mi z oczu. Był drugi dzień Bożego Narodzenia, wydawaliśmy bal. Przyszła w długiej sukni, z niebieską wstążką we włosach, która tak pięknie pasowała do jej oczu. Olśniło mnie - wyznał Sinclair, smutno spoglądając na przyjaciela.

- Znam to uczucie - przyznał szczerze hrabia Gideon.

- Tak sędzę. W każdym razie zakochałem się w niej po uszy. Tłumaczyłem sobie, że jest za młoda. Ona zdawała się odwzajemniać moje uczucie, ale nawet nie debiutowała. Nie była na żadnym przyjęciu w Londynie, tylko na wiejskich balach w okolicy. Znała niewielu mężczyzn poza krewnymi i sąsiadami. Jak mogła wiedzieć, co naprawdę czuje?

Rochford zamilkł. Wypił trochę wina i zapatrzył się w kieliszek. Kiedy podniósł głowę, na jego twarzy nie było śladów emocji.

- Wprost nie mogłem się doczekać, gdy skończy się jej pierwszy sezon. Bałem się, że jeśli będę stał z boku, inny mężczyzna sprzątnie mi ją przed nosa.

- Znalazłeś więc rozwiązanie pośrednie i zaręczyliście się potajemnie - domyślił się Gideon.

- Właśnie. Wciąż jeszcze widzę jej rozmarzone oczy. Zdawało jej się, że mnie kocha, wiedziałem o tym. Obawiałem się jednak, że to młodzieńcze zauroczenie. Nie mogłem tak po prostu wypuścić jej z rąk, nie powiedziawszy o swoim uczuciu, o nadziejach, jakie wiąże z nami dwojgiem. Nie chciałem jednak nieodwołalnie wiązać jej z sobą publicznymi zaręczynami. Gdyby zmieniła zdanie albo stwierdziła, że nie kocha mnie tak bardzo, jak jej się zdawało, wtedy mogła Zerwać zaręczyny, unikając skandalu.

- Rozumiem.

Gideon nie wychowywał się wśród arystokratów, lecz dowiedział się już dość o środowisku, w którym żył obecnie, by mieć świadomość, że zerwane zaręczyny oznaczały skandal, który mógł zatruć kobiecie resztę życia. W rezultacie zarówno mężczyźni, jak i kobiety unikali zrywania, nawet jeśli któreś z nich zaczynało mieć wątpliwości co do zbliżającego się ślubu.

- Niestety, w końcu okazało się, że miałem rację. Nie kochała mnie dość mocno.

- Co się stało?

- Dała się oszukać. Zasugerowano jej, że romansuję z inną kobietą. Próbowałem jej wytłumaczyć, jak było naprawdę, ale nie chciała mi uwierzyć. Przestała się ze mną widywać. Przy końcu sezonu zaręczyła się z lordem Haughstonem i to był koniec.

- Aż do teraz.

Rochford skinął głową.

- Aż do teraz. - Znów opróżnił kieliszek i dolał sobie wina. - Ostatnio odkryła, że wspomniana dama wprowadziła ją w błąd i postarała się, żeby Francesca zastała nas w pozornie kompromitującej sytuacji. Teraz Francesca zna prawdę, wie, że błędnie mnie osądziła i skrzywdziła. - Uniósł kieliszek. - Postanowiła mi to zrekompensować, znajdując żonę. Gideon przyglądał się w milczeniu, jak Rochford jednym haustem rozprawia się z trunkiem. Do tej pory nie widział, żeby przyjaciel w takim tempie pochłaniał alkohol ani żeby był tak

rozstrojony. Wśród znanych mu ludzi księżę należał do najbardziej zrównoważonych. Rzadko okazywał gniew czy nawet irytację. Tego wieczoru jednak bez wątplenia wzburzenie okazało się silniejsze od niego. Nie ulegało wątpliwości, że targa nim gniew.

- Dlaczego, u diabła, ona wbiła sobie do głowy coś tak niedorzecznego?! - Sinclair podniósł głos, z brzękiem odstawiając kieliszek na stół. - I pomyśleć, że .byłem na tyle naiwny, by sądzić...

- Co sądziłeś? - przynaglił Gideon, gdy milczenie Rochforda się przedłużało.

Księżę tylko pokręcił głową i z rezygnacją machnął ręką.

- Nieważne. To nie ma znaczenia - stwierdził, po czym dodał: - Powiedziała mi, czego się dowiedziała, i przeprosiła. A potem wymogła na mnie, żebym poszedł z nią i lady Altheą Robart do teatru. Sądziłem...

- Że chce wrócić do...

- Nie! - żywo przerwał mu Rochford. - O tym nie ma mowy. Sądziłem jednak, że chce zacieśnić naszą przyjaźń, a ona zaczęła mi raić lady Altheę. Wyobraź sobie: lady Altheę!

- Nie znam jej.

- Niewiele tracisz - orzekł bez ogródek księżę. - Nawet całkiem urodziwa, ale jak na mój gust za bardzo lubi tytuły. A po dziesięciu minutach prowadzenia z nią konwersacji można po prostu zasnąć.

- Wciąż kochasz lady Haughston? Rochford zerknął na Gideona, ale szybko odwrócił wzrok i powiedział szorstko:

- Nie pleć. Rzecz jasna nie. Chociaż naturalnie darzę tę kobietę pewnym uczuciem. Jesteśmy starymi... nie tyle przyjaciółmi, co kimś w tym rodzaju. Ona jest dla mnie prawie jak rodzina.

Gideon skwitował ten opis bardzo sceptyczną miną, ale rozważnie powstrzymał się od uwag.

- Nie podsycalbym przez tyle czasu nieodwzajemnionej miłości - zapewnił go solennie Sinclair. - Nie sposób wrócić do tego, co wówczas czuliśmy. Minęło przecież piętnaście lat. Tamte emocje dawno wygasły. Nie złoszczę się dlatego, że moim zdaniem moglibyśmy... Nie. Po prostu Francesca doprowadza mnie do pasji tym, że chce decydować o moim życiu. Wszyscy dookoła pozwalają jej rządzić. Zresztą wykazała się wyjątkowymi umiejętnościami w kojarzeniu par.

Gideon się uśmiechnął.

- Doświadczyłem tego na własnej skórze.

- W dodatku uważa, że robi to dla mnie! Wydaje jej się, że lepiej potrafi mi wybrać żonę, niż mógłbym to zrobić sam. I że potrzebuję jej pomocy w poszukiwaniu właściwej kobiety! -Rochford nie posiadał się z oburzenia. Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek i od razu opróżnił go do połowy. - Miała czelność przypomnieć mi o obowiązku! Mnie! Zupełnie jakbym był głupim młokosem, który spełnia wszystkie zachcianki, nie troszcząc się o opinię ani o nazwisko rodziny. Jakbym nie poświęcał życia rodowej posiadłości i tytułowi, odkąd skończyłem osiemnaście lat. W dodatku wspomina jeszcze, że zbliżam się do wieku, w którym będzie za późno na małżeństwo. Jakbym musiał natychmiast poślubić jakąś głupią gąskę i spłodzić dzieci najszybciej, jak potrafię!

- Tego na pewno nie sugerowała - zauważył Gideon.

Sinclair gniewnie parsknął i dopił wino.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale dobrze wiesz, że nie mam oglądy - odezwał się znów Gideon. - Powiedz mi więc, czy mimo wszystko zamierzasz się nie żenić.

- Ależ skąd. Ożenię się. Muszę to zrobić.

- Nie wydajesz się zbyt chętny.

- Nie znalazłem dotąd kobiety, którą chciałbym poślubić. Krewni przypominają mi o obowiązku spłodzenia potomstwa i zapewne mają rację. Ród trzeba podtrzymać, a kuzyn Bertram nie wykazuje ochoty odziedziczenia po mnie całej pracy i odpowiedzialności, które łączą się z tytułem księcia. Jednak

mam jeszcze czas. Nie spieszy mi się, aby „zrzucić z siebie więzy ciała”. - Spojrzał melancholijnie na dno butelki. - Któregoś dnia znajdę odpowiednią towarzyszkę życia, i zrobię to po swojemu, bez pomocy lady Haughston.

- Muszę przyznać, że mnie ona bardzo pomogła - ostrożnie przypomniał Gideon, nie spuszczać wzroku z kuzyna. - Nie umiem wyobrazić sobie lepszej żony niż Irene. - Po chwili milczenia dodał: - Może jednak pozwolisz jej spróbować.

- Miałaby to, na co sobie zasłużyła!

Ta myśl nagle zaprzętnęła uwagę Sinclaira. Urwał i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w odległy punkt. Wreszcie z uśmiechem rzekł:

- Może istotnie powinienem. Niech lady Haughston sprawdzi, jak bardzo cieszy ją znajdowanie mi żony.

Rozdział szósty

Następnego popołudnia sir Alan przyprowadził córkę do Franceski. Ucieszyła się z tego urozmaicenia, bo przez cały dzień dręczyła się myślą, że raz na zawsze straciła przyjaźń Rochforda. Zaczynała coś robić, rzucała to i brała się do następnej czynności, nie mogąc na niczym skupić uwagi. Wciąż przypominał się jej wybuch gniewu Sinclaira. Uważała, że to nie w porządku - jak mógł tak zareagować, skoro próbowała mu pomóc? Może rzeczywiście zachowała się niezbyt zręcznie, nie wykazała tyle pomysłowości co zwykle, ale przecież powinien widzieć, że nie kierowała się złą wolą.

Gdyby pozwolił jej na wyjaśnienia, na pewno powstrzymałaby jego wybuch. To było zupełnie do niego niepodobne, żeby postępować tak impulsywnie i lekceważyć głos rozsądku. Francesca zaczynała jednak pojmować, że to ona wywiera na Rochforda taki wpływ. Podejrzewała, że może go drażnić jej niefrasobliwa natura. Sinclair był poważnym człowiekiem, choć z drugiej strony miał też wspaniałe poczucie humoru i uwielbiał się śmiać. Kiedy

był w pogodnym nastroju, udzielało się to całemu otoczeniu. Nie miał nic wspólnego z ponurakami, którzy są niezmiennie zasepieni.

Był odpowiedzialny, bardzo oddany obowiązkom, doskonale zorganizowany. Dużo czytał, a jego zainteresowania obejmowały wiele dziedzin. Korespondował z różnymi ludźmi nauki, musiała go więc razić płytkość kobiety zainteresowanej jedynie strojami, kapeluszymi i ostatnimi plotkami. Właśnie dlatego przed laty Francesca bardzo obawiała się, że Rochford po prostu się nią znuży lub, co gorsza, nadejdzie dzień, gdy uzna ją za zawadę.

Sir Alana powitała bardzo serdecznie, zadowolona, że ma okazję przerwać męczące rozmyślenia. Doceniła też dyskretny wyraz aprobaty dla swojego wyglądu, choć wiedziała, że musi zachować ostrożność. Zdecydowanie nie zamierzała przypadkiem rozbudzić w sir Alanie romantycznych skłonności.

Powitała jego córkę, po czym zadzwoniła na służbę, aby podano herbatę, i usiadła, żeby pogawędzić z gośćmi, przy okazji ukradkiem obserwując Harriet.

Dziewczyna była całkiem urodziwa, miała ładne piwne oczy, zadarty nosek i gęste kasztanowe włosy. Cera wydawała się zanadto śniada, najwidoczniej panna nie dbała o noszenie na wsi kapelusza z szerokim rondem. Przynajmniej jednak nie miała piegów ani krost. Szczerą twarz zdobił miły uśmiech, w żadnym wypadku nie był to chłodny, arystokratyczny wygląd uznawany za stosowny przez matrony mające coś do powiedzenia w towarzystwie. Francesca była jednak zdania, że mężczyźni na ogół różnią się w opiniach od starszych pań i pociągają ich zupełnie inne kobiety.

Zmiana fryzury mogła działać cuda, podobnie jak nadanie brwiom subtelniejszej linii. W dodatku Harriet miała zupełnie nieodpowiednią suknię: burą i pozbawioną finezji. Francesca domyśliła się, że jest to wynik zabiegów matki sir Alana.

- Od ojca wiem, że chciałaby pani narobić zamieszania w tym sezonie - zaczęła żartobliwie Francesca.

- Och, nie mam aż takich aspiracji. Zamieszanie to za mocno powiedziane. Wystarczy mi, że zostanę zauważona.

Francesce spodobała się ta bezpośrednia odpowiedź. Naturalnie musiała trochę odzwyczaić Harriet od takiego tonu, jeśli dziewczyna miała odnieść sukces.

- Myślę, że stać nas na więcej, należy tylko naprawdę chcieć.

- Ja chcę - zapewniła Harriet. Uśmiechnęła się do ojca i dodała: - Obawiam się, że jak dotąd ten sezon jest dla papy wyłącznie stratą pieniędzy. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby miało tak zostać.

- Daj spokój - wtrącił sir Alan. - Nie chcę, żebyś martwiła się takimi sprawami.

- Wiem, tato, że mi niczego nie żałujesz, ale ja nie lubię marnotrawstwa.

- Czy życzy sobie pani, abym jej pomogła podczas sezonu? - upewniła się Francesca. Nie było nic gorszego niż oporna podopieczna.

- Oddaję się bez reszty w pani ręce - oświadczyła panna Sherbourne. - Wiem, że jak na Londyn mam za mało oglądy. Czasem gdy coś powiem, ludzie na mnie dziwnie patrzą. Na szczęście szybko się uczę i zamierzam się zmienić pod każdym względem, przynajmniej w czasie sezonu.

- Myślę, że zaczniemy od wyprawy po zakupy - postanowiła Francesca, zerkając na ojca Harriet. Skinął głową, więc zaczęła rozwijać swoją wizję. - Dobrym pomysłem byłoby także wydanie przyjęcia. Zaprosilibyśmy parę osób, które mogą pomóc w tym, by pańska córka została zauważona. Poprzednio wspomniał pan również, że chciałby...

- O tak, lady Haughston - skwapliwie przytaknął sir Alan. - Jeśli jest pani gotowa... Moja matka nie cieszy się najlepszym zdrowiem. Nie bywa też często w towarzystwie, bo to dla niej zbyt duże obciążenie, choć naturalnie bardzo by chciała.

- Bez trudu mogę przygotować w swoim domu wieczorek albo kolację na kilka osób - podsunęła Francesca.

- Doskonale - ucieszył się sir Alan. - Wiem, że proszę panią o wiele, ale jestem pewien, że pani ze wszystkim lepiej sobie poradzi. Rachunki należy naturalnie przesyłać do mnie.

- Z przyjemnością wcielę się w rolę pani domu - zapewniła go Francesca, zresztą zgodnie z prawdą. Lubiła wydawać przyjęcia, a było to znacznie bardziej zabawne, gdy nie musiała się martwić o pieniądze.

Niedługo potem Harriet z ojcem wstali, zbierając się do wyjścia. Francesca ustalała jeszcze z panną szczegóły wyprawy po zakupy, kiedy pojawił się kamerdyner, by zaanonsować następnego gościa.

- Jego Wysokość księżę Rochford, milady.

Zaskoczona Francesca odwróciła się do drzwi. Widok przybysza obudził w niej niepokój, a co najgorsze, nie wiedziała, jak opanować nagły rumieniec. Pamiętała dobrze i pocałunek, i urazę, jaką wywołały u niej gniewne słowa księcia.

- Nie spodziewałam się pana, Rochford. Och, proszę mi wybaczyć. - Uprzymiotniła sobie, że nie są sami. - Proszę pozwolić, że przedstawię pana Alana Sherbourne'a i jego córkę, pannę Harriet Sherbourne. Sir Alanie, to jest księżę Rochford.

Ku jej zaskoczeniu sir Alan powiedział:

- Dziękuję, lady Haughston, ale księżę i ja się znamy. Miło widzieć pana ponownie.

- Sir Alan. - Rochford skłonił głowę i zwrócił się do Franceski z wyjaśnieniem: - Spotkaliśmy się z sir Alanem na aukcji u Tattersalla.

Sprzedawano tam w każdy poniedziałek konie i była to okazja do spotkań mężczyzn ze wszystkich możliwych warstw społecznych.

- To prawda, księżę był łaskaw odradzić mi kupno pewnego konia do polowań, którego sobie upatrzyłem.

- Po prostu znałem to zwierzę. Ładnie wygląda, ale nie ma kondycji. - Rochford zwrócił się do Harriet: - Do tej pory nie miałem jednak przyjemności poznać pańskiej córki, sir Alanie. - Skłonił lekko głowę. - Panno Sherbourne.

Harriet, która przyglądała się księciu oczami wielkimi jak spodki, zaczerwieniła się po cebulki włosów.

- To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość. Goście wyszli, choć sir Alan zdążył jeszcze raz wyrazić wdzięczność dla Franceski.

- Jedno z pani zadań towarzyskich? - spytał Rochford, gdy zostali sami.

- Tak. Postanowiłam wziąć pod opiekę pannę Sherbourne. - Francesca nie bardzo wiedziała, jaki ton przyjąć wobec księcia.

Wydawało się mało prawdopodobne, że przyszedł, aby ją krytykować, aczkolwiek trudno było też przypuszczać, że tak szybko zapanował nad złością. Zresztą nawet gdyby tak się stało, Francesca nie zamierzała mu łatwo wybaczyć wybryków poprzedniego wieczoru.

- Przyszedłem przeprosić. - Rochford nie owijał w bawełnę. - Nie ma usprawiedliwienia dla mojego zachowania. Mogę tylko zdać się na pani dobry charakter i wierzyć, że uzyskam przebaczenie.

- Niektórzy twierdziliby, że odwoływanie się do mojej szlachetności to strata czasu - odparła szorstko Francesca, ale poczuła się rozbrojona wyznaniem winy.

- Ten, kto by tak powiedział, po prostu pani nie zna - zapewnił Sinclair.

- Nie chciałam pana zdenerwować. Zamierzałam jedynie naprawić stary błąd, a nie popełnić nowy.

- To nie pani wina, że tak zareagowałem. Muszę przyznać, że jestem dość przewrażliwiony na punkcie małżeństwa. Moja babka wielokrotnie prawiała mi długie kazania na ten temat, podobnie ciotka Odelia.

- Wolałabym nie słyszeć, że zachowuję się jak czyjaś babka.

Francesca nie zamierzała się bocyć na Rochforda i nie chciała by wywlekać sprawy pocałunku. Lepiej było pominąć to milczeniem.

- Mam nadzieję, że przyjmie pani zaproszenie na przejażdżkę po parku i potraktuje ją jak ofertę pokoju. W taki piękny majowy dzień warto pobyć na świeżym powietrzu.

Znów ją zaskoczył.

- To wspaniały pomysł - przyznała z uśmiechem.

Kilka minut później Sinclair podsadził Francescę, by mogła usiąść w jego faetonie, modnym powoziku z siedzeniem umieszczonym wysoko nad ziemią. Zajął miejsce obok niej, ujął wodze i ruszyli.

Nie miało sensu udawać; Francesca była podekscytowana. Chociaż była przyzwyczajona do dżentelmenów zachwycających się jej urodą i nie miała nic przeciwko niewinnym flirtom, to rzadko przyjmowała zaproszenia na przejażdżkę po parku. Z zasady nie dawała panom okazji do rozpoczęcia zalotów. Widok z kozła faetonu mógł przyprawić o zawrót głowy, ale na szczęście nie musiała niczego się obawiać. Do Rochforda jako woźnicy miała pełne zaufanie.

Póki jechali przez miasto, nie rozmawiali wiele, duży ruch zmuszał bowiem księcia do ostrożności i skupienia uwagi na drodze. Francesce to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, uważała, że nawet dobrze się stało, bo potrzebowała czasu, by opanować burzę uczuć.

Podczas pierwszego pobytu w Londynie bardzo tęskniła za Sinclairem, była bowiem przyzwyczajona do tego, że na wsi widywali się niemal codziennie. Jeździli konno i spacerowali po ogrodach w Redfields i Dancy Park, urządzali też długie wyprawy po okolicy. Nikt zanadto nie zwracał na nich uwagi, więc łatwo im było rozmawiać, a Sinclair mógł sobie nawet pozwolić, by od czasu do czasu dyskretnie jej dotknąć, a także pocałować.

W Londynie jednak wszystko się zmieniło. Wszędzie otaczali ich ludzie. Przez salon Franceski ciągnął sznur gości, na przyjęciach i balach wielu mężczyzn chciało przynajmniej raz z nią zatańczyć, jeszcze inni zapraszali ją do

opery. Mimo to Francesca czuła się samotna i wyczekiwała dnia, kiedy księżę zabierze ją na przejażdżkę.

Naturalnie musieli uważać, by nie pokazywać się w Hyde Parku za często i nie pozostawać tam zbyt długo. Nadmierne zainteresowanie Rochforda święcącą triumfy debiutantką niechybnie musiałyby wywołać plotki. Jednak właśnie podczas tych przejażdżek Francesca przeżywała najwspanialsze chwile swojego sezonu.

Te wspomnienia sprzed lat nagle ożyły. Pora roku była ta sama, podobny zapach rozchodził się w powietrzu, słońce tak samo grzało ich w plecy. W dodatku Rochford siedział tak blisko Franceski.

- Dużo myślałem wczoraj o tym, co pani powiedziała - odezwał się, gdy dojechali do Hyde Parku i wreszcie mógł poświęcić nieco mniej uwagi manewrowaniu końmi.

- Słucham? - Głos Rochforda wyrwał Franceskę z zamyślenia.

- Gdy ochłonąłem, zrozumiałem, że zachowałem się po grubiańsku, a ponadto, iż miała pani rację. Zresztą moja babka również.

- Naprawdę? - Francesca spojrzała z zaskoczeniem na Sinclaira. - Czy chce pan powiedzieć...

Skinął głową.

- Najwyższy czas, żebym się ożenił.

- Rozumiem. To znaczy... - Francesca zdawała sobie sprawę z dziwnego ssania w żołądku, jakie czasem towarzyszyło jej, gdy patrzyła w dół z naprawdę dużej wysokości.

- Doszedłem do wniosku, że słuszność jest po pani stronie. Należy wreszcie rozejrzeć się za wybranką. Wprawdzie wątpię, czy zdołam od razu obudzić u siebie zainteresowanie małżeństwem, ale skoro jest zadanie do wypełnienia, powinienem się na nim skupić.

- Takie podejście nie wydaje się najlepszym fundamentem dla udanego związku - bez ogródek stwierdziła Francesca. W duchu przyznała, że słowa księcia bardzo ją rozczarowały.

Rochford spojrzał na nią zdziwiony.

- Myślałem, że o to pani chodzi.

- Nie zależy mi na tym, żeby siłą zaciągnąć pana do ołtarza. Chciałam, żeby był pan szczęśliwy.

Natychmiast gdy wypowiedziała te słowa, zorientowała się, jak fatalnie zabrzmiały. Uciekła wzrokiem, modląc się, by jej zakłopotanie nie objawiło się intensywnym rumieńcem.

- Miałam raczej nadzieję, że w małżeństwie znajdzie pan szczęście, i o to właśnie mi chodziło.

- Czy panią małżeństwo uszczęśliwiło? - spytał szybko.

O tym w żadnym wypadku nie będę z nim rozmawiać, uznała.

- Przecież mówimy o panu. Cóż więc pan zamierza przedsięwziąć w tej sprawie? - spytała przeświadczona, że należy kuć żelazo, póki gorące.

- Pierwszy krok już zrobiłem - oznajmił. - Przyszedłem do pani.

- Słucham?!

- Któż będzie dla mnie lepszym przewodnikiem w tej materii niż kobieta, która skojarzyła tyle szczęśliwych par? Pomyślałem, że pomoże mi pani znaleźć tę jedną jedyną.

- Ale ja... - Nagle okazało się, że w głowie ma pustkę. Kiedy Rochford się pojawił, podejrzewała go o różne zamiary, ale na pewno nie o to, że poprosi ją o pomoc w znalezieniu odpowiedniej kandydatki na księżnę. - Obawiam się, że moje osiągnięcia zostały znacznie wyolbrzymione.

- Mojego kuzyna z pewnością wyswatała pani bardzo umiejętnie. Nie przypominam sobie, bym widział szczęśliwszego żonkosia. Pani brat z żoną też wydają się całkiem zadowoleni. Widziałem ich niedawno i wciąż sprawiają

wrażenie zakochanych w sobie nie mniej niż w dniu ślubu, a może nawet bardziej.

- To są wyjątkowe przypadki. Nie mogę zresztą przypisywać sobie zasług, skoro to oni odnaleźli miłość.

- Mimo wszystko gdyby nie pani, nie byłoby dziś małżeństwem. Moja siostra z Bromwellem też nie.

- Z tego przecież nie może pan być zadowolony.

- Zależy mi na Callie, więc jej szczęście jest moim. W każdym razie dokonała już pani niemało. Jeśli dobrze ją zrozumiałem wczoraj wieczorem, również dla mnie znalazła pani kilka potencjalnych narzeczonych.

- Nie udaje pan? - Francesca w skupieniu obserwowała twarz Sinclaira. - Naprawdę pan chce, żebym mu pomogła?

- Po to przyszedłem.

- Zgoda. Zatem pomogę panu - zadeklarowała po chwili namysłu.

- Znakomicie.

Z przeciwległej strony zbliżała się do nich kolaska, a gdy znalazła się tuż obok, dostrzegli lady Whittington i jej hojnie obdarzoną przez naturę przyjaciółkę, panią Wychfield. Ponieważ kolaska przystanęła, Rochford nie mógł poprzestać na uprzejmym skinieniu głową, musiał zatrzymać konie i wymienić kilka uprzejmości. Naturalnie nie omieszkał pochwalić balu pani Whittington, na którym wszyscy cudownie się bawili. Potem przyszedł czas na pytania o zdrowie członków rodziny.

Francesca czuła na sobie badawczy wzrok lady Whittington i rozumiała, że wkrótce całe towarzystwo będzie mówić o przejażdżce faetonem księcia. Wprawdzie ich znajomość była powszechnie znana, ale wystarczyło tylko nieco zmienić przyzwyczajenia, i już budziło to zainteresowanie.

Wreszcie ruszyli i Sinclair podjął przerwana rozmowę.

- Proszę mi powiedzieć, ile kandydatek pani wyszukała.

- Po zastanowieniu wybrałam trzy młode damy.

- Tak niewiele? - Popatrzył na nią rozbawiony. - Czyżbym był aż tak mało popularny?

- Doskonale pan wie, że jest całkiem odwrotnie. Są dziesiątki kobiet, które chciałyby zostać wybrane na pańską narzeczoną. Jednak należało dokonać starannej selekcji.

- Czy wolno mi spytać, jakimi kryteriami pani się kierowała?

- Kobieta musi mieć miłą powierzchowność.

- Cieszę się, że wzięła to pani pod uwagę. Zerknęła na niego karcąco, ale mówiła dalej:

- Musi pochodzić z dobrej rodziny, chociaż nie wydaje mi się, żeby zamożność odgrywała dla pana rolę.

- Jak zawsze ma pani rację - przyznał.

- Ponadto powinna być inteligentna, aby móc prowadzić konwersację z panem i jego przyjaciółmi, chociaż nie sądzę, by musiała być aż tak wykształcona jak pańscy znajomi z kręgów naukowych. Niezbędne są za to talenty towarzyskie, jakie musi mieć pani domu organizująca najrozmaitsze kolacje i przyjęcia. W książęcym domu bywają bardzo ważni goście. Trzeba też umieć zarządzać liczną służbą podzieloną między kilka rezydencji. Na tym zresztą nie kończą się pożądane kwalifikacje księżnej. Należy pamiętać o utrzymywaniu kontaktów z dzierżawcami i ich rodzinami oraz z sąsiadami. A przede wszystkim musi to być kobieta ciesząca się pańskimi względami.

- A już się zastanawiałem, czy o tym pani pamięta.

- Niech pan nie żartuje, Rochford. To jest absolutnie najważniejsze. Kobieta nie może być próżna i egoistyczna. Wadami są również nieżyczliwość, trzpiotowatość i chorowitość.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego tak niewiele kandydatek pani zostało - odparł ze śmiechem książę.

Francesca mu zawtórowała.

- Wiem, że ma pan wysokie wymagania.

- Zawsze je miałem - przyznał.

Te słowa zwróciły jej uwagę. Zapewne zawierała się w nich sugestia, że akurat ona spełnia te oczekiwania. Speszyła się, ponieważ księżę bardzo intensywnie jej się przyglądał.

- Bez wątpienia pierwszą kandydatką była Althea Robart - podjął księżę, który skorzystał z jej zmieszania, by przejąć inicjatywę. - Ciekaw jestem powodów.

- Jest całkiem atrakcyjna - zwróciła uwagę Francesca, broniąc tego wyboru.
- Poza tym jej ojciec to hrabia Bridcombe, jej siostra poślubiła lorda Howarda. Rodzina jest więc odpowiednia, a dama bez wątpienia rozumie obowiązki, jakie przyjąłaby na siebie jako księżna Rochford.

- Jest jednak dość wyniosła - zauważył księżę, spoglądając z rozbawieniem na Francescę.

- Zakładałam, że u księżnej to nie szkodzi.

- Ale może nie odpowiadać księciu.

Francesca się uśmiechnęła.

- No cóż, przyznaję, że wybór lady Althei nie był trafny.

- Proponuję, abyśmy wyłączyli ją z dalszych rozważań, a przynajmniej odesłali ją do rezerwy na wypadek, gdybym znalazł się w rozpaczliwym położeniu. Chociaż to i tak nie wystarczy. Nie mam dostatecznie silnego poczucia obowiązku, by wytrzymać całe życie z lady Altheą.

- Uznajmy ją więc za skreśloną z listy. Co pan powie na Damaris Burke? Jest inteligentna i kompetentna. Od śmierci matki przed dwoma laty praktycznie sama prowadzi dom lorda Burke'a. Podejmuje ważnych gości, jako że jej ojciec piastuje stanowisko w rządzie. Wydaje przyjęcia.

- Hm. Miałem okazję poznać lady Damaris.

- Co pan o niej sądzi?

- Prawdę mówiąc, nie przyglądałem jej się z myślą, że jest kandydatką na księżnę, o ile jednak pamiętam, nie budzi we mnie niechęci.

- Wobec tego weźmiemy ją pod uwagę, zgoda?

Skinął głową.

- Ostatnia jest lady Caroline Wyatt.

Książę zmarszczył czoło.

- Nie wydaje mi się, żebym ją znał.

- To debiutantka.

Rochford popatrzył ze zdumieniem na Francescę.

- Panna prosto ze szkolnej ławy?

- Owszem, jest dosyć młoda. Za to jej rodzina jest najlepsza z tych trzech.

Wprawdzie ojciec ma zaledwie tytuł baroneta, ale matka to najmłodsza córka księcia Bellinghama, a babka ze strony ojca pochodziła z Morelandów.

- To robi wrażenie.

- Przyglądałam się tej pannie i nie wydaje się płocha ani niemądra. Nie słyszałam, żeby dąsała się albo chichotała bez końca.

- Niech więc będzie, zastanowię się nad nią - obiecał Rochford. - Muszę jednak powiedzieć, że wybrała pani dla mnie raczej młode kobiety. Proszę pamiętać, że mam trzydzieści osiem lat.

- To prawda. - Francesca przybrała zatroskaną minę. - To znaczy, że jest pan bliski niedołęstwa.

- Czy któraś z nich ma ponad dwadzieścia jeden lat?

- Lady Damaris ma dwadzieścia trzy, a Althea dwadzieścia jeden.

Książę zrobił dość sceptyczną minę.

- No cóż, wśród starszych kobiet trudniej znaleźć odpowiednie kandydatki - broniła się Francesca. - Jeśli są urodziwe i mają liczne zalety, krótko mówiąc, zbliżają się do ideału, to na ogół są mężatkami.

- Są też wdowy w wieku zbliżonym do mojego.

- Wdów nie brałam pod uwagę.

- Dlaczego? Znam wdowy należące do najpiękniejszych kobiet w towarzystwie.

Czyżby to ją miał na myśli? Gdyby wybrała się na przejażdżkę z innym mężczyzną, byłaby przekonana, że z nią flirtuje. Prawdę mówiąc, pamiętała czasy, kiedy Sinclair z nią flirtował, naturalnie na swój specyficzny sposób. Gdy się z nią przekomarzał, patrzył w pewien bardzo szczególny sposób, ciepły i ekscytujący... podobnie jak teraz.

- Dla mężczyzny jest chyba ważne, żeby kobieta nie miała wcześniej męża. Żeby była... - Francesca się zarumieniła. Rozmowa z Rochfordem na takie tematy wydawała jej się wyjątkowo onieśmielająca. - Żeby była nietknięta - dokończyła cicho.

Nie odpowiedział, więc w pośpiechu dokończyła:

- Poza tym jest kwestia dzieci. Młodsza kobieta ma na to więcej czasu...

- No tak, dochodzimy do sprawy dziedzica - stwierdził oschle Rochford. - Zapomniałem, że to jest absolutnie najważniejsze. Wybieramy klacz, a nie towarzyszkę życia.

- Niech pan tak nie mówi, Sinclair! - Francesca odwróciła się do niego, a wzburzenie okazało się silniejsze od zakłopotania. - Nie w tym rzecz.

- Nie? Przynajmniej zdołałem panią skłonić do nazwania mnie Sinclair'em.

Nie czuła się na siłach wytrzymać jego spojrzenia. Nie rozumiała, co jest powodem, że książkę wprawia ją w takie zmieszanie. Zachowywała się zupełnie jak panna na wydaniu.

- Przecież to pańskie imię, prawda?

- Owszem, ale od lat nie słyszałem, żeby tak mnie pani nazwała.

Rzeczywiście przed laty nazywała go po imieniu. Pewnego razu szepnęła „Sinclair”, a on przyciągnął ją do siebie i długo sycił się pocałunkiem. To wspomnienie wprawilo Francescę w jeszcze większe zakłopotanie.

- Są również starsze kobiety - powiedziała wreszcie, oderwawszy wzrok od jego twarzy. Miała nadzieję, że jej głos brzmi normalnie. - Zastanawiałam się nad dwiema, które są bardziej zaawansowane wiekiem.

- Naprawdę? - Teraz w jego głosie nie było już niczego szczególnego, tylko całkiem zwyczajny kpiący ton. - A cóż to za zabytki?

- Lady Mary Calderwood, najstarsza córka lorda Calderwooda. Ma chyba ponad dwadzieścia pięć lat. I jest jeszcze lady Edwina de Winter, wdowa po lordzie de Winterze, nawet odrobinę starsza. Lady Mary wydaje mi się całkiem inteligentna, chociaż trochę nieśmiała. Właśnie z tego powodu nie wzięłam jej pod uwagę.

- Chętnie poznam obie. Proszę mi teraz powiedzieć, jak pani zdaniem powinienem rozmawiać z kandydatkami. Czy zamierza pani wydać przyjęcie i zaprosić wszystkie jednocześnie, tak jak w przypadku Gideona? Muszę przyznać, że zebranie zainteresowanych w jednym miejscu jest dość praktycznym rozwiązaniem. Nie mam tylko pewności, czy chcę się zdecydować i zdeklarować w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

- Nie widzę takiej konieczności. Wie pan dobrze, że w odniesieniu do hrabiego Radbourne'a istniały szczególne okoliczności, które tym razem nie występują. Zresztą nie trzeba zbierać kandydatek w jednym miejscu. Trwa sezon, więc i tak wszyscy przebywają w Londynie. Na pewno nie będzie kłopotów z zawarciem znajomości w czasie, gdy wypełnia pan rutynowe obowiązki towarzyskie. Chociaż... - Popadła w zadumę. - Może zechce pan przyjść na przyjęcie, które wydaję w przyszłym tygodniu dla córki sir Alana? Pańska obecność pomoże ugruntować pozycję Harriet w towarzystwie, a jednocześnie da panu okazję porozmawiania z lady Damaris i innymi kandydatkami.

- Bardzo energicznie bierze się pani do dzieła.

Francesca zerknęła podejrzliwie na księcia, niepewna, co oznacza ten ironiczny ton. On jednak odpowiedział uśmiechem i powiedział:

- Oddaję się w pani ręce. Jestem pewien, że znajdzie pani dla mnie idealną kobietę.

- Zrobię co w mojej mocy - obiecała.

- To dobrze. Przejdźmy więc do lżejszych tematów. Czy słyszała pani o wyzwaniu, jakie sir Hugo Walden rzucił najmłodszemu synowi lorda Berry'ego?

- Chodzi o wyścig powozów? - Francesca roześmiała się. - Słyszałam. Podobno sir Hugo zakończył go w kurniku.

- Och, nie. Do kurnika wpadł jakiś nieszczęsny kaznodzieja, który znalazł się w niewłaściwej chwili na drodze. O ile mi wiadomo, sir Hugo wylądował w stawie.

Resztę drogi spędzili na beztroskiej pogawędce o ostatnich wydarzeniach towarzyskich i nowinkach politycznych. Potem Rochford zainteresował się zmianami wprowadzanymi przez brata Franceski w Redfields. Krępująca atmosfera, która tak utrudniała rozmowę na początku, znikła. W pewnej chwili Francesca złapała się na tym, że śmieje się beztrosko.

Dawno już nie zdarzyło się, by poczuła się tak swobodnie podczas rozmowy z Rochfordem. Niegdyś był nie tylko mężczyzną, którego kochała, lecz również jej przyjacielem. Lata jej małżeństwa upłynęły tak ponuro również dlatego, że bardzo brakowało jej tej przyjaźni.

Po powrocie do domu rozmyślała o tym, co się stało. Miała nadzieję, że odbudują z księciem dawną przyjaźń. Liczyła na to, że skoro mur między nimi wreszcie runął, częściej będą się zdarzać takie popołudnia. Ona nie posądzała go już o zdradę, on, jeśli wnioskować po przeprosinach, najwidoczniej nie żywił do niej złości.

Mogli spokojnie razem poszukać mu żony.

Tak przynajmniej mówiła sobie Francesca, wierząc, że pomyślne doprowadzenie tej misji do końca pomoże jej pozbyć się poczucia winy. Chciała przecież, żeby książę był szczęśliwy, by miał żonę i dzieci. A ona pragnęła cieszyć się jego przyjaźnią. Jednak gdy z okna przyglądała się, jak książę wsiada do faetonu i odjeżdża, ogarnął ją smutek.

Rozdział siódmy

Przez następny tydzień Francesca miała mnóstwo zajęć. Pomagała Harriet skompletować garderobę i planowała przyjęcie. Zdecydowała się na kameralny wieczorek. Nie chciała urządzać wielkiego zbiegowiska, gdzie zebrani giną w tłumie, ani przesadnie eleganckiego snobistycznego spotkania dla wybranych, kiedy goście nie czują się swobodnie. Głównym przedmiotem jej rozważań stała się lista gości. Musiała zaprosić damy mające wystarczająco duże wpływy, aby pomogły Harriet zaistnieć w towarzystwie, lecz zarazem dostatecznie wyrozumiałe, żeby nie raził ich szczery, otwarty sposób bycia panny. Naturalnie zależało jej na tym, żeby przyjęcie zapadło jego uczestnikom w pamięć, i to nie tylko z uwagi na Harriet, lecz również na jej opinię jako pani domu. Z drugiej strony nie mogła pozwolić, by cokolwiek przyćmiło główną bohaterkę wieczoru.

Rochford stanowił w tym wszystkim najmniejszy problem. Francesca nie wątpiła, że przyjdą wszyscy zaproszeni przez nią goście, a żadna panna na wydaniu nie będzie się wzdragać przed dotrzymaniem towarzystwa księciu.

Następnego dnia udało jej się pozbyć melancholijnego nastroju, w jaki popadła poprzedniego wieczoru. Organizując przyjęcie, znalazła się w swoim żywiole, zwłaszcza że nie musiała liczyć się z pieniędzmi. Wkrótce całe biurko było zasłane projektami rozmaitych list i jadłospisów.

Po południu wybrała się z Harriet do miasta, ale zakupy również należały do jej ulubionych zajęć. Ponieważ sir Alan dał jej wolną rękę, mogła poświęcić się poszukiwaniom bez żadnych ograniczeń.

Dużo czasu spędziły u ulubionej krawcowej Franceski, a zanim opuściły to miejsce, Harriet wzbogaciła się o trzy kreacje wieczorowe, cztery toalety na dzień, jedną suknię na spacer, a oprócz tego jeszcze uroczą peliszkę. Zachwycona sporym zamówieniem mademoiselle du Plessis wystąpiła z sugestią, że kreacja w kolorze morskim, której kupno rozważała już od

dłuższego czasu Francesca, będzie dla niej do nabycia po jeszcze niższej cenie. Pokonała tym jej ostatnie skrupuły i również Francesca opuściła pracownię zadowolona.

Powstrzymała się za to przed sprawieniem sobie nowego nakrycia głowy u modystki, mimo że słomkowy kapelusik z niebieskim wykończeniem pasował do jej koloru oczu. Ponieważ jednak służąca uzdatniła jej kapelusik z zeszłego roku, zmieniając aksamitkę i dodając czerwone wisienki, Francesca uznała, że pod tym względem jest na lato przygotowana. Mimo wszystko wychodząc z pracowni, wodziła za pozostawionym cudeńkiem smutnym wzrokiem.

Kupowanie dla kogoś było jednak prawie tak samo zabawne jak dla siebie, więc Francesca skupiła się na zdobywaniu przedmiotów niezbędnych do przemiany Harriet. Następny przystanek wypadł u szewca, gdzie zaopatrzyły się w pantofelki do dwóch nowych sukni wieczorowych i dodatkowo w parę półbucików. Potem u Graftona wypatrzyły śliczny kaszmirowy szal w miejsce innego, dość staroświeckiego, który wybrała dla Harriet babka, a oprócz tego zakupiły niezbędną galanterię, w tym chusteczki do nosa, rękawiczki i wszystko, co potrzebne do układania włosów. Przy okazji Francesca znalazła śliczną opaskę dokładnie w kolorze świeżo kupionej sukni. Zastanawiała się teraz, czy nie naszyć na nią kilku sztucznych pereł.

Wyprawę zakończyły lodami cytrynowymi u Guntera i wreszcie zmęczone, lecz zadowolone z siebie, wróciły do domu Franceski, przywiózłszy na tylnym siedzeniu powozu stertę pudeł od Graftona i modystki. Na suknie i pantofelki trzeba było naturalnie kilka dni poczekać, chociaż mademoiselle du Plessis obiecała, że jedna z toalet wieczorowych Harriet będzie miała absolutny priorytet, aby panna mogła ją włożyć na przyjęcie w przyszłym tygodniu.

- Mam nadzieję, że twój ojciec nie przestraszy się rachunkiem - powiedziała Francesca zaniepokojona, czy nie przesadziła z wydatkami. Wprawdzie sir Alan wydawał się zupełnie nie przejmować kosztami, nie była

jednak całkiem pewna, czy dżentelmen przyzwyczajony do życia na wsi w pełni zdaje sobie sprawę z wydatków, na jakie się naraża.

- Och, nie - zapewniła ją Harriet. - Papa nie jest skąpcem. Nawet nie mrugnął okiem na wszystkie wydatki babki, chociaż muszę powiedzieć, że te suknie, zważywszy na to, jak się prezentują, były bardzo drogie. Od początku wydawały mi się nieciekawe, a kiedy zobaczyłam inne panny w Londynie, przekonałam się, że miałam rację.

- Pani babka na pewno jest przyzwyczajona do bardziej staromodnego stylu.

Harriet skinęła głową.

- Nie chciałam powiedzieć o niej nic złego, milady. Ona ma bardzo dobre serce, tylko łatwo się męczy, a zakupy i przyjęcia wyraźnie jej nie służą. Obawiam się też, że jej krawiec nie jest tak utalentowany jak mademoiselle du Plessis, za to wyżej ceni swoje usługi. Widziałam zresztą, że mój wygląd mocno rozczarował papę, chociaż oczywiście jest zbyt-pocziwy, by robić głośno tego typu uwagi.

- Powinien być zadowolony, kiedy zobaczy panią w jednej z tych sukien.

- Podpieranie ścian nie jest miłe. Czy milady sądzi, że na następnym balu mam szansę na to, żeby ktoś poprosił mnie do tańca? I czy pójdziemy na jakiś bal?

- Naturalnie. Na niejeden. Zostało jeszcze parę tygodni sezonu, a kiedy zatańczą z panią moi przyjaciele, sir Lucien i księżę Rochford, z partnerami nie będzie kłopotów.

- Księżę! - zawołała Harriet, szeroko otwierając oczy. - Milady uważa, że naprawdę zatańczy ze mną księżę?

- Dopilnuję tego.

- Nie odważyłabym się zatańczyć z kimś tak wysoko postawionym. Na pewno podeptałabym mu palce, a potem sama się przewróciła z zakłopotania.

- Niemożliwe. Księżę doskonale tańczy. Będzie uważał, żeby nic przykrego się pani nie przydarzyło.

- O niego się nie martwię, ale co będzie, jeśli wystawię się na pośmiewisko? Nie mam pojęcia, jak rozmawiać z księciem. Na pewno ze zdenerwowania wszystko mi się popłącze.

- Będzie pani mogła porozmawiać z księciem najpierw na moim przyjęciu i przekona się wtedy, że wcale nie jest taki straszny.

Harriet nie wydawała się przekonana.

- On ma wspaniałe maniery. Nigdy nie widziałam tak eleganckiego człowieka, i to wcale nie jest uzależnione jedynie od stroju.

- W tym ma pani rację - przyznała szczerze Francesca.

Nawet w niebieskim fraku i żółtobrazowych spodniach Rochford łatwo przyćmiłby każdego mężczyznę w formalnym stroju wieczorowym. Miał coś takiego w postawie, czego brakowało innym.

- Jest niezwykle przystojny - ciągnęła Harriet. - Pomyślałam sobie, że jak sam Lucyfer, z tymi czarnymi włosami i oczami niczym węgle. Czy milady tak nie uważa?

- Owszem, przyznaję, że jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

- A do tego księciem... Bez wątpienia nie jest przyzwyczajony do słuchania takich osób jak ja.

- Och, on ani trochę nie zadziera nosa - zapewniła ją Francesca. - Wszystkich traktuje z jednakowym szacunkiem. Widziałam go, jak rozmawia z dzierżawcami i służbą. Jest bardzo uprzejmy i wykazuje dużo życzliwości. Proszę spytać ojca.

- Ojciec uważa go za wielkiego dżentelmena. Sam mi to powiedział, kiedy wróciliśmy od Tattersalla. To właśnie księżę poradził mu, żeby odwiedził milady.

- Naprawdę? - zdziwiła się Francesca. - O tym mi nie wspomniał.

- Ale tak było. Papa nie mógł się nachwalić życzliwości księcia, zwłaszcza że dopiero co zawarli znajomość.

- Księżę ma gest i świetnie zna się na ludziach. Na pewno od razu poznał się na pani ojcu i uznał, że rzeczywiście zasługuje na jego przyjaźń.

Mimo tego zapewnienia Francesca nie posiadała się ze zdumienia, że Rochford przysłał sir Alana do niej. Najprawdopodobniej sir Alan sam wspomniął o niepowodzeniach córki, chociaż taki temat u Tattersalla wydawał się dziwaczny. Jednak nawet jeśli tak było, nie pojmowała, skąd u Sinclaira wziął się podobny pomysł.

Naturalnie sprawiło jej to dużą przyjemność, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że Rochford stara się przyjść jej z pomocą. Przecież nie wiedział o jej finansowych tarapatach. Od lat robiła wszystko co w jej mocy, by ukryć swoje problemy. A zresztą nawet gdyby Rochford domyślił się stanu jej sakiewki i odgadł, w jaki sposób próbuje ona zaradzić tej sytuacji, to wcale nie musiał się tym przejąć.

To zupełnie nedorzeczne domysły. Wszystko na pewno wyglądało zupełnie inaczej. Sir Alan wspomniął o swoim kłopotcie, a Rochford ją polecił, bo przypomniał mu się Gideon. Jakie to proste.

Na wszelki wypadek Francesca postanowiła zmienić temat.

- Co pani zamierza osiągnąć w tym sezonie? - spytała.

- Nie bardzo rozumiem, o co milady chodzi - odparła Harriet. - Chciałabym dobrze się bawić i widzieć, że papa jest szczęśliwy. Bardzo zależy mu na tym, żebym miała udany sezon.

- Czy liczy pani na znalezienie męża?

Wprawdzie sir Alan twierdził, że małżeństwo nie musi być celem tych wszystkich starań, ale Francesca nie była pewna, na ile ojciec orientuje się w pragnieniach córki. Harriet splonęła rumieńcem.

- Och, nie, lady Haughston. Nie wydaje mi się, aby ktoś taki jak ja nadawał się na żonę dla lorda czy kogoś wysoko postawionego. Nie pragnę mieszkać w

Londynie ani brać udziału w życiu socjety. W sercu zawsze pozostanę panną ze wsi. Podobają mi się nasze zabawy i wizyty u sąsiadów. Chętnie noszę koszyki z jedzeniem dzierzawcom ojca, kiedy chorują. Lubię z nimi rozmawiać, dowiadywać się, co słyhać u ich dzieci i wnuków. To jest życie, które znam, i do niego się nadaję. Poza tym nie chcę opuścić papy. No i... - Zawahała się, a jej rumieniec się pogłębił. - Jest na wsi chłopak, syn gospodarza z sąsiedztwa. Papa go lubi, chociaż czasem mówi, że mogłabym mierzyć wyżej.

- Rozumiem, ale pani nie ma na to ochoty?

Harriet skinęła głową, wdzięczna eleganckiej damie, że próbuje ją zrozumieć.

- Właśnie. On ma na imię Tom i znam go całe życie. Kiedyś... och, to było prawdziwe utrapienie. Straszyl mnie, opowiadając historie o duchach. W zeszłym roku, kiedy pierwszy raz wzięłam udział w zabawie, zatańczyliśmy, i to było zupełnie co innego. Teraz jest dużo miłszy, przychodzi do mnie, rozmawiamy o wszystkim i nie mogę się doczekać, kiedy znowu mnie odwiedzi. To dziwne. Niby zawsze go znałam, a nagle stało się tak, jakbym poznała go zupełnie inaczej. Milady rozumie?

- O tak - potaknęła Francesca - doskonale rozumiem.

Następnego dnia Francesca siedziała przy biurku, planując dekoracje na przyjęcie, kiedy do pokoju wszedł kamerdyner. Trzymał przed sobą niedużą srebrną tacę, a na niej biały bilet wizytowy.

- Przyszedł do milady... pewien człowiek - zaczął. Z beznamiętnej twarzy i doboru słów Fentona Francesca natychmiast zorientowała się, że nie jest to ktoś do zaakceptowania. - Pan Galen Perkins.

- Perkins! - A co ten tutaj robi? - Powiedz mu, proszę, że nie przyjmuję.

- Coś takiego! Potraktowałaby pani w ten sposób starego przyjaciela? - Perkins wychynął zza pleców kamerdynera.

Francesca wstała zza biurka.

- Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek byli przyjaciółmi, panie Perkins.

Fenton spojrział na przybysza z niechęcią i ponownie zwróciwszy się do chlebobdawczynie, spytał lodowatym tonem:

- Czy odprowadzić pana Perkinsa do drzwi, milady?

- Chciałbym zobaczyć, jak tego próbujesz, człowieku - odezwał się nieprzyjemnym tonem nieproszony gość.

- Już dobrze, Fenton. - Francesca nie wątpiła, że Perkins nie chciałby wyjść dobrowolnie, a bała się, że mógłby skrzywdzić starego kamerdynera. - Porozmawiam z panem Perkinsem.

- Tak jest, milady. - Fenton lekko się skłonił. - W razie potrzeby będę zaraz za drzwiami - dodał i ostentacyjnie zajął stanowisko w holu naprzeciwko drzwi.

- Ma pani wiernego rycerza - szyderczo stwierdził Perkins, wszedłszy głębiej do pokoju. - Niewątpliwie strzeże milady przed wszystkimi niebezpieczeństwami.

- Po co pan przyszedł? - spytała chłodno Francesca. - Co pan chce osiągnąć, wymuszając rozmowę?

- Z pewnością wypada, abym złożył wyrazy szacunku wdowie po moim starym przyjacielu - odrzekł Perkins, kpiąco się uśmiechając.

- Złożył mi pan kondolencje w teatrze - przypomniała mu Francesca. - Nie wydaje mi się więc, aby ta wizyta była konieczna.

Obszedł biurko i znalazł się dużo bliżej, niż było to do zaakceptowania dla Franceski, postanowiła jednak, że nie cofnie się ani o krok. Wiedziała, że Perkins zinterpretowałby takie zachowanie jako przejaw strachu. Taksował ją wzrokiem.

- Trudno mieć pretensje do mężczyzny, że chce odnowić znajomość z tak urodziwą kobietą - odparł.

Francesca najchętniej wymierzyłaby mu policzek, tak obrzydliwy wydawał jej się ton, w jakim się do niej zwracał.

- Wdowa musi czuć się opuszczona - odezwał się ponownie. - Zwłaszcza mieszkająca samotnie, tak jak pani.

- Nigdy nie poczułabym się dostatecznie samotna, by szukać pańskiego towarzystwa -zapewniła lodowato.

- Niech będzie - odparł, wzruszając ramionami. - Wobec tego przechodzę do interesów.

- Do jakich znowu interesów? - zdumiała się Francesca. - Żadne interesy nas nie łączą.

- Muszę wyrazić odmienny pogląd. - Perkins sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wydobyl kartkę, którą starannie rozłożył. - Graliśmy z Andrew w karty niedługo przed moim wyjazdem na kontynent...

- Chyba raczej niedługo przed zabójstwem człowieka, jakiego pan się dopuścił.

Wzruszył ramionami, najwyraźniej niezbyt przejęty oskarżeniem.

- Mężczyzna musi bronić swojego honoru.

- Jeśli w ogóle go ma.

- Pani mąż dużo przegrał - podjął Perkins, puszczając mimo uszu ostatnią uwagę. - Z przykrością dodam, że zdarzało mu się to często. Skończyły mu się pieniądze, a wcześniej zdążył przegrać spinki do mankietów i szpilkę do fularu. Weksła bym nie wziął, bo rzadko zdarzało mu się je wykupić. Ostatecznie zgodziliśmy się więc, że postawi dom. Smutne to, ale jak można było się spodziewać, i tę stawkę przegrał.

Francesca spojrzała na niego nieprzytomnie. Zdawało jej się, że rozstępuje się pod nią podłoga. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Co pan mówi? Jaki dom? Haughston Hall? Przecież jest obciążony.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł, nie spuszczać z niej wzroku. - Nie jestem głupcem, bez względu na to, kto był moim przyjacielem. Dlatego powiedziałem mu wyraźnie, że to ma być dom w Londynie. Ogarnął ją paraliżujący strach.

- Kłamie pan.

- Czyżby? - Podsunął jej kartkę tak, by mogła przeczytać. - Czy naprawdę uważa pani, że Andrew nie był zdolny do takiego postępuku?

Wzrok Franceski skakał po liniach tekstu, w którym określono przedmiot i warunki sprzedaży. Na dole widniał nieco wyblakły, lecz znajomy podpis: Andrew, lord Haughston. Zabrakło jej powietrza, obawiała się, że zemdleje. To nieprawda! Nawet Andrew nie mógłby jej czegoś takiego zrobić! Tak sobie mówiła, naturalnie wiedziała jednak, że jest inaczej. Andrew rzadko zastanawiał się nad konsekwencjami swoich czynów. Spojrzała Perkinsowi prosto w oczy.

- Niech pan się wynosi z mojego domu! - zażądała.

- Obawiam się, że chodzi o mój dom, milady - odparł z ironią.

- Czy naprawdę sądzi pan, że potulnie przekażę mu moją własność? Zapewniam, że nie ma o tym mowy. Nie jestem trzcinką, którą łamie najłżejszy podmuch. Mam przyjaciół, ludzi wpływowych i dysponujących władzą. O ile mi wiadomo, pan sfalszował ten dokument. Nie widzę podpisów świadków.

Perkins podszedł o krok, w jego bladych oczach pojawił się groźny błysk.

- Ja też nie jestem trzcina, milady. Świadcowie byli. Dwaj mężczyźni, którzy grali razem z nami, by nie wspomnieć dziwek i burdelmamy. Jeśli nie odda mi pani tego domu, pozwę ją do sądu. Wszyscy ci ludzie przyjdą świadczyć w tej sprawie. - Zamilkł, po czym dodał układnie: - Jeśli tego pani sobie życzy...

Francesca zrozumiała, że jeśli zacznie walczyć o dom, ten człowiek ujawni przed całym światem niecne postęпки jej nieżyjącego męża. Unurza ją w błocie. Dookoła będzie słyszeć, jak ludzie szepczą o Andrew i jego rozpustnym życiu. O picciu na umór, hazardzie i dziwkach.

- Nie opuszczę tego domu - powtórzyła z posępną determinacją, patrząc Perkinsowi prosto w oczy.

Przyglądał jej się jeszcze chwilę, potem odsunął się i powiedział gładko:

- Naturalnie mogę pani złożyć tę samą ofertę, którą w swoim czasie otrzymał ode mnie Andrew. Obiecałem mu, że jeśli zgromadzi równowartość domu, to podrę ten akt przekazania własności.

Francesca trochę się odprężyła. Może jednak istniała dla niej droga wyjścia z pułapki. Ten człowiek chciał pieniędzy.

- Ile?

- Pięć tysięcy funtów.

Krew odpłynęła jej z twarzy, musiała przytrzymać się biurka, żeby nie upaść. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby wejść w posiadanie takiej sumy.

- Dałem mu dwa tygodnie na zebranie tej kwoty, ale tak niefortunnie się stało, że musiałem tymczasem opuścić kraj wskutek incydentu z Averym Bagshawem.

- Incydentu? Czy takim terminem określa pan zabójstwo?

- To dziwne - ciągnął tak, jakby nie usłyszał jej pytania - ale Haughston nigdy nie uznał za stosowne przysłać mi pieniędzy, które był winien. - Pokręcił głową, jakby przykro mu było z powodu niesłowności przyjaciela. - Mimo wszystko jestem gotów zaproponować pani ten sam układ. Jeśli w ciągu dwóch tygodni spłaci pani dług, podrę dokument.

Francesca wiedziała, że takiej kwoty nie zgromadzi nawet do końca życia, ale zawołała:

- Dwa tygodnie! Nie sądzi pan chyba, że zdołam zebrać tak szybko tyle pieniędzy? Haughston miał znacznie więcej zasobów niż ja. Musiałabym napisać do rodziców... i nie tylko do nich. Chcę też porozmawiać z moim pełnomocnikiem. Na pewno rozumie pan, że dwa tygodnie to stanowczo za mało. Niech mi pan da kilka miesięcy.

- Kilka miesięcy! Czekam na ten dom prawie siedem długich lat. Dlaczego miałbym znowu dobrowolnie odwlec tę chwilę?

- Pieniądze z pewnością będą dla pana wygodniejszym rozwiązaniem - przekonywała go Francesca. - Po co samotnemu dżentelmenowi taki wielki dom? Nie zdobędę takiej sumy w krótkim czasie. Proszę o dwa miesiące.

- Trzy tygodnie i ani dnia więcej. Niewiele zyskała, ale skinęła głową, zadowolona także z dodatkowego tygodnia.

Perkins uśmiechnął się tak, że aż przeszył ją dreszcz obrzydzenia, i wykonał dworski ukłon.

- Do zobaczenia za trzy tygodnie, droga lady Haughston.

Wyszedł z pokoju. Na korytarzu Fenton ruszył za nim, zdecydowany dopilnować wyjścia nieproszonego gościa.

Gdy tylko Perkins znikł, Francesca bezsilnie opadła na krzesło. To i tak był prawdziwy cud, że wcześniej nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Oparła łokcie na blacie biurka i ukryła twarz w dłoniach. Ogarnęła ją trwoga.

Skąd wziąć tyle pieniędzy? Ledwie udawało jej się znaleźć środki na utrzymanie, a do sprzedania pozostało niewiele. Powóz był stary, konie też, nie mogła dostać za to dużo pieniędzy. Biżuterii, oprócz sztucznej, praktycznie już nie miała, z wyjątkiem bransoletki i kolczyków od księcia i kamei od jego siostry Callie. Wszystkie te rzeczy nie dałyby jej nawet dziesiątej części sumy, której domagał się Perkins. Nawet gdyby sprzedała wszystkie meble, i tak nie starczyłoby na spłatę długu.

Z tego, co posiadała, tylko sprzedaż domu mogłaby przynieść potrzebną sumę. Tyle że jeśli spłaciłaby Perkinsa, to nie miałyby gdzie mieszkać. Chyba że uzyskałaby za ten dom ponad pięć tysięcy i za różnicę kupiłaby domek w niemodnej części miasta. Tak czy inaczej na całą tę operację potrzebowalaby znacznie więcej niż trzy tygodnie, a nie sądziła, by mogła liczyć na dalsze przedłużenie terminu. Zresztą gdyby Perkins dowiedział się o próbie sprzedaży, zapewne od razu poszedłby do sądu, żeby zablokować transakcję.

Do ojca też nie mogła się zwrócić. Zdążył doprowadzić ich posiadłość do bardzo złego stanu i musiał przekazać ją Dominicowi, jej bratu. Ten naturalnie

pomógłby jej chętnie, ale borykał się z dużymi problemami, starał się bowiem przywrócić majątkowi wypłacalność. Sprzedał własny dwór odziedziczony po wuju, żeby spłacić część długów i zainwestować w innowacje, które miały doprowadzić majątek do odzyskania stabilnych podstaw ekonomicznych. Nie mogła więc zniweczyć wysiłków brata, zmuszając go do zaciągnięcia następnego długu.

Nikt poza Dominikiem nie przychodził jej do głowy. Przyjaciół nie mogła prosić o tak wielką sumę, a innej rodziny nie miała. Nie była też blisko z kuzynem lorda Haughstona, który odziedziczył posiadłość, zresztą i on zapewne nie dysponował taką kwotą. Andrew wyciągnął z Haughston Hall wszystko, co tylko się dało.

Musiała więc zdecydować się na walkę z Perkinsem. Mogła odmówić opuszczenia domu. Może jednak Perkins nie odważy się pójść do sądu, mimo że podczas wizyty sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Poza tym nawet gdyby to zrobił, zawsze istniała możliwość, że dokument naprawdę jest sfalszowany. Naturalnie nie wątpiła, że Andrew był gotów postawić dom jako stawkę przy zielonym stoliku, ale jednocześnie wiedziała, że Galen Perkins w razie potrzeby na pewno nie cofnąłby się przed fałszerstwem.

Gdyby jednak doszło do sprawy w sądzie,

Perkins niewątpliwie spełniłby groźbę i powołał na świadków te wszystkie szumowiny, ujawniając krąg znajomych jej nieżyjącego męża, a ją narażając na publiczne upokorzenie. Nawet gdyby sfalszował dokument, z pewnością udałoby mu się znaleźć dwóch mężczyzn i kilka prostytutek, którzy za parę złotych monet chętnie poświadczyliby prawdziwość dokumentu.

Francesca wiedziała, że nie byłaby w stanie sprostać takiemu skandalowi. Jej nazwisko pojawiłoby się w gazetach, szeptaliby o niej wszyscy w całym Londynie, od najbardziej utytułowanych po służące. Zapewne i tak straciłaby dom. Podpis pod dokumentem wyglądał bardzo wiarygodnie.

Dokąd poszłaby, gdyby musiała się wyprowadzić? Do Redfields, gdzie do końca życia byłaby skazana na łaskę brata? Nie wątpiła, że Dominie i jego żona Constance przyjęliby ją bez słowa sprzeciwu, obawiała się jednak, że byłaby dla nich ciężarem, a ponadto przerażała ją myśl, że nie miałyby nic swojego. W dodatku życie przez cały rok z dala od Londynu znaczyłoby dla niej tyle co banicja.

Może dochody, jakie czerpała ze swatania, mogły jednak pozwolić jej na zwiążanie końca z końcem w Londynie, gdyby po prostu wynajęła gdzieś pokój. Cóż to jednak byłoby za życie? Bez domu, służby i pieniędzy na stroje. Co gorsza, wszyscy w towarzystwie wiedzieliby o jej ruinie, więc nie byłaby w stanie utrzymać swojej pozycji jednej z dyktatorek *beau monde*, a tym samym straciłaby dochody, które czerpała ze wspomagania swym doświadczeniem debiutantek wkraczających w wielki świat.

Nie, pomyślała ze smutkiem, przełykając łzy. Było dla niej zupełnie oczywiste, że stanęła w obliczu ruiny. Jeśli nie uwolni się od Perkinsa, jej świat legnie w gruzach.

Rozdział ósmy

Francesca obudziła się rano nadal przejęta silnym niepokojem. Wieczorem płakała dopóty, dopóki nie zasnęła, potem zaś dręczyły ją dziwaczne, sny, z których zapamiętała jedynie strach.

Usiadła na łóżku, kiedy Maisie przyniosła herbatę i grzanki, ale ledwie je skubnęła pochłonięta intensywnym rozmyślaniami o niewesołym położeniu, w jakim niespodziewanie się znalazła. Najlepiej byłoby spytać kogoś o radę, lecz nikt odpowiedni nie przychodził jej do głowy. Najbliższym jej człowiekiem był brat, który bez wątplenia wykazałby pełne zrozumienie dla tego problemu. Wiedziała, że zrobiłby wszystko, by spłacić dług, nawet gdyby oznaczało to dla niego ruinę finansową. Do tego nie wolno jej dopuścić.

Sir Lucien był oddanym przyjacielem, a choć nigdy nie poruszali tej kwestii, zdawał sobie sprawę z kłopotów Franceski. I on miał jednak swoje, wcale nie mniejsze, więc i od niego nie należało oczekiwać pomocy. Poza tym Lucien nie był człowiekiem obeznanym z operacjami finansowymi.

Przyszła jej do głowy Irene, bez wątpienia kobieta inteligentna, z którą była bardzo blisko. Francesca podejrzewała, że Irene musiała zauważyć jej brak pieniędzy. Ona na pewno wpadłaby na jakiś pomysł i najprawdopodobniej wystąpiłaby z pomocą, zwłaszcza że jej mąż należał do najbogatszych ludzi w Londynie. Jednak na myśl o zwróceniu się do Irene wszystko we Francesce się buntowało. Nie wypadało się narzucać przyjaciółce. Poza tym oprócz rodziny nie miała już nikogo naprawdę bliskiego. Chyba że...

Sinclair!

Imię księcia nasunęło jej się całkiem samoistnie, ale Francesca natychmiast porzuciła ten pomysł. Ich dawna zażyłość nie uprawniała jej do wykorzystywania szczodrości Rochforda. Nie powinna nakłaniać go do jakichkolwiek zobowiązań. Wprawdzie odczułaby wielką ulgę, dzieląc się kłopotami właśnie z Sinclairem, ale byłoby to upokarzające. Poza tym on naprawdę niczego nie był jej winien. Musiała samodzielnie rozprawić się z Perkinsem.

Odstawiwszy na stolik tacę śniadaniową, Francesca wstała i podeszła do szkatułki z biżuterią. Przejrzała jej zawartość, oddzielając sztuczną biżuterię od prawdziwej. Z westchnieniem stwierdziła, że ta druga kupka jest znacznie mniejsza: perłowy naszyjnik otrzymany od rodziców na osiemnaste urodziny, kamea od Callie, szafirowe kolczyki od księcia, będące prezentem zaręczynowym, i bransoletka z szafirów, wygrana od niego w zakładzie latem zeszłego roku. Obrączka ślubna i nieliczne klejnoty, które miała po mężu, dawno spieniężyła na codzienne utrzymanie. Zostały tylko pamiątki najdroższe jej sercu. Nie była pewna, czy nawet w tej sytuacji jest gotowa ich się pozbyć. Tylko czy miała inną możliwość?

Kiedy więc Maisie wróciła po tacę, Francesca powiedziała:

- Mam trochę drobiazgów, które trzeba zanieść do jubilera.

- Jeszcze coś jest? Nie wiedziałam.

Maisie zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad typowymi oznakami kryzysu finansowego w domu. Tym razem jednak tak nie było.

- Muszę sprzedać wszystko, co się da. Kiedy się ubiorę, zrobię przegląd sreber w składziku kamerdynera. Wydaje mi się, że trzeba je wynieść.

- Wszystkie, milady? - Tym razem służąca nie posiadała się ze zdumienia.

Francesca potwierdziła skinieniem głowy.

- Ile twoim zdaniem to przyniesie? Czy możemy sprzedać również kryształy? Co z meblami? Ile są warte?

- A czego będzie pani używać? - spytała Maisie, kręcąc głową. - Nie może pani pozbyć się wszystkich srebrnych naczyń.

- Większości tak - odparła niewzruszenie Francesca. - Od tej pory będę mogła wydawać tylko niewielkie przyjęcia. Na pewno możemy też spieniężyć prawie wszystkie srebrne kandelabry. Kiedy skończymy ze składzikiem kamerdynera, zajmę się strychem. Porozmawiam też z woźnicą o sprzedaży powozu i koni.

- Powozu też? Milady, co się stało?! - wykrzyknęła przestraszona Maisie. - Przecież nic pani nie zostanie! Co wtedy?

- Nie mam wyjścia. - Francesca zachwiała się w swym postanowieniu. Rzeczywiście jaki sens ratować dom, jeśli będzie musiała zrezygnować z dotychczasowego stylu życia? Jednak trzeba... Nie dopuści do triumfu Perkinsa.

- Daj też znać pełnomocnikowi, że chcę go widzieć.

- Chyba nie zamierza pani pozbyć się wszystkich papierów? - spytała bliska paniki Maisie.

- Nie - przyznała Francesca. - Nie mogę zostać z pustymi rękami. Muszę jednak zastanowić się nad sprzedażą.

Mimo protestów służącej pozostała stanowcza i przez resztę dnia chodziła po domu, spisując wszystko, co nadawało się do spieniężenia. Pełnomocnik przyszedł po południu i choć nie prowadził żadnych naprawdę dużych spraw, to i tak naradzali się prawie godzinę.

Po jego wyjściu Francesca poczuła się zmęczona. Usiadła w fotelu i zapatrzyła się w okno, za którym zachodziło słońce. Pomyślała, że jej rozpaczliwe zabiegi są bezcelowe i kompletnie nie mają sensu.

Nawet gdyby sprzedała wszystkie przedmioty osobistego użytku, nie przyniosłyby jej one sumy zbliżonej do oczekiwanej. Gdyby dołożyła do nich papiery wartościowe, uzyskałaby większą kwotę, ale i tak jeszcze brakowałoby sporo, a ona straciłaby środki utrzymania. Mogłaby liczyć tylko na rodziny dziewcząt, którym pomagała znaleźć mężów.

Nasuwał się wniosek, że jedynie sprzedaż domu przyniosłaby potrzebne środki. Jednak poszukiwanie nabywcy zajęłoby z pewnością więcej niż trzy tygodnie, jakie jej pozostały. Pełnomocnik zgodził się poczynić pierwsze kroki związane ze sprzedażą, choć był zdecydowanie przeciwny tej decyzji. Uważał, że jeśli Francesce brakuje pieniędzy, znacznie lepiej będzie wynająć dom na sezon. Naturalnie jednak takie rozwiązanie zupełnie nie odpowiadało jej potrzebom, nie mogła zaś zdobyć się na to, by wytłumaczyć pełnomocnikowi, po co jej tyle pieniędzy tak szybko i nieodwołalnie.

Po namyśle doszła do wniosku, że należało zlecić Maisie sprzedaż wszystkiego, co tylko się do tego nadawało. W najlepszym razie potrzebowała przecież pieniędzy na opłacenie adwokata; gdyby postanowiła walczyć z Perkinsem w sądzie.

Jeszcze raz podeszła do szkatułki i wyjęła z niej bransoletkę oraz kolczyki. Wszystko, tylko nie to! - uznała.

Przez cały następny tydzień przygotowań do przyjęcia Harriet ani na chwilę nie zapominała o upływającym czasie. Jednak zadowalającego rozwiązania znaleźć nie umiała.

Próbowwała przynajmniej nie myśleć o Perkinsie i skoncentrować się na sukcesie wieczorku Harriet. Ku jej zadowoleniu odpowiedzi na zaproszenia napływały szybko i oprócz kilku osób wszyscy wyrazili chęć przyjścia. Z tej okazji otworzyła jeden z dużych salonów we wschodnim skrzydle, który zwykle był zamknięty i nieumeblowany. Wielkie porządki wymagały dodatkowo najęcia dwóch służących i lokaja. Kiedy zadanie zostało wykonane, przyszedł czas na dekorowanie salonu i holu. Wybrano wina, ustalono jadłospis.

Francesca spotykała się też ze swoją podopieczną, którą szkoliła w sztuce konwersacji, flirtu i kilku innych umiejętnościach niezbędnych w czasie sezonu. Na szczęście Harriet umiała tańczyć, nie opierała się też przed stosowaniem rozmaitych mikstur, które Francesca zaleciła jej, by nieco rozjaśnić cerę. Najtrudniejsze było jednak opanowanie niesfornego języka. Panna nie miała buntowniczej natury, ale nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej prostolinijność jest rażąca, a poruszanie niektórych tematów może wzbudzić niezadowolenie matron.

Jednak mimo licznych zajęć Francesca nieustannie pamiętała o upływie czasu. W końcu zostało jej niewiele ponad tydzień na podjęcie decyzji. Musiała wybrać, czy pozostaje w domu i licząc się ze skandalem, czeka, aż Perkins podejmie kroki sądowe, czy raczej przekazuje mu klucze i szuka schronienia w Redfields. Obie możliwości wydawały jej się nie do zaakceptowania.

Tymczasem nadszedł wieczór przyjęcia. Pogoda sprzyjała, nie należało się więc obawiać, że deszcz zatrzyma kogoś w domu. Francesca włożyła nową jedwabną suknię w kolorze morskim, na nagie ramiona zarzuciła srebrną chustę i z uśmiechem na twarzy stanęła w holu, by powitać gości. Zamierzała zapomnieć o swoich kłopotach przynajmniej na najbliższe kilka godzin. To było jedyne wydarzenie towarzyskie organizowane przez nią w tym sezonie, chciała więc, aby wypadło dobrze i minęło zdecydowanie przyjemnie.

Okazało się jednak, że nie miała wiele okazji, by cieszyć się przyjęciem. Prawie przez cały czas musiała zajmować się Harriet wyglądającą powabnie w

nowej białej sukni balowej i misternej fryzurze złożonej z pierścionków umiejętnie upiętych przez Maisie. Francesca przedstawiła podopieczną wszystkim obecnym kawalerom, a także damom, które mogły jej ułatwić dalszą drogę w towarzystwie. Na pokazanie się w Almacku raczej nie mogła liczyć, ale zaproszenia na kolejne przyjęcia i bale powinny wkrótce nadejść.

W przerwach zwracała uwagę na Rochforda, którego musiała z kolei poznać z wybranymi dla niego młodymi damami. Ucieszyło ją, gdy zobaczyła, że wszystkie cztery kandydatki przybyły na wieczorek, i dopilnowała, by z każdą księżę miał okazję porozmawiać.

Kiedy w pewnej chwili zerknęła kątem oka w jego stronę, okazało się, że konwersuje właśnie z lady Damaris Burkę. Roześmiał się nawet, a jego twarz wyraźnie pojaśniała. Jednak ten widok nie sprawił Francesce przyjemności. Przeciwnie, poczuła bolesne ukłucie w sercu, któremu towarzyszyło wrażenie, że zaraz popłyną jej z oczu łzy.

Skarciła się w myślach za brak rozsądku. Rozmowa z lady Damaris nie mogła nie sprawiać Sinclairowi przyjemności. Panna była bystra, elegancka i umiała prowadzić konwersację. Nie można też było powiedzieć, że jest nieatrakcyjna. Trochę brakowało jej wzrostu, za to kobiece krągłości prezentowały się znakomicie, podobnie jak kręcone kasztanowe włosy i pełne życia orzechowe oczy. Zdaniem Franceski to właśnie ona miała największą szansę zainteresować sobą księcia.

Natomiast atutem lady Edwiny de Morgan była uroda. Najładniejsza ze wszystkich czterech dam miała kruczoczarne włosy i lśniące zielone oczy, choć jej rysom można było zarzucić nadmierną ostrość, tak przynajmniej zdawało się Francesce.

Obawiała się trochę o lady Mary, która mogła okazać się zbyt nieśmiała, aby odważyć się na rozmowę z księciem. Miała wstydliwą naturę i najchętniej chowała nos w książkach. Na szczęście obawy Franceski okazały się płonne, bo panna jednak wdała się w konwersację z Rochfordem. Najdziwniejsze, że gdy

kilka minut później Francesca zerknęła w tym samym kierunku, ci dwoje nadal byli sobą zajęci, a co więcej, lady Mary opowiadała coś z niemałym ożywieniem.

Francesca uśmiechnęła się pod nosem. To było ze strony Sinclaira niemałe osiągnięcie. Bez wątpienia przydała się jego cierpliwość, urok osobisty i życzliwość. Najkrócej można było powiedzieć, że Rochford jest wzorem dżentelmena. Francesca zaczęła się nawet zastanawiać, czy kobiety, które typowała, mają dość zalet, by mu dorównać.

Zaraz jednak uświadomiła sobie, że takie skrupuły wcale nie są mądrzejsze niż żal, który odczuła nieco wcześniej, na widok rozmowy Rochforda z lady Damaris. Powinna się cieszyć, że poważnie podchodzi on do swojego zadania. Przecież wybrała te damy bardzo starannie. I chociaż żadna nie była chodzącym ideałem, to wiadomo było, że ideałów po prostu nie ma. Nawet o księciu nie mogłaby przecież tego powiedzieć. Potrafił być uparty, irytował pewnością siebie. A najbardziej drażniła u niego kpiąca mina z uniesioną jedną brwią, tym bardziej że przybierał ją zwykle, gdy rozmówca rzeczywiście nie miał racji.

Udało jej się wygospodarować kilka minut na rozmowę z sir Alanem, a jego życzliwość podziałała na nią kojąco. Na duchu podnieśli ją też sir Lucien i hrabstwo Radbourne.

Irene doprowadziła ją do wybuchu śmiechu opowieścią o niedawnej wizycie, którą złożyła bratu i szwagierce.

- Zbliżające się macierzyństwo bynajmniej nie odebrało lady Maurze temperamentu - oznajmiła. - Dzięki Bogu, że to nie ja tam zostałam, tylko matka, bo bez wątpienia doszłoby do awantury. To jej za gorąco, to znowu marznie. Każe sobie dokładać poduszkę pod plecy, a za chwilę zabierać. Trzeba jej też pomagać przy wstawaniu z krzesła.

Irene urwała i popatrzyła na przyjaciółkę.

- Chyba nie powinno mnie to bawić, ale bawi i nic na to nie poradzę. Zdaniem mamy duży brzuch Maura ma dlatego, że dziedzic Humphreya musi

być chłopem na schwał, ale mnie się wydaje, że winne są raczej pieczenie i ziemniaki, które ona w wielkich ilościach pochłania na kolację. Nie wspomnę o czekoladkach, które zawsze ma pod ręką.

- Jesteś złośliwa - orzekła Francesca.

- Owszem - przyznała bez śladu skruchy Irene. - Pewnie niedługo jej dorównam.

- Irene! - wykrzyknęła Francesca. - Czy chcesz powiedzieć...?

Przyjaciółka uśmiechnęła się dyskretnie.

- Nikt o tym nie wie oprócz mamy i ciebie. To dopiero początek, jeszcze nawet nie trzeci miesiąc, a zdaniem mamy to najbardziej niebezpieczny okres, więc rodzinie Gideona na razie nie mówimy. Dowiedzą się dopiero wtedy, gdy będzie większa pewność, że donoszę dziecko. Możesz sobie chyba wyobrazić, jak rzuci się na nie lady Odelia.

- Och, Irene. - Francesca uściśnęła dłoń przyjaciółki. - Ogromnie się cieszę. Gideon jest na pewno w siódmym niebie.

- Na pewno nie tak jak ja - przyznała wstydliwie Irene. - Dobrze wiesz, że nigdy nie należałam do kobiet, które zachwycają się dziećmi i entuzjasmują macierzyństwem. Muszę jednak przyznać, że ostatnie tygodnie są dla mnie niezwykle. Jeszcze nigdy nie miałam w sobie tyle nadziei i nie czułam się tak szczęśliwa, mimo że przez połowę przedpołudnia choruję. Zmieniłam się. Wyobraź sobie, że prawie nie kłócę się z Gideonem, chociaż on pewnie przypisuje to mojemu złemu samopoczuciu. W każdym razie jest cudowny, troszczy się o mnie tak, że raz nawet popłakałam się ze wzruszenia. To naturalnie jeszcze umocniło go w przeświadczeniu, że jestem ciężko chora. Prawda jest taka, że rozpiera mnie szczęście i nawet nie mogę się z nikim sprzeczać. Może z wyjątkiem Maury.

- Świetnie się spisałaś - pochwaliła ją Francesca. - Najpierw Constance, teraz ty, jeszcze trochę i będą dookoła same niemowlaki.

- Musisz mi obiecać, że zostaniesz matką chrzestną - zażądała Irene. -
Podejrzewam, że Constance poprosiła cię o to samo, ale nalegam, byś zgodziła
się jeszcze raz.

W oczach Franceski zakręciły się łzy. Miała nadzieję, że Irene weźmie je za
wyraz radości. Naprawdę cieszyła się szczęściem przyjaciółki, a wcześniej brata
i szwagierki, w głębi duszy jednak czaił się smutek, przypominało jej się
bowiem dziecko, które straciła.

- Naturalnie. Będę najbardziej troskliwą chrzestną, jaką zna świat -
zapewniła.

- O, jesteście! - dobiegł je z lewej strony znajomy głos.

Odwróciły się i ujrzały ciemnowłosą piękność, która zbliżała się do nich
uśmiechnięta, wsparta na ramieniu wysokiego, przystojnego mężczyzny.

- Callie! - zawołała Francesca, zrywając się z miejsca. - Co za
niespodzianka! Nie wiedziałam, że już wróciłaś! Rochford nie wspomniał o tym
ani słowem.

Francesca mocno objęła Callie, która ze śmiechem odwzajemniła uścisk.

- Nie pozwoliłam mu na to. Chciałam zrobić ci niespodziankę.
Przyjechaliśmy z Bromem akurat wtedy, kiedy Sinclair wybierał się na twój
wieczorek, więc postanowiliśmy zajrzeć, mimo że nie byliśmy zaproszeni.
Musiał jednak mi obiecać, że będzie milczał na temat naszego powrotu,
żebyśmy zdążyli się oporządzić i przebrać.

- Jesteście niezmiennie mile widziani - zapewniła ją Francesca, odsuwając
się na kilka kroków, by zmierzyć Callie wzrokiem. - Pięknie wyglądasz.

- To dzięki sukni. Kupiłam ją w Paryżu.

- Nie, to nie suknia - zdecydowanie zaprzeczyła Francesca.

- Może zatem służy mi małżeństwo. - Callie przesłała mężowi czułe
spojrzenie.

Wysoki, barczysty Bromwell należał do najprzystojniejszych mężczyzn w
towarzystwie.

Właściwie ustępował tylko księciu Rochfordowi. Gęstymi włosami w kolorze mahoni i intensywnie niebieskimi oczami przypominał swoją siostrę Daphne, ale na szczęście miał zupełnie inny charakter.

To właśnie kłamstwa siostry sprawiły, że przed wieloma laty poróżnił się z księciem, a do Callie zaczął się zalecać z chęcią dokuczenia Rochfordowi. Z czasem zorientował się jednak, że tak naprawdę tylko ona jest ważna. Kiedy intrygi Daphne zostały ujawnione, pogodził się z księciem, choć zanim do tego doszło, zdążyli się pobić. W końcu jednak wyszło im to obu na dobre, bo incydent ten zwiększył ich wzajemny szacunek.

Hrabia Bromwell skłonił się elegancko.

- Lady Haughston. Lady Radbourne. Cieszę się, że obie panie tak pięknie wyglądają.

Na początku Francesca nieufnie odnosiła się do Bromwella, obserwowała go więc wyjątkowo bacznie. Okazało się jednak, że są z Callie dla siebie stworzeni.

- Miło mi znów pana widzieć - odezwała się Irene. - Mam nadzieję, że podróż minęła państwu przyjemnie.

- Obejrzelśmy chyba wszystkie możliwe katedry we Francji i Włoszech - zażartował Bromwell. - Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo moja żona lubi zwiedzać kościoły.

- Nie chodzi o same kościoły, tylko o dzieła sztuki - sprostowała Callie.

Przez kilka minut rozmawiali o ich podróży poślubnej. Potem Irene porwała hrabiego, by mógł przywitać się z Gideonem, a Francesca z Callie usiadły na krzesłach.

- Widzę, że jesteś szczęśliwa - zwróciła się Francesca do przyjaciółki.

- Niezaprzeczalnie i niewiarygodnie - przyznała Callie. - Gdybym wiedziała, jak bardzo spodoba mi się małżeńskie życie, już dawno wyszłabym za mąż.

- Myślę, że to raczej kwestia wyboru właściwego partnera.

- Kocham go, Francesco, i wydaje mi się, że moja miłość z każdym dniem się umacnia.

- Cieszę się twoim szczęściem, moja droga. Zawsze lubiła Callie, którą poznała wtedy, gdy jako mała dziewczynka uczyła się chodzić, ale przez ostatnie miesiące ich zażyłość bardzo się zacieśniła. Traktowały się jak siostry.

- Opowiedz mi, co słyhać - zażądała Callie. - Mam wrażenie, jakby wieki mnie tu nie było, mimo że czas mijał nam bardzo szybko.

Francesca zaczęła od ostatnich plotek. Okazało się, że nie jest ich tak znowu wiele, więc dodała przeproszającym tonem:

- Obawiam się, że bywałam ostatnio na przyjęciach rzadziej niż zwykle. Jak widzisz, nie bardzo wiem, co się dzieje.

- Chorowałaś? - zaniepokoiła się Callie.

Francesca poczuła na sobie przenikliwe spojrzenie przyjaciółki i mocno się zaniepokoiła. Callie była bardzo spostrzegawcza.

- Nie, skądże. Trochę jestem zmęczona przygotowaniem do tego wieczorku.

- Wspaniale się udał. Zresztą należało się tego spodziewać. Kto jak kto, ale ty z pewnością znasz się na elegancji. Sinclair wspomniał mi, że wydałaś ten wieczorek dla Harriet Sherbourne. Czy ja ją znam?

- Nie. Dopiero niedawno przyjechała ze wsi. Jest tam, rozmawia z Oscarem Coventrym.

- Bardzo ładna panna. Kolejna adeptka sztuki osvajania wielkiego świata?

- W pewnym stopniu.

Callie powędrowała wzrokiem dalej i po chwili zatrzymała go z niemałym zainteresowaniem.

- A kim jest dama, z którą rozmawia mój brat?

Francesca spojrzała we wskazane miejsce. Rochford stał obok urodziwej młodej blondynki, która wpatrywała się w niego z zachwytem.

- To lady Caroline Wyatt, tegoroczna debiutancka, córka sir Averilla Wyatta.

- Sir Averilla... - Callie zmarszczyła czoło, ale po chwili najwyraźniej skojarzyła właściwą osobę. - Ach, więc to córka lady Beatrice?

- Zgadza się. Wnuczka Bellinghama.

- Ho, ho. Nie chce mi się wierzyć, że Sinclair tak długo z nią rozmawia. Zwykle młode panny śmiertelnie go nudzą. Sądziś, że się nią zainteresował?

- Może. Jest całkiem ładna.

Rochford rzeczywiście rozmawiał z nią już długo, ale panna zdawała się mówić niewiele, tylko kiwała głową, a od czasu do czasu ślicznie się uśmiechała albo z gracją wykonywała kilka ruchów wachlarzem, chłodząc twarz.

- Muszę powiedzieć - stwierdziła Francesca, nie przestając obserwować tej pary - że ona chyba nie ma daru wymowy. Obawiam się, że Rochford niezbyt wysoko oceni jej talenty konwersacyjne. - Zabrzmiało to dość brutalnie, w każdym razie tak jej się wydawało, więc szybko postarała się złagodzić wydzwięk spontanicznie wygłoszonej uwagi: - Naturalnie wielu mężczyzn woli właśnie takie kobiety.

Osobiście miała nadzieję, że Rochford do nich nie należy. Nie pojmowała, dlaczego włączyła lady Caroline Wyatt do grona kandydatek. Trudno jej było w tej chwili sobie przypomnieć, co w tej pannie dostrzegła, ale myśl, że książę mógłby się w niej zakochać, okazała się dla niej trudna do zniesienia.

- Nie wydaje mi się, żeby Sinclair zaliczał się akurat do tych mężczyzn - stwierdziła Callie, co bardzo podniosło Francescę na duchu.

Tymczasem w holu wszczęło się zamieszanie. Dobiegły stamtąd podniesione męskie głosy i wkrótce oczom Franceski ukazał się Galen Perkins, a obok niego wzburzony kamerdyner.

- Och, nie - jęknęła Francesca. Czyżby Perkins zamierzał zepsuć jej przyjęcie? Łatwo sobie mogła wyobrazić, że zaraz zaczną rozgłaszać, kto naprawdę jest właścicielem domu. - Przepraszam cię, Callie.

Francesca szybko ruszyła w kierunku nieproszonego gościa.

- O, lady Haughston. Cieszę się, że panią widzę. Proszę powiedzieć służbie, że jestem mile widzianym gościem na pani małym przyjęciu.

- Co pan tu robi? - spytała cicho Francesca, puszczając mimo uszu jego słowa. - Nie zaprosiłam pana.

- Jestem pewien, że to zwykłe niedopatrzenie. Przecież nie pominęłaby pani starego przyjaciela męża.

- Proszę wyjść. - Zastanawiała się, jak zareagować, jeśli Perkins będzie chciał urządzić scenę. - Powiedział pan, że mam trzy tygodnie...

- Trzy tygodnie? Na co, milady? - spytał bezczelnie, przy czym tytuł w jego ustach zabrzmiał jak zwykle szyderstwo.

- Panie Perkins, bardzo proszę...

- Lady Haughston. - Za jej plecami rozległ się spokojny, starannie modulowany głos księcia.

- Rochford. - Francesca odwróciła się ku niemu z niewysłowioną ulgą.

- Czy mogę w czymś pomóc? - Zmierzył Perkinsa takim spojrzeniem, że Francesca aż się przestraszyła. - Co pan tutaj robi?

- Jak to? Jestem gościem milady. Ze zmarłym lordem Haughstonem łączyła mnie przyjaźń. - Przeniósł wzrok na panią domu. - Gdyby ktoś kwestionował moje prawo do obecności w tym miejscu, to z przyjemnością opowiem ludziom o tej przyjaźni.

- Życzy sobie pani, abym go wyrzucił? - spytał księżę, nie spuszczać wzroku z natręta.

- To nie w pańskiej mocy - odparł z ironią Perkins.

Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, w końcu Perkins skapitulował. Księżę znów zwrócił się do Franceski.

- Nie - powiedziała szybko, kładąc mu rękę na ramieniu. Zdecydowanie nie chciała, aby Perkinsa wyprowadzono siłą. Wybuchłaby awantura, kto wie, co

ten człowiek zacząłby wyprawiać. - Proszę go zostawić. Nie chcę zepsuć sceną przyjęcia lady Harriet. To zostałyby bardzo źle przyjęte.

Rochford zmarszczył czoło. Wyraźnie nie aprobował decyzji Franceski. Zauważyła to, bo przesłała mu błagalne spojrzenie.

- Sinclair, proszę pana...

- Naturalnie - ustąpił natychmiast. - Jak pani sobie życzy. A pan, Perkins, niech uważa, będę miał pana na oku.

- Jeśli nie umrę ze strachu, uznam to za prawdziwy cud - odparł intruz beczelnie.

- Może pan się poczęstuje. - Francesca wykonała gest w kierunku bufetu.

Na szczęście przyjęcie miało się już ku końcowi, liczyła więc na to, że nie będzie musiała znosić obecności Perkinsa dłużej niż godzinę. Tymczasem podeszła do niej Callie.

- Przedstaw mnie pannie Sherbourne, bardzo chciałabym ją poznać - powiedziała.

- Naturalnie. - Obie szybko oddaliły się od Perkinsa.

- Kim jest ten człowiek? - spytała Callie. - Kiedy Sinclair go zobaczył, zrobił taką minę, jakby chciał go udusić.

- To jest nikt. Był kiedyś znajomym mojego męża. Łajdak i oszust, ale nie mogę dopuścić do tego, żeby zepsuł mi przyjęcie, więc nie pozwoliłam Rochfordowi go wyrzucić.

- Nie martw się - pocieszyła ją Callie. - Sinclair na pewno się nim zajmie, jeśli będzie przeszkadzał. Podejrzewam zresztą, że Bromwell chętnie mu pomoże. Wiesz, że oni ostatnio prawie się zaprzyjaźnili? Mężczyźni to bardzo dziwne istoty.

Francesca roześmiała się. Trudno było nie czuć się swobodnie w obecności Callie.

Reszta wieczoru minęła bez przeszkód. Francesca krążyła wśród gości, od czasu do czasu dyskretnie starając się zlokalizować Perkinsa. Najpierw widziała

go przy bufecie, potem przechadzał się po salonie, kłaniając się gościom. Mężczyźni reagowali na jego widok dość nerwowo, Francesca zaczęła się więc zastanawiać, ilu z nich miało z nim problemy przy zielonym stoliku. Może i oni obawiali się, że Perkins ujawni niepożądane informacje.

Nieco później okazało się, że Perkins znikł. Obeszła salon, ale nigdzie go nie spostrzegła. Wydało jej się to dziwne. Człowiek, który wtargnął z hukiem, nie ułatwia się niepostrzeżenie. Przy okazji zauważyła, że na sali nie ma również Rochforda. Czyżby zdołał dyskretnie wyprowadzić Perkinsa na zewnątrz? - zadała sobie w duchu pytanie. Powinna być mu za to wdzięczna, ale bała się tego, co mogło stać się potem. Rochford naturalnie potrafi dać sobie radę w różnych sytuacjach. Był dobrze zbudowany i sprawny, należał też do arystokratów, którzy lubili „zabawę”, jak nazywano w tym środowisku walki na pięści. Słyszała nawet, że w klubie Jacksona zdarza mu się sparować z samym właścicielem, a był to nie lada zaszczyt. Zresztą nie miała powodu wątpić w jego umiejętności, skoro sama widziała go w akcji przed trzema miesiącami, gdy starli się z Bromwellem.

W innych okolicznościach nie martwiłaby się o niego ani trochę, Perkins był jednak wyjątkowym draniem. Francesca nie wątpiła, że w walce nie przestrzega reguł przyjętych przez dżentelmenów. Jeśli doszło do zatargu z księciem, strach było pomyśleć, co Perkins może zrobić. Jeszcze raz rozejrzała się po sali, wpadło jej bowiem do głowy, żeby zwrócić się o pomoc do Bromwella albo do Gideona.

Dopiero, wtedy dostrzegła, że tych dwóch również nie ma w salonie. Czyżby wszyscy trzej zajęli się Perkinsem? Na chwilę odetchnęła. Skoro tak, to Rochfordowi nic nie grozi.

Poczucie ulgi nie trwało długo. Rozwścieczony Perkins mógł nagadać okropnych rzeczy. A jeśli powiedział im o kwicie jej męża i o domu? Nie chciała, żeby Rochford dowiedział się o uczynkach Haughstona.

Zaczęła szukać Callie i z pewnym zdziwieniem dostrzegła ją rozmawiającą z lady Wyatt i jej córką Caroline. Kiedy się zbliżyła, Callie szybko przeprosiła damy i dołączyła do niej.

- Cieszę się, że jesteś - szepnęła. - Czułam się, jakbym trafiła na wyspę. Nikt do nas nie podszedł od kwadransa. Myślałam, że nie ma dla mnie ratunku i do końca wieczoru będę musiała słuchać lady Wyatt opowiadającej o porodzie najmłodszej siostry. Owszem, jestem mężatką, ale to nie oznacza, że chcę poznać przerażające historie o rodzeniu dzieci, zwłaszcza że jestem w ciąży.

- Z pewnością - przyznała Francesca. - Przyszłabym ci na pomoc wcześniej, gdybym wiedziała, co się święci. Szukałam twojego męża.

- Ojej, wybacz, nie zrozumiałam w pierwszej chwili, o kogo chodzi. Jeszcze nie całkiem się przyzwyczaiłam. W każdym razie nie wiem, gdzie się podział. - Rozejrzała się po pokoju. - Ostatnio widziałam, jak z hrabią Radbourne'em rozmawiali z Sinclairem. Może zawiązali spisek i poszli do ogrodu wypalić po cygarze.

- To możliwe.

A więc rzeczywiście byli razem. Tyle że Callie mogła nie mieć racji, że chodziło tylko o cygaro.

- O, są - powiedziała Callie, skinieniem głowy wskazując ku drzwiom.

Francesca zobaczyła wchodzących do środka hrabiów Radbourne'a i Bromwella. Rochforda jednak z nimi nie było. Czyżby się omyliła i książę sam zajął się Perkinsem? Istniała też możliwość, że Sinclair pojechał do domu, Perkins zrobił to samo, a ona niepotrzebnie się martwi.

- Podejźmy do nich? - spytała Callie. - Chciałaś o coś zapytać?

- Słucham? Och, nie. To nic ważnego.

Francesca zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się raczej dziwnie. Nie wiedziała jednak, w jaki sposób mogłaby wyciągnąć od Bromwella interesujące ją informacje. Jeśli pomagał usunąć z przyjęcia Perkinsa, to na pewno się do tego nie przyzna, a jeśli nie, to on i Callie tylko

niepotrzebnie zainteresują się całą sprawą. Na szczęście w tej samej chwili zwróciła uwagę na zbliżającą się ku nim parę.

- Popatrz - powiedziała do Callie - lordostwo Hampton. Bez wątplenia chcą się pożegnać. Czy zauważyłaś, że oni zawsze wychodzą pierwsi?

Zostawiła przyjaciółkę, by podziękować gościom za przybycie. Po Hamptonach stopniowo wykruszali się inni, Francesca przeniosła się więc w pobliże drzwi do holu, żeby łatwiej jej było wywiązać się z obowiązków pani domu.

Wkrótce potem rozpoczęło się sprzątanie pustego salonu. Francesca poszła do siebie na górę, a ponieważ Maisie krzątała się razem z resztą służby, sama zdjęła suknię i rozpuściła włosy. Potem otuliwszy się peniuarem, wzięła do ręki szczotkę i usiadła przed lustrem. Okno zostawiła lekko uchylone, żeby odetchnąć świeżym powietrzem po dusznej atmosferze pokoju, w którym odbywało się przyjęcie.

Właśnie skończyła rozczesywać włosy, gdy ujrzała na ulicy samotnego mężczyznę. Zwrócił jej uwagę, więc podeszła do okna i wytężyła wzrok. Było zbyt ciemno, by rozpoznać rysy twarzy, ale z sylwetki i chodu wywnioskowała, że to Rochford. Przystanął przed domem i spojrzał do góry. W jej pokoju było ciemno, świecę zostawiła bowiem przy drzwiach. Rochford zawahał się i zerknął na frontowe drzwi.

Francesca szybko zabębniła w szybę. Gwałtownie poderwał głowę i zaczął jej wypatrywać. Wychyliła się przez okno.

- Sinclair! - zawołała.

Na jej widok zdjął cylinder i elegancko się skłonił. Wskazała mu frontowe wejście, po czym wzięła świecę i szybko opuściła pokój.

Rozdział dziewiąty

Czekał u szczytu schodów, przed drzwiami wejściowymi. Pamiętając o służących kończących sprzątanie, przytknęła palec do warg, dając mu" znak, by zachowywał się jak najciszej. Lepiej było, by nikt nie widział, że wpuszcza mężczyznę do domu o późnej porze, nawet jeśli jest to człowiek o tak nieposzlakowanej opinii jak książe Rochford. Stała służba była dyskretna, ale tych, których Fenton najął do pomocy przy przyjęciu, Francesca nie знаła.

Rochford zareagował na jej gest uniesieniem brwi, ale przekraczając próg, posłusznie milczał. Francesca zerknęła w stronę oświetlonego salonu i gestem zaprosiła go do wnętrza.

Zaprowadziła Rochforda do położonego w głębi domu pokoju dziennego, w którym najbardziej lubiła przebywać. Dodatkowo miał on tę zaletę, że znajdował się najdalej od miejsca, w którym krzątała się służba. Starannie zamknęła za nimi drzwi i zapaliła lampę, po czym zwróciła się ku księciu i zmierzyła go surowym spojrzeniem.

- Teraz może pan wszystko wyznać.
- Z chęcią - odparł wesoło. - Tylko co?
- Zauważyłam, że Perkins ni stąd, ni zowąd znikł z przyjęcia.
- Może się znudził. Nie sądzę, by ktokolwiek z pani gości życzliwie odniósł się do jego obecności.

Francesca zmarszczyła czoło.

- Zauważyłam również, że w tym samym czasie nie było w domu pana i pańskich współników.
- Moich współników? Proszę mi powiedzieć, o kogo chodzi.
- O hrabiów Radbourne'a i Bromwella. Co zrobiliście?
- Po prostu wytłumaczyliśmy Perkinsowi, że będzie szczęśliwszy gdzie indziej, a potem odprowadziliśmy go, by mieć pewność, że bezpiecznie w to miejsce dotrze.

- Sinclair! Czy wyrządziliście mu krzywdę?
- Doprawdy, Francesco, pani chyba bierze mnie za zbója. - Leniwym ruchem strzepnął nitkę z nieskazitelnego czarnego fraka.
- Nawet nie przyszłoby mi to do głowy, gdybym nie widziała, jak próbuje pan rozbić głowę przyszłemu szwagrowi.
- Wtedy nie był przyszłym szwagrem - zwrócił uwagę. - Poza tym miałem o wiele poważniejszy powód, żeby uderzyć Bromwella. Podejrzewałem, że chce zszargać opinię mojej siostry. Perkins był jedynie... natrętny.
- Czy to znaczy, że tylko z nim porozmawialiście? - dopytywała się Francesca.
- Tak. Gideon głosował za wrzuceniem go do Tamizy... - Słyszając jęk Franceski, dodał poufałym tonem: - To kwestia jego wychowania, sama pani wie. "W każdym razie Bromwell i ja wyperswadowaliśmy mu ten pomysł, choć wspomniałem, zdaje się, Perkinsowi, że czeka go znacznie gorszy los, jeśli odważy się pani narzucać.
- Co on... Czy powiedział coś niestosownego?
- Powiedział sporo i nie mogę powtórzyć tego damie, ale nie ma czego żałować, bo nie było to nic ważnego. - Przyjrzał się jej zaintrygowany. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo interesuje panią los tego nędznego szubrawca. Przecież nie zaprosiła go pani dziś wieczorem, prawda?
- Nie, to oczywiste. On mnie nic nie obchodzi, a właściwie inaczej: obchodzi mnie, ale nie w pozytywnym sensie. To zły człowiek. Prawdę mówiąc, obawiałam się, że może pana skrzywdzić. - Odwróciła się i przeszła na drugi koniec pokoju. - Widzę jednak, że niepotrzebnie się martwiłam.
- Rochford zbliżył się do niej o kilka kroków i przystanął.
- Rzeczywiście niepotrzebnie. Perkins nie stanowi zagrożenia.
- Mógł chcieć się zemścić - zwróciła uwagę, otwierając drzwiczki kredensu z orzechowego drewna.
- Potrafię nad nim zapanować.

- Rozumiem. Napije się pan brandy?

Nie czekając na odpowiedź, wyjęła butelkę i nalała trunku do dwóch kieliszków. Brandy miała opinię alkoholu nie dla kobiet, więc Francesca pijała ją rzadko, a zapas trzymała przede wszystkim dla sir Luciena. Tego wieczoru uznała, że będzie to znakomite lekarstwo.

Rochford przyglądał się rytuałowi nalewania. Zastanawiał się, czy Francesca zdaje sobie sprawę z tego, że otworzyła mu drzwi w peniuarze i z kaskadą złocistych włosów swobodnie opadającą na plecy. Kiedyś marzył, żeby zobaczyć ją w takiej sytuacji. Naturalnie w tych marzeniach miał również prawo podejść, wziąć ją w ramiona i głaskać po rozpuszczonych włosach. Tymczasem usiadł na krześle.

- Dlaczego pozwoliła mu pani zostać na przyjęciu?

- Wydawało mi się to najłatwiejszym rozwiązaniem. Wolałam uniknąć awantury, a według mojego rozeznania Perkins niechybnie narobiłby hałasu, poza tym naprawdę był przyjacielem Andrew. Nie chciałam być wobec niego nieuprzejma.

Podawała księciu kieliszek i usiadła na kanapie naprzeciwko. Rochford upił łyk.

- Sądzę, że wobec większości przyjaciół Andrew można zachować się bardzo niegrzecznie. Francesca uśmiechnęła się mimo woli, próbowała jednak zamaskować wesołość, przysuwając kieliszek do ust. Trunek popłynął w głąb przełyku, zostawiając po sobie palący ślad. Okazało się też, że działając odprężająco Francesca westchnęła, upiła jeszcze jeden łyk i podkurczyła nogi na kanapie niczym dziecko.

Przyjrzała się Rochfordowi. Był taki silny i sprawny. To oczywiste, że Perkins nie mógł mu nic zrobić. Poradziłby z nim sobie jak z uprzykrzoną muchą. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć księciu o groźbie Perkinsa i nie złożyć załatwienia tej sprawy w jego kompetentne ręce. Nie miała jednak prawa angażować Rochforda w swoje kłopoty. To byłaby niewybaczalna

zuchwałość. Naturalnie jako dżentelmen prawdopodobnie podjąłby się rozwiązania jej problemów, ale byłoby to niewłaściwe. Poza tym nie chciała, by książę pomyślał, że prosi go o pieniądze na spłacenie Perkinsa. Napiała się jeszcze brandy.

Rochford powędrował wzrokiem na przód jej peniuaru, którego fałdy lekko się rozchyłały, częściowo ukazując piersi. Mimo woli zaczął się zastanawiać, co jeszcze Francesca ma pod spodem. Jeśli nocną koszulę, to zapewne z głębokim dekoltem. Mogła też narzucić peniuar na bieliznę, wtedy można by się spodziewać jedynie cienkiej koszulki i pantalonów.

- Sądzę, że moglibyśmy porozmawiać o damach, które, hm, bierzemy pod uwagę - powiedział zaskoczony ochryplym brzmieniem swego głosu.

- Tak, naturalnie. - Francesca bardzo się ucieszyła z pretekstu do zmiany tematu. - Jak podobała się panu lady Damaris?

- Wydaje się całkiem kompetentna, tak jak pani zapowiedziała. Zręcznie prowadzi konwersację.

- Czy to znaczy, że przyznaje jej pan palmę pierwszeństwa?

Opinia księcia wydała się Francesce lakoniczna, ale przecież był on niezwykle rozsądnym mężczyzną.

- Raczej nie. Nie wiem, czy w ogóle chciałbym ją przyznać.

- Rozmawiał pan dosyć długo z lady Mary. Aż byłam zaskoczona. Sądziłam, że raczej brak jej śmiałości.

- Odniosłem wrażenie, że jestem zbyt stary, abym wydawał się jej groźny - odpowiedział z uśmiechem. - Dla niej należę do kategorii przyjaciół ojca.

- Stary! - Francesca spojrzała na niego zdziwiona. - No, no.

- Mógłbym przypomnieć, że jest pani ode mnie nie tak znowu wiele młodsza.

- To prawda. Stara wiedźma ze mnie bez wątplenia. - Spojrzała na niego przewrotnie. - Może uda się panu pokonać fortyfikacje lady Mary. Potem z pewnością zdoła ją pan przekonać, że nie jest niedołązny.

- Och, to wymagałoby niemało wysiłku.

- A lady Caroline?

Przypomniała sobie, że poczuła bolesne ukłucie w sercu na widok księcia z młodą panną. Czyżby zazdrość? Starła się jednak nie dopuszczać do siebie takich uczuć.

- Co panią opętało, żeby podsuwać mi takie stworzenie? Mam nadzieję, że już nigdy nie spotkam bardziej nudnej panny.

Francesca zacisnęła usta, żeby powstrzymać wybuch śmiechu. Nie powinna się cieszyć z tego, że kandydatka mu się nie spodobała, ale to było silniejsze od niej.

- Ona nie była w stanie porozmawiać o niczym - ciągnął Rochford. - A jeśli nawet miała opinię na jakiś temat, to nie udało mi się jej odkryć. Ilekroć zadawałem pytanie, odpowiadała pytaniem, co ja sądzę na ten temat. Jaki w tym sens? Przecież pytając, znam swoją opinię.

- Może powinien pan dać lady Caroline jeszcze jedną szansę - zaproponowała Francesca. - Jest jeszcze bardzo młoda i ktoś taki jak pan może ją onieśmielać.

- Ktoś taki jak ja? - powtórzył, przeszywając ją spojrzeniem. - Co miała pani na myśli? Czyżbym budził lęk? A może jestem sztywny i nieustępliwy? Czy nawiązuje pani do mojego zaawansowanego wieku?

Francesca roześmiała się serdecznie.

- Ma pan książęcy tytuł i potrafi zrobić taką minę... jakby szczeniak wprost z błotnistej kałuży wskoczył panu na lśniące buty.

- Bardzo panią przepraszam, nigdy nie zachowuję się niemiło wobec szczeniaków - odparł z uśmiechem. - Prawdę mówiąc, nie zauważyłem, żeby mój książęcy tytuł budził u pani podziw nawet wtedy, gdy miała pani czternaście lat.

- Trudno darzyć podziwem kogoś, kto spada z dachu stodoły prosto na kopę siana - odparła Francesca.

Tym razem Rochford parsknął śmiechem.

- A kiedy to było?

- W Dancy Park, miałam wtedy osiem; lat, a pan trzynaście. Jeździliśmy we troje konno, jeszcze z Dominikiem, i zatrzymaliśmy się na odpoczynek na farmie Jamiego Evansa. Stajenny próbował nas dyscyplinować, ale bez skutku. Była tam wielka sterta siana. Dominie przeskoczył przez płot prosto w siano i namówił mnie, żebym zrobiła to samo.

- A pani zapowiedziała wtedy, że skoczy z dachu. Jak mogłem o czymś takim zapomnieć? Była pani nieznośna.

- Zrobiłam to, bo wcześniej powiedział pan Dominicowi, że jestem na to za mała. Musiałem dowieść, że to nieprawda. Poza tym pan wprost mi tego zakazał.

- Co niewątpliwie wywarło odwrotny skutek. Człowiek w wieku trzynastu lat mało wie o życiu.

- Pan też skoczył z dachu.

- Nie mogłem tego nie zrobić, skoro pani miała dość odwagi.

- To do pana podobne! - zawołała Francesca, udając oburzenie. - Całą winę zwalić na mnie!

- Najczęściej wcale nie trzeba było jej zwalać. Była pani wcielonym diablęciem.

- A pan był za bardzo przekonany o własnej doskonałości.

- Ciekawe tylko, dlaczego pani tak za mną chodziła - odparł, uśmiechając się szeroko.

- To nieprawda - uniosła się godnością Francesca. - Często okazywało się, że pan i Dominie chcecie iść akurat tam, gdzie ja.

- Jeszcze brandy? - spytał Rochford, wstając z krzesła.

- Zrobiło mi się bardzo ciepło i przyjemnie. Gdybym wypila więcej, zakręciłoby mi się w głowie - odparła Francesca i podniosła się z sofy. - Nalać panu?

- Nie, dziękuję.

Wzięła oba kieliszki i odstawiła je na tackę. Nie spoglądając na niego, spytała:

- Czy odkrył pan u siebie szczególne upodobanie?

- Nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

- Upodobanie do jednej z panien - wyjaśniła. - Może któraś przypadła panu do gustu bardziej od innych.

- Tak, do jednej mam upodobanie.

- Do kogo?

Francesca podeszła do Rochforda. Odpowiedź wydawała się jej bardzo ważna. Która z dam zwróciła jego uwagę? Czy zamierzał się do niej zalecać?

- Nie do lady Caroline - odparł oschle, zbliżył się o krok i dodał: - Niech mi pani powie, moja droga, czy zamierza nadzorować również moje zaloty?

Stojąc z nim twarzą w twarz, Francesca przypomniała sobie chwilę sprzed wielu lat, magiczną, choć zarazem przerażającą, kiedy patrzyła z dachu na kopę siana, serce łomotało jej jak oszalałe, lecz coś popychało ją, by skoczyć. Teraz, gdy wpatrywała się w czarne oczy Rochforda, czuła się podobnie.

- Jestem pewna, że z tym znakomicie pan sobie poradzi - odpowiedziała, uciekając wzrokiem.

- Na pani miejscu nie byłbym tego taki pewny. Proszę tylko pomyśleć o moich poprzednich próbach. Najwyraźniej nie były zbyt udane. Może powinna pani udzielić mi kilku nauk, jak należy się zalecać.

- Nie wydaje mi się to konieczne. Jestem pewna, że sam pan wie dostatecznie dobrze, jak prawić komplementy kobiecie.

Nie bardzo mogła zapanować nad nagle przyspieszonym oddechem, a choć wydawało jej się to niedorzeczne, musiała w duchu przyznać, że obudziło się w niej oczekiwanie.

- Na przykład, że w świetle świec pani włosy lśnią, jakby były z prawdziwego złota? - spytał niewinnie. - Albo że oczy mienią się jak szafiry?

- Nie powinien pan przesadzać - pouczyła go, starając się, by zabrzmiało to żartobliwie.

On jednak wyciągnął rękę i wierzchem dłoni dotknął jej włosów.

- Ale to prawda - stwierdził schrypniętym głosem.

- Nie jestem pewna, czy mówienie prawdy dobrze służy opisowi kobiety.

- Nawet wtedy, gdy ma gładką i miękką skórę? - spytał, głaszcząc opuszkami palców policzek. - I kiedy jej usta są pełne i czerwone? - Palcem wskazującym powiódł po górnej wardze. - A także jakby specjalnie układały się do pocałunku?

- Wydaje się pan bardzo wprawny w tej sztuce - szepnęła Francesca, opuszczając powieki. Całe jej ciało nagle ożyło.

- Co powinienem zrobić dalej? - spytał i opuścił głowę, aby poczuła ciepło jego oddechu na policzku.

- Pocałunek w rękę nigdy nie zaszkodzi. Ujął jej dłoń i delikatnie przytknął do niej wargi, po czym zaczął całować każdy palec z osobna.

- Czy to jest przyjemne?

Porwana nową falą doznań Francesca przyglądała mu się bez słowa.

- A to? - spytał, przysunąwszy się, aby znów pogłaskać ją po twarzy i po chwili znaczyć policzek pocałunkami. Dotarł aż do szyi, a Francesca nagle uświadomiła sobie, że peniuar bardzo jej przeszkadza.

Tymczasem Rochford przesuwiał wargi coraz niżej i już odchyłał rąbek tkaniny. Francescę przeszył rozkoszny dreszczyk. Nagle poczuła, że ma miękkie kolana i nie była pewna, czy zaraz się pod nią nie ugną, tym bardziej że książęwłaśnie pocałował ją w dołek u podstawy szyi.

- Podobno jednak niektóre kobiety wolą coś takiego.

Zmienił kierunek i pocałunkami wytyczył nowy szlak, aż do ucha. Francesca mimo woli zacisnęła dłonie na klapach jego fraka. Zdawało jej się, że cały świat wiruje.

- Sinclair...!

Szybko poradził sobie z kokardą szarfy ściągnącej peniuar. Jedną rękę wsunął pod spód delikatnej tkaniny i położył na brzuchu osłoniętym jedynie cieniutką koszulką. Po chwili powędrował ręką wyżej i zamknął dłoń na piersi Franceski.

- Kobieta może też chcieć więcej pieszczot... na przykład takich - oświadczył zmysłowym tonem, wprawiając w ruch palce.

Francesca mimo woli wydała przeciągłe westchnienie.

- Naturalnie wiele kobiet uznałoby to za nadmierną śmiałość. - Cofnął rękę, ale zaraz potem wsunął ją pod koszulkę i dotknął nagiego ciała.

Francesca wiedziała, że nie może teraz puścić klap jego fraka, bo niechybnie osunie się na podłogę.

- Może lepiej podejść do tej sprawy od innej strony. - Ostrożnie ją obrócił, odgarnął masę włosów i od karku zaczął wędrować wargami wzdłuż kręgosłupa. Drugą ręką przyciągnął Francescę do siebie i pieszcząc jej brzuch, powoli powiódł dłoń niżej.

Dotyk Rochforda nabierał niebywale intymności. Francesca niemal topniała w jego ciepłe, niespodziewanie jednak dłonie się zatrzymały, a on znów ją odwrócił.

- Mimo wszystko - powiedział, całując ją w oba policzki - to jednak chyba będzie najlepsze.

Teraz kilkoma muśnięciami warg zaprosił ją do gorącego pocałunku. Zwarli się w nim i zaczęli wymieniać namiętne pieszczoty. Ubrania wyraźnie im przeszkadzały. Francesca ze zdumieniem chłonęła wszystkie doznania.

- Francesca. Moja... - szepnął Sinclair wtulony w jej szyję. Urwał jednak i przez chwilę było słychać tylko ich rozgorączkowane oddechy. Wreszcie odsunął się i powiedział: - Myślę, że lepiej zakończyć tę lekcję.

Francesca skinęła głową, zbyt oszołomiona, by móc zdobyć się na jakiegokolwiek słowa. Sinclair ujął jej twarz w dłonie i delikatnie cmoknął ją w czoło, po czym wyszedł z pokoju.

Dopiero po chwili Francesca podążyła jego śladem do drzwi. Zdążyła jeszcze zobaczyć plecy Rochforda wychodzącego na ulicę. W domu panowały ciemności. Zorientowała się, że służba musiała zakończyć sprzątanie i udać się na spoczynek. Wycofała się więc i bezsilnie opadła na kanapę.

Co właściwie zaszło? Nogi nie chciały jej dźwigać, lecz jednocześnie całe ciało pulsowało energią. Najchętniej pobiegłaby za Sinclairem i zawołała, by wrócił. Zamknęła oczy, przypominając sobie ich pieszczoty. Czy skończyliby w łóżku, gdyby Sinclair ich nie przerwał? I czy wtedy spotkałoby ją to samo rozczarowanie, co z Andrew?

Przecież ich pierwszy akt małżeński zaczął się podobnie. Czowała radosne podniecenie, upojona pieszczotami i zapewnieniami o miłości. Niestety, gorące spojrzenia i słodkie pocałunki miały okropny finał. Sapiący, spocony Andrew kojarzył jej się jak najgorzej.

Rochford też chciał znaleźć się z nią w łóżu, obnażyć ją i wedrzeć się do jej wnętrza. I mogłoby być tak samo jak z Andrew, gdy nagle jego dotknięcia stały się ohydne, a ona miała wrażenie, że jej ciało jest z drewna. Sinclair zacząłby patrzeć na nią z takim samym rozczarowaniem i niechęcią.

Francesca pokręciła głową. To byłoby gorsze niż wspomnienia o małżeństwie. Zrobiłaby więc wszystko, byle tylko Sinclair nie zaczął na nią spoglądać tak samo jak Andrew. Z ciężkim westchnieniem opuściła pokój i powlokła się na górę do pustego łóża.

Rozdział dziesiąty

Przez następne kilka dni Francesca nie widziała Rochforda. Tłumaczyła sobie, że nie ma w tym niczego dziwnego. Jej rola w odnalezieniu kandydatek na przyszłą księżnę właściwie się skończyła. Teraz wszystko zależało od niego. Naturalnie bardzo ją interesowało, na którą z dam padnie jego wybór, ale na nic więcej nie miała wpływu.

Nagle poczuła się odsunięta na bok, ale tego również należało się spodziewać. Poszukiwania narzeczonej dla Rochforda, przygotowania do przyjęcia i samo przyjęcie zajęły jej niemało czasu. Nic dziwnego, że gdy całe przedsięwzięcie miała za sobą, nadszedł dzień, gdy znów trzeba było czymś zapełnić czas.

Naturalnie wciąż sprawowała opiekę nad Harriet Sherbourne, ale i w tej kwestii to, co najważniejsze, zostało zrobione. W tygodniu wybierała się z sir Alanem i Harriet do opery, a wcześniej z samą panną na wieczorek muzyczny. W perspektywie rysowało się również kilka przyjęć.

Francesca była jednak pewna, że Harriet Sherbourne będzie dostawać zaproszenia od dam, którym przedstawiła ją podczas swojego wieczorku, a zmiana kreacji i uczesania wystarczy, by zapewnić jej powodzenie i uchronić ją przed podpieraniem ścian. Na wszelki wypadek zamierzała jeszcze zwrócić na Harriet uwagę kilku znajomych kawalerów. Ponieważ jednak zamążpójście w tym wypadku nie wchodziło w grę, żadnych skomplikowanych manewrów nie trzeba było przeprowadzać.

Mając więcej czasu niż zazwyczaj, siłą rzeczy wracała myślami do niezwykłego zajścia między nią a Rochfordem. Nie wiedziała, jak interpretować zachowanie Sinclaira. Cóż to była za gra? Naturalnie ani przez chwilę nie wierzyła w podany przez niego pretekst. Z pewnością nie chodziło o radę. Innego mężczyznę posądziłaby o chęć uwiedzenia. Ale Rochforda? Wydawało jej się to niedorzeczne.

Czy jednak na pewno?

Na swój sposób flirtował z nią, kiedy się do niej zalecał, a i przez lata w różnych rozmowach pojawiał się ten lekki ton, czasem jednak przeradzający się w kłótnie. Uwieść jej jednak nie próbował, zresztą dotyczyło to również innych dam. Nie słyszała, by kiedykolwiek podjął taką próbę wobec kogokolwiek. Naturalnie nie była tak naiwna, by sądzić, że nie ma kochanki. Omyliła się co do lady Daphne, ale dżentelmen w tym wieku, zajmujący jego pozycję, bez

wątpienia utrzymywał jakąś piękną kobietę - tancerkę, aktorkę, może kurtyzanę. Z nimi mógł postępować tak jak z nią poprzedniego wieczoru.

Rzecz jasna reguły dotyczące panien szlachtetnie urodzonych były inne. Dżentelmen zalecał się do damy i brał z nią ślub. Nie uwodził jej wieczorem w jej własnym domu. W każdym razie nie robił tego dżentelmen pokroju Rochforda. Musiała przyznać, choć mocno rumieniła się na tę myśl, że dama późnym wieczorem nie otwiera potajemnie drzwi przed dżentelmenem. Nie wprowadza go też tak, by nie dostrzegła tego służba, ani nie zamyka się z nim sam na sam w pokoju.

Co do niej, to na dodatek piła w jego towarzystwie brandy. Najgorsze zaś, że wyszła mu na spotkanie odziana w peniuar, pod którym miała jedynie bieliznę. Każdy mężczyzna ma prawo odczytać to jako zachętę do śmiałych poczynań.

Refleksja ta wprawiła ją w niemałe zakłopotanie. Wdowom często przypisywano swobodniejsze obyczaje niż pannom, a przynajmniej - nie bez powodu - uważano, że są bardziej doświadczone. Wdowy nie musiały bawić się w chowanego z przyzwoitkami, a jeśli przez lata małżeństwa nie doczekały się potomstwa, ewentualnie urodzenie dziecka z nieprawego łoża nie wywoływało potem szczególnego skandalu. W wielkim świecie zdarzało się też nieraz, że zamężne kobiety wdawały się w romanse i wcale nie skazywały się tym na usunięcie poza nawias towarzystwa, przynajmniej dopóty, dopóki zachowywały dyskrecję. Francesca wykazywała daleko posuniętą ostrożność, by nikomu nie dać najmniejszych podstaw do przypuszczenia, że jej zasady moralne uległy rozluźnieniu.

Co ją opętało, by zachować się tak jak ostatniego wieczoru? Czyżby Rochford z jej stroju wysnuł za daleko idące wnioski? I jak mogła teraz spojrzeć mu w oczy? A jeśli Rochford zamierzał ją uwieść, to dlaczego tak nagle przerwał pieszczoty? Z pewnością nie dała mu żadnego zniechęcającego

sygnału. Stąd zresztą brała się najbardziej zawstydzająca dla niej myśl. Może Rochford po prostu stracił zainteresowanie?

Czyżby wyczuł chłód, którego należało się spodziewać później? Francesce łzy napłynęły do oczu. Dawno już przestała się przejmować rozczarowaniami męża, w swoim czasie nawet była z nich zadowolona, bo rzadziej odwiedzał ją w łóżu, ale wyglądało na to, że jej problem niespodziewanie powraca. Podejrzewała, że właśnie dlatego Rochford nieoczekiwanie przestał ją całować i wyszedł.

Lepiej było nie zastanawiać się nad tym, Francesca usiadła więc przy sekretarzyku i spróbowała zająć się korespondencją. Po pięciu minutach zorientowała się jednak, że jej myśli znowu powróciły w zakazane rejony.

Kiedy wreszcie udało jej się przywołać je do porządku i zapanować nad uporczywie powracającym obrazem Rochforda, przypomniał jej się Perkins. Obawiała się, że lada chwila pojawi się w jej progu, by poskarżyć się na traktowanie, jakiego doznał od księcia, ale nic takiego nie nastąpiło. Powinna była odczuć z tego powodu ulgę, a jednak wciąż nękał ją niepokój, tym bardziej że zbliżał się wyznaczony przez Perkinsa termin.

Francesca nie miała pojęcia, co robi, kiedy Perkins wróci z żądaniem zapłaty. Próbowwała wymyślić jakiś argument, który odwiedzie go od zgłaszania roszczeń albo w najgorszym razie skłoni do rozłożenia spłaty na dłuższy okres. Niestety, nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Dla Perkinsa było równie oczywiste jak dla niej, że pięć tysięcy funtów to suma zdecydowanie przekraczająca jej możliwości, a czekać na pewno nie zamierzał.

Dwa dni po przyjęciu Francesca siedziała w saloniku i próbowała po raz kolejny zsumować wartość wszystkich swoich dóbr z nadzieją, że uzyska sumę zbliżoną do wymaganej przez Perkinsa, kiedy w holu rozległ się głos Callie. Zerwała się na równe nogi, przypuszczając, że będzie jej towarzyszył Rochford.

Okazało się jednak, że Callie przyszła sama. Chociaż zawiedziona, Francesca wyczarowała miły uśmiech i ciepło powitała gościa.

- Właśnie o tobie myślałam. Wybierałam się do ciebie z wizytą dziś po południu.

- Cieszę się, że odgadłam twoje zamiary. Francesca zadzwoniła na służącą i poprosiła o herbatę, po czym obie usiadły, aby pogawędzić. Miały dużo tematów, bo podczas przyjęcia zdążyły zamienić ledwie kilka zdań. Niestety, okazało się że już nazajutrz Callie wyjeżdża z mężem do posiadłości na wsi.

- Nie możesz tak szybko uciec! - zaprotestowała Francesca. - Dopiero co przyjechałaś do Londynu.

- Wiem, ale Brom uważa, że i tak pozwolił sobie na zbyt długą nieobecność. Twierdzi, że posiadłość wymaga starania i dopilnowania.

- W czasie narzeczeństwa nieustannie zapowiadał, że wraca na wieś, ale w końcu wytrzymał bez ciebie tylko dwa tygodnie. Będę za tobą tęsknić.

- Musisz przyjechać do mnie w odwiedzin. Nikogo tam nie znam, więc będę czuła się osamotniona. Koniecznie przyjedź zaraz po sezonie.

- Masz Bromwella - przypomniała jej Francesca. - Podejrzewam, że to będzie dostatecznie zajmujące towarzystwo. Nie chcę się narzucać nowożeńcom.

- Nie ma o tym mowy. Zresztą po sezonie będę już doświadczoną małżonką, a Brom zostanie wciągnięty w wir zajęć, bo akurat wypadnie pora żniw.

- Może wpadnę na parę dni.

- Przynajmniej na miesiąc - nie ustępowała Callie i Francesca ze śmiechem ustąpiła.

Potem zaczęły rozmawiać o zakupach, jakie Callie poczyniła w Paryżu. Jeden z nich miała zresztą na sobie, suknię dzienną z fioletowego jedwabiu, której krótkie rękawki były nałożone na bufki z fioletowej siateczki. Temat okazał się zajmujący, w pewnej chwili rozmowę przerwał im jednak Fenton, który zaanonsował przybycie lady Mannering.

Francesca nie była zachwycona, że ktoś przeszkadza jej w podejmowaniu Callie, ale dała kamerdynerowi znak, by wprowadził gościa. Lady Mannering należała do dam, od których Francesca oczekiwała w najbliższym czasie wystosowania zaproszenia dla Harriet. - Lady Haughston. O, i lady Bromwell - ucieszyła się przybyła. - Co za miła niespodzianka zastać panią.

Rozpoczęły uprzejmą rozmowę o przyjęciu Franceski i ślubie Callie. Nagle lady Mannering pochyliła się do Callie i ze znaczącym uśmiechem powiedziała:

- Czy pani wie, że w najbliższym czasie nie należy wykluczać kolejnego święta w rodzinie Lillesów?

- Słucham? - Callie spojrzała obojętnie na lady Mannering.

- Chodzi o pani brata, moja droga. Wydaje się bardzo zainteresowany najstarszą córką Calderwoodów, czyż nie?

Francesca poczuła nagły skurcz w żołądku.

- Lady Mary?

- Tak, to ta panna - przyznała lady Mannering, kiwając głową, którą zdobiła starannie upięta fryzura. - Widziałam, że rozmawiał z nią podczas pani przyjęcia, lady Haughston. Zwróciłam nawet uwagę lordowi Manneringowi na długość ich konwersacji. To zgoła niepodobne do tej panny. Muszę zresztą przyznać, że ładnie wyglądała. Kiedy pokona tę swoją chorobliwą nieśmiałość i zdobędzie się na uśmiech, prezentuje się całkiem atrakcyjnie.

- To prawda - przyznała Francesca. - Ma wiele uroku. Z pewnością jednak rozmowa podczas przyjęcia nie oznacza romantycznego zaangażowania.

- Właśnie w tym rzecz. - Oczy damy zabłyśły. - Wczoraj znowu go z nią widziałam. Jechali razem jego faetonem. Gawędziła z nim tak, jakby byli starymi przyjaciółmi. To naprawdę u niej niezwykle. Zresztą u niego też. Doprawdy nie wiem, czy nie szykują nam się zaloty.

- To możliwe - przyznała z obojętną miną Francesca.

- W tej sprawie nie przesadzałabym z oczekiwaniami - odezwała się Callie.
- Nawet jeśli Rochford kimś szczególnie się zainteresował, to ja na pewno nic o tym nie słyszałam.

Mina Callie była bardzo wymowna. Francesca pomyślała, że podobną robi księżę, kiedy chce zdementować plotkę. Lady Mannering szybko zmieniła temat i zaczęła mówić o proszonej kolacji, którą planuje za tydzień. Spytała lady Haughston, czy jej zdaniem sir Alan i jego córka Harriet zechcą przyjść.

Francesca natychmiast zdwoiła czujność, właśnie teraz bowiem mogła pomóc Harriet. W miarę rozwoju tematu doszła do wniosku, że zainteresowanie lady Mannering budzi przede wszystkim sir Alan. To naturalnie mogło pomóc samej Harriet. Lady Mannering należała do najaktywniejszych uczestniczek życia londyńskiej elity i zawsze bywało u niej doborowe towarzystwo. Francesca entuzjastycznie zareklamowała więc Sherbourne'ow i nawet dodała kilka informacji z własnej inicjatywy.

Udało jej się utrzymać zainteresowanie rozmową do końca wizyty, lecz po wyjściu lady Mannering i Callie zapowiedziała Fentonowi, że nie przyjmuje, i poszła na górę do sypialni. Stała przy oknie i niewidzące spojrzenie wlepiła w perspektywę ulicy. A więc to Mary Calderwood zainteresowała Rochforda.

Powinna była przewidzieć, że księżę nie postąpi tak, jak się spodziewała. Lady Mary była ostatnią panną, jaka jej zdaniem mogła przypaść do gustu Rochfordowi. Naturalnie nie można było powiedzieć o niej złego słowa.

Cieszyła się nieposzlakowaną opinią i wywodziła się z utytułowanej rodziny. Francesca nie podejrzewała jednak księcia o skłonności do cichych i wstydlivych istot. Lady Mary stanowiła w zasadzie jej przeciwieństwo. Niby nie było powodu oczekiwać od Rochforda podobnego wyboru jak przed piętnastoma laty, lecz mimo to sądziła, że będą pociągać go przede wszystkim uroda i energia.

Lady Mannering miała rację, że twarz lady Mary wyraźnie zyskuje, gdy w tej wstydlivej pannie budzi się więcej wigoru. Niewątpliwie Rochford potrafił

sprawić, by w jego obecności poczuła się swobodnie. Poza tym miał teraz piętnaście lat więcej niż wtedy, gdy pierwszy raz myślał o małżeństwie. Francesca była pewna, że z upływem czasu, zastanawiając się nad wyborem małżonki, brał pod uwagę inne aspekty i że teraz liczy się dla niego nie tylko pociąg fizyczny, jaki pchał ich ku sobie, gdy byli młodzi.

Lubił czytać i prowadzić korespondencję z wykształconymi ludźmi. Możliwe więc, że chciał mieć żonę, z którą mógłby porozmawiać na poważne tematy. Przecież nawet w okresie gdy ich stosunki układały się jak najlepiej, odniosła wrażenie, że jest dla księcia zbyt powierzchowną osobą. Widocznie z czasem sam to zrozumiał.

Naturalnie znajomość Rochforda z lady Mary znajdowała się w bardzo wczesnym stadium i nie sposób było wyrokować, czy zechce ją poślubić, na podstawie tego, że raz czy dwa poświęcił jej czas. Podobnie jak lady Mannering, Francesca wiedziała, że Rochford rzadko wykazuje zainteresowanie młodymi kobietami. Należał do ludzi, którzy unikają plotek jak zarazy, poza tym miał świadomość swojej ceny na rynku małżeńskim, więc jako dżentelmen nie chciał budzić u panien złudnych nadziei.

W jego przypadku czas poświęcony jednej pannie, zwłaszcza podczas wspólnej przejażdżki, mógł świadczyć o niemałym zaangażowaniu. Co więcej, Rochford zdawał sobie sprawę z tego, że towarzystwo odnotowało długą rozmowę na przyjęciu, więc spotkanie w parku musi wywołać komentarze. Mimo to umówił się z lady Mary. Jeśli jeszcze zdarzyłoby mu się zatańczyć z nią raz lub dwa podczas jednego z najbliższych balów, niechybnie wzięto by ich na języki.

W gruncie rzeczy Francesca wyciągnęła podobne wnioski jak lady Mannering. Powinna się cieszyć, że jej starania tak szybko przynoszą owoce. Dokładnie o to jej chodziło: chciała wynagrodzić Sinclairowi niesprawiedliwość, jakiej dopuściła się przed piętnastoma laty.

Zależało jej, żeby był szczęśliwy i znalazł właściwą kobietę.

Mimo to odczuwała przygnębienie, a do oczu napłynęły jej łzy.

Następnego popołudnia Francesca siedziała przy sekretarzyku i otwierała ostatnie zaproszenia, kiedy w drzwiach pojawił się Fen-ton i zaanonsował:

- Przyszedł Jego Wysokość książę Rochford.

Aż podskoczyła z wrażenia, a przy okazji boleśnie uderzyła się w kolano. Minęły cztery dni od przyjęcia, a po wizycie Callie i lady Mannering definitywnie doszła do wniosku, że nie należy liczyć na częste spotkania z Rochfordem i raczej trzeba się nastawić na powrót starego porządku.

- Proszę go wprowadzić - powiedziała, przybierając uprzejmą minę przeznaczoną dla wszystkich gości.

Rochford wszedł do pokoju chwilę później i natychmiast wypełnił całą jego przestrzeń. Francesce wydawało się, że jest przygotowana na tę sytuację, spędziła wszak dużo czasu na zastanawianiu się nad tym, co między nimi zaszło, i nad wiadomościami o lady Mary Calderwood. Stanąwszy z nim twarzą w twarz, zrozumiała, że zadanie jest trudniejsze, niż jej się zdawało. Nie mogła zapomnieć o pocałunkach. Po co Rochford przyszedł?

Zmusiła się, by na niego spojrzeć i podać mu rękę na powitanie.

- Co za miła niespodzianka. Prawdę mówiąc, nie oczekiwałam dziś pana wizyty.

- Tak? - Twarz miał nieprzeniknioną. - Sądziłem, że moje częste odwiedziny mogą wywołać już tylko okrzyk: „Och, to znowu pan?!“.

- Jestem pewna, że coś takiego nigdy się nie zdarzy.

Skłonił się nad jej ręką. Francescę zastanowiło, dlaczego właśnie jego bliskość wywołuje u niej doznania, jakich nie znała z żadnej innej sytuacji. Przyszło jej nawet do głowy, że wołałaby, aby przywitał ją pocałunkiem w rękę, a nie zwykłym ukłonem.

Wskazała mu krzesła ustawione z myślą o gościach.

- Proszę usiąść. Napije się pan czegoś?

Przez następne kilka minut wymieniali typowe grzeczności, rozmawiali o pogodzie, zdrowiu i o radości z powrotu Callie. Oboje wyrazili też żal, że tak szybko młoda mężatka odjeżdża do nowego domu.

Wreszcie Francesca uznała, że minęło dość czasu i może podjąć temat, który nurtuje ją najbardziej.

- Cieszę się, słysząc o pańskich zalotach do lady Mary.
- Czyżby ludzie o tym mówili? - zainteresował się z nikłym uśmiechem.
- O ile wiem, odbył pan z nią przejażdżkę faetonem.
- To prawda. - Wciąż patrzył na nią tak, że nie sposób było czegokolwiek wyczytać z jego twarzy. - Nie wydaje mi się to jednak wydarzeniem wartym uwagi.

- Mój drogi książę, wszelkie objawy pańskiego zainteresowania kimkolwiek niechybnie zwracają uwagę.

Mruknął pod nosem coś niezrozumiałego.

- Czy to oznacza, że przedkłada pan lady Mary nad inne kandydatki? - drażniła Francesca.

Nie miała zwyczaju naciskać, aby uzyskać informację, ale w tym wypadku nie potrafiła się powstrzymać.

- Jest bardzo miłą młodą kobietą - odrzekł, ale w dalszym ciągu nie było wiadomo, jak należy to interpretować.

Francesca pomyślała, że Rochford potrafi być wyjątkowo irytujący. Naturalnie było jej wstyd, że karmi wyobraźnię plotkami, ale nie mogła się zdobyć na zmianę tematu rozmowy. Dlaczego Rochford nie chce wyraźnie powiedzieć, czy darzy tę pannę cieplejszym uczuciem?

- Zgadza się - przyznała. - Jest także inteligentna.
- Na to wygląda.
- Zakładam, że nadal rozpatruje pan wszystkie możliwości, o jakich rozmawialiśmy.
- Naturalnie, i właśnie dlatego panią odwiedziłem.

- Naprawdę? A może życzy pan sobie, abym wystąpiła z innymi propozycjami? - Francesca poczuła zdecydowany przypływ animuszu. - Na pewno znajdziemy inne kandydatki.

- Wydaje mi się, że te w zupełności mi wystarczą. Chodziło mi raczej o stworzenie dodatkowej okazji do zalotów. Postanowiłem wydać bal.

- To znakomity pomysł.

- Chciałbym prosić, aby pomogła mi go pani zorganizować.

- Bardzo mi to schlebia. - Francesca niezmiernie się ucieszyła, musiała jednak zgłosić zastrzeżenie: - Dodam jednak, że właściwie nie jest to moje miejsce.

- A kto lepiej niż pani wywiązałby się z tego zadania? Talentami pani domu nikt pani nie dorówna.

- Naturalnie jest mi bardzo miło to słyszeć, ale nie ma powodu... Chcę powiedzieć, że moje ewentualne wystąpienie w roli pani domu zostanie odebrane ze zdziwieniem. Nic nas nie łączy.

- Nie? - Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz. - W minionych latach zajmowała się tym moja babka, a ostatnio oczywiście Callie, ale tym razem na ich obecność w Londynie nie mogę liczyć. Babka ma swoje lata i nie chcę sprowadzać jej do Londynu specjalnie po to, aby urządziła dla mnie bal.

- To prawda. Jestem jednak pewna, że pański kamerdyner doskonale dałby sobie ze wszystkim radę.

- Rzeczywiście Cranston posiadał wiele umiejętności - przyznał Rochford. - Jest jednak przyzwyczajony do wprowadzania w życie planów, a nie ich tworzenia. To jest zadanie dla damy o wyrafinowanym guście, właśnie takiej jak pani.

- Chce pan osiągnąć cel pochlebstwami? - spytała Francesca, udając surowość.

- Mam taką nadzieję.

- Jest pan bezwstydnym - stwierdziła ze śmiechem.

- Już mi to mówiono.
- Pan wie, że to nie jest stosowny pomysł. Ludzie zaczną plotkować.
- Nie muszą niczego wiedzieć. Zwolnię panią z witania gości u mojego boku. - Popatrzył na nią z dużym zainteresowaniem. - I jak? Zgodzi się pani, jeśli ukryjemy to przed światem?

Francesce mocniej zabiło serce. Nagle przemknęła jej przez głowę szalona myśl, że te słowa mają dodatkowe znaczenie.

- Może - powiedziała cicho. - Chociaż wciąż wydaje mi się, że ktoś inny lepiej by się do tego nadał.

- Nie. To musi być pani.

Rozdział jedenasty

Francesca wpatrywała się w Sinclaira.

- A więc dobrze - powiedziała w końcu. - Zgoda, jeśli właśnie tego pan sobie życzy.

- Tak. - W tym jednym słowie zabrzmiała nuta triumfu. Rochford stanął nad Francescą, a ona machinalnie ujęła go za rękę i podniosła się. - Co teraz? - spytał. - Chyba powinniśmy zacząć od wizyty w Lilles House.

- Myśli pan o wydaniu dużego balu?

- Raczej tak. Musi mieć dostateczny rozmach, by można było w pełni docenić pani umiejętności.

Francesca spojrzała na niego z szelmowskim uśmiechem.

- Tego akurat mógłby pan pożałować.

- Na pewno nie, chociaż nie wątpię, że uczyni pani wiele, by podać moje twierdzenie w wątpliwość. Tak czy inaczej zawarliśmy umowę i może pani robić wszystko, czego tylko zapragnie.

Zauważyła naturalnie dwuznaczność jego ostatnich słów i aż zapiekły ją policzki. Co się z nią dzieje? Można by pomyśleć, że jest naiwną panną, a nie gwiazdą towarzystwa piętnaście lat po debiucie.

- Ojej, zarumieniła się pani przeze mnie. Proszę mi wybaczyć. - Rochford nawet nie próbował ukryć zadowolenia.

- Nie widzę u pana ani śladu skruchy, podły mężczyzno. Zapewniam jednak, że ten rumieniec to wina upału, a nie pańskich słów. Bez wątpienia wyglądam w tej chwili jak służąca. - Dotknęła rozpalonego policzka.

- Mniejsza o przyczynę, wygląda pani uroczo. - Na chwilę spoważniał, zaraz jednak wrócił do żartobliwego tonu: - Sama pani doskonale to wie. - Cofnął się o krok. - Proszę szybko zadzwonić na służbę, niech ktoś przyniesie pani kapelusik. Pojedziemy do Lilles House.

- Teraz?

- Dlaczego nie? Możemy od razu wziąć się do pracy, nieprawdaż? Jeśli niepokoi się pani o stosowność takiej wyprawy, proszę wziąć ze sobą służącą. Musi pani obejrzeć cały dom, a zwłaszcza salę balową. Jak inaczej pani cokolwiek zaplanuje?

- To prawda.

Miał rację, a mimo to nie mogła pozbyć się poczucia, że jest coś niestosownego w składaniu wizyty dżentelmenowi, pod którego dachem nie mieszkają kobiety.

Maisie pojechała razem z nimi. Chociaż wdowom wolno było znacznie więcej niż pannom, Francesca wiedziała, że samotne odwiedziny w kawalerskim domu nie uszłyby jej na sucho. Gdy jednak weszli do olbrzymiej białej budowli, Maisie oddaliła się wraz z lokajem, a Francesca została w holu sama z księciem.

- Dziwię się, że nie zażądała pani, aby służąca towarzyszyła nam w obchodzie Lilles House - zażartował Rochford. - Czy naprawdę jestem takim potworem?

- Dałby pan spokój, Sinclair. Przecież wiadomo, że nie mogłam tu przyjechać bez niej. Zresztą sam pan to zaproponował dla naszego obopólnego dobra. Już sobie wyobrażam minę Cranstona, gdyby przekroczył pan próg tej rezydencji w towarzystwie samotnej damy. - Urwała na chwilę. - Naturalnie miałam na myśli siebie. Przypuszczam, że przychodził pan tu już z kobietami określonej proveniencji.

Książę przesłał jej chłodne spojrzenie.

- Bez żartów, Rochford. Nie jestem taka naiwna - powiedziała. - Dobiega pan czterdziestki i na pewno miał niejedną kobietę.

- Nie tutaj - odparł krótko.

O dziwo, ta odpowiedź sprawiła jej przyjemność. Rochford należał do ludzi, którym zależało na utrzymaniu dobrej opinii o domu i rodzinie. Nie sprowadzał kobiet wątpliwej reputacji do rodzinnej posiadłości, w której kiedyś zamieszka również jego żona z dziećmi. Gdyby go poślubiła, zawsze cieszyłyby się jego szacunkiem. Ogarnął ją żal. Jakże inaczej ułożyłoby się jej życie u boku Sinclaira.

Francesca odwróciła głowę, obawiając się, że wszystkie te uczucia ma wypisane na twarzy. Rochford potrafił odczytywać jej myśli. Po chwili dyskretnie rozejrzała się dookoła. Hol Lilles House był przestronny, wznosił się na wysokość dwóch kondygnacji, a centralnym punktem były wspaniałe dwubiegowe schody. Za nimi korytarz prowadził do oranżerii i ogrodu, natomiast po lewej stronie przechodziło się do kuchni i kwater służby.

Na prawo rozpoczynała się galeria z posadzką z kararyjskiego marmuru, w której na ścianach wisiały portrety dawnych książąt i księżnych, a także ich dzieci i zwierząt domowych. Wiezorami płonęły tu świece w eleganckich kinkietach, za dnia jednak światło wpadało przez wysokie, wąskie okna udekorowane ciężkimi aksamitnymi draperiami.

- Zawsze podobał mi się Lilles House - powiedziała Francesca.

Rochford spojrział na nią, a ona przez chwilę zastanawiała się, czy przyszło mu do głowy, że mogła być panią tego domu. Odsunęła jednak od siebie tę niepokojącą myśl. Jeszcze Rochford gotów pomyśleć, że żał jej takiego splendoru.

- Ja też lubię to miejsce - przyznał i ku jej uldze słowa te zabrzmiały naturalnie. - Obawiam się jednak, że jest trochę staroświeckie. Moja żona na pewno zechce tu wszystko pozmieniać. Zostawić swój ślad.

- Och nie! - zaprotestowała Francesca. - Mam nadzieję, że tego nie zrobi. Tu jest tak ładnie! Ja nie zmieniałabym niczego.

Znowu się zarumieniła, kiedy pomyślała, jakie wrażenie mogła wyrzeć taka uwaga. Na szczęście gdy zerknęła kątem oka, Rochford patrzył w inną stronę. Miała nadzieję, że nie zauważył jej gafy.

Otworzył przed nią podwójne drzwi po lewej stronie. Trzeba było potem przejść przez jeszcze jedno, by znaleźć się w sali balowej usytuowanej w głębi domu. Z sufitu zwisały trzy olbrzymie kandelabry, a posadzka była z tego samego różowo żyłkowanego marmuru, co w galerii. Na jednej bocznej ścianie znajdował się rząd wysokich okien, przysłoniętych ciężkimi brokatowymi draperiami w kolorze ciemnorudym, a z przeciwległego końca trzy pary drzwi prowadziły na taras.

- Jeśli chce pan urządzić tutaj bal, to naprawdę musi być wspaniały - orzekła Francesca. - Potrzeba sporo czasu, by ją przygotować.

- Wobec tego niech będzie to bal na koniec sezonu. Może uda się ogłosić wtedy zaręczyny.

Francesca poczuła znajomy skurcz żołądka. Czyżby więc Rochford był tak bardzo pewien wyboru? Musi mieć na uwadze lady Mary. Zważywszy na jego wcześniejsze opinie, była przekonana, że nie jest to ani lady Caroline Wyatt, ani Althea Robart. Damaris wydawała jej się lepszą kandydatką, a lady de Morgan ładniejszą, ale to z Mary Calderwood Rochford odbył najdłuższą rozmowę i to

ją zaprosił na przejażdżkę faetonem. Naturalnie ona sama też była z Rochfordem na przejażdżce, ale to mieściło się w zupełnie innych kategoriach.

- Zdąży pani z przygotowaniem, prawda? - spytał książę.

Nie była w ogóle pewna, czy za kilka tygodni jeszcze będzie w Londynie. Jeśli Perkins spełni groźby, ona straci dom. Jak wtedy miałyby pomóc Rochfordowi w organizacji balu?

- Naturalnie. Tu nie trzeba dodawać za dużo dekoracji - odparła.

Przeszli przez całą salę do drzwi po drugiej stronie. Francesca wyjrzała na taras i powiodła wzrokiem dalej, po rozciągającym się przed nim ogrodzie. Jak na dom w mieście, otaczający go teren był olbrzymi.

- Czy chciałby pan powiększyć przestrzeń dla gości o ogród? - spytała, zwracając się do Rochforda. - Moglibyśmy powiesić latarnie na linkach między drzewami.

- Jak w Vauxhall Gardens? - spytał.

- Podobnie, ale nieco skromniej. Mam też nadzieję, że uda się uniknąć zachowań znanych z Vauxhall. Pewnie moglibyśmy też wystawić na taras kilka stołów z krzesłami. - Wskazała odpowiednie miejsce. - O, tam, gdzie jest taki zaciszny kąt. Oświetlibyśmy również schody i ozdobili ławki wokół fontanny.

- Doskonały pomysł - przyznał Rochford, popychając skrzydło drzwi. - Popatrzmy na ogród z bliska.

Podał jej ramię. Szli statecznym krokiem, rozglądając się dookoła. Francesca wskazywała miejsca, gdzie należałoby ustawić kandelabry, powiedziała też, jak szerokie powinny być wstążki zdobiące balustrady tarasu i schodów. Bardzo cieszyłaby się na ten bal, gdyby nie świadomość, że jej plany mają sprawić przyjemność innej kobiecie.

- Nie musimy wykorzystywać całego ogrodu - powiedziała, gdy obeszli fontannę i znaleźli się w jego dalszej części. - Możemy ustawić na ścieżkach znaki, żeby zagrozić przejście dalej.

- Ogródnik nie będzie zachwycony, ale moim zdaniem będzie przyjemniej, jeśli oddamy gościom do dyspozycji całość.

Wysoki zielony żywopłot z wyciętym przejściem zwieńczonym łukiem znaczył przejście do następnej części ogrodu. Tu rosły setki róż, a w powietrzu unosił się ich oszałamiający zapach. Gdzieś roślina wykroczyła poza wyznaczone granice i już poza nimi samowolnie mieniły się różnymi kolorami.

- Pięknie tu - zachwyciła się Francesca.

Przez lata była na kilku przyjęciach w Lilles House, wiele razy odwiedzała też księżną wdowę oraz Callie, nigdy jednak nie doszła w ogrodzie dalej niż do wielkiego żywopłotu.

- Moja matka uwielbiała ten ogród - powiedział Rochford. - Nawet kłóciła się o niego z babką i był to, jak słyszałem, jedyny powód jej sporów z księżną. Obstawała przy tym, żeby ta część była dziksza.

- Nie znałam dobrze pańskiej matki - powiedziała Francesca. - Polubiłabym ją jednak bez wątpienia, jeśli sądzić po tym ogrodzie.

- Po śmierci ojca matka rzadko bywała w Dancy Park. Wcześniej zmarła, pani mogła mieć wtedy jakieś dwanaście, trzynaście lat. To była bardzo ciepła kobieta, romantyczka z natury. Pobrali się z ojcem z miłości. Pochodziła z całkiem dobrej rodziny, ale nie tak wysoko postawionej jak Lillesowie. Moi dziadkowie uważali, że ojciec mógł wybrać lepiej, a matka bez wątpienia to wyczuwała. Nie wątpię, że gdy brała z ojcem ślub, była przestraszona. Proszę sobie tylko wyobrazić wejście do rodziny z takimi postaciami jak moja babka lub ciotka Odelia.

- Rzeczywiście. Nie dziwi mnie, że biedaczka mogła się spłoszyć.

- Zdaje mi się, że później nie przeszkadzało jej to szczególnie, choć dla wielu kobiet byłoby zapewne nie do przyjęcia. Czasem nawet wydawała się zadowolona z rad babki, bo nie zawsze dobrze się czuła w roli księżnej. Jako żona dla mojego ojca była jednak ideałem. Bardzo się kochali, a dla nas mama

znajdowała dużo czasu, więc nie byliśmy skazani wyłącznie na piastunkę i guwernantkę.

- Cóż, to było naprawdę ważne.

- Mnie wydawało się tak samo - przyznał Rochford. - Mojemu ojcu też. Dla babki naturalnie obowiązek jest najwyższą wartością. Rodzina i nazwisko - tylko to się liczy.

- Musimy wywiązywać się ze swoich obowiązków, ale szczęście i miłość na pewno są ważniejsze.

- Tak pani sądzi? Nie podejrzewałbym, gdybym wnioskował tylko z zachęt do ożenku, jakie od pani słyszę.

Francesca przystanęła.

- Znowu porównuje mnie pan do księżnej wdowy? Doprawdy, Rochford, pan potrafi być wyjątkowo irytujący. Nie powiedziałam przecież, że powinien się pan ożenić dla swojej rodziny. Ważne jest, by pan był szczęśliwy.

- Cieszę się, że pani to mówi. Ruszyli dalej.

- Dlaczego pana matka nie lubiła Dancy Park? - spytała.

- Nie powiedziałbym, że nie lubiła, ale niechętnie rozstawała się z Marcastle. Po śmierci ojca prawie całkiem wycofała się z życia publicznego. Rzadko przyjeżdżała do Londynu na sezon i właściwie straciła całą radość. Coraz mniej podróżowała, wolała mieszkać tam, gdzie spędziła większą część czasu z ojcem. Najbliżej niego czuła się właśnie w Marcastle.

- Piękna historia, ale takie życie wydaje mi się smutne.

- Było smutne. Bardzo matce współczułem. Mimo to...

- Tak? - zachęciła go Francesca, gdy przerwał.

Znów wsparła się na jego ramieniu, a on nieznacznie pokręcił głową.

- Uzna pani z pewnością, że jestem wielkim egoistą, ale dobrze pamiętam, jak marzyłem, żeby nie pogrążyła się w tak głębokiej żałobie. Czasem miałem wrażenie, że umarli oboje. Malutka Callie ledwo pamiętała ojca. Tymczasem

nasza matka była... niemal widmem, cieniem samej siebie. Dla mojej siostry matka była smutną, milkliwą kobietą, żyjącą na uboczu.

- Musiał pan za nią tęsknić - powiedziała Francesca.

- Tak. Nieraz bardzo potrzebowałem jej rady. Miałem osiemnaście lat i często tytuł był dla mnie ciężkim brzemieniem. Naturalnie zawsze mogłem zwrócić się do babki.

- Strażniczki obowiązku i odpowiedzialności - mruknęła pod nosem Francesca.

- Właśnie. Przynajmniej jednak nie zdarzało się, by babka w jakiejś kwestii nie miała zdania. Zawsze wiedziała, jak należy postąpić i co dyktuje obowiązek.

- Ale nie była kobietą pełną miłości, jak rozumiem.

- Nie. Pani nie zaaprobowała. Zaskoczona Francesca spojrzała na Rochforda.

- Dowiedziała się o nas?

- Nie powiedziałem jej ani słowa - zapewnił. - Wiedziała, że spędzam mnóstwo czasu w Dancy Park, zamiast budować chwałę rodowej siedziby, i umiała wyciągnąć z tego wnioski. Babka jest bystra.

- Och... - Francesca aż się wzdrygnęła. - Musiała być na mnie wściekła, kiedy...

- Nie. O ile pamiętam, powiedziała mi, że niczego innego nie powinienem się był spodziewać. Zapewniała mnie też, że nic lepszego nie mogło mnie spotkać i że dzięki temu będę mógł zabiegać o młodszą siostrę Carborough.

- Lady Alspaugh? - spytała Francesca.

- Wtedy jeszcze nie była żoną lorda Alspaugh, ale tak, chodzi o lady Katherine.

Francesca długo przyglądała mu się zdumiona, wreszcie się roześmiała.

- Już wiem! Pan mnie nabiera.

- Wcale nie. Taką kandydatkę wybrała mi babka. Liczyły się głównie jej posag i rodowód. Nie bez znaczenia była też spora połać ziemi, jaką lady

Katherine miała odziedziczyć po śmierci swojej babki. Ta posiadłość w Kornwalii graniczyła z moją, więc połączone, stanowiłyby bardzo duży majątek.

- Ale ona ma końskie zęby i całkowicie brak jej poczucia humoru - stwierdziła obcesowo Francesca. - W dodatku jest kilka lat od pana starsza.

- Cztery - potwierdził. - No cóż, obowiązek wzywał.

- Chyba niezbyt głośno - mruknęła.

- Jeśli o mnie chodzi, należy raczej mówić o szepcie. Babka nie najlepiej zniosła moją odmowę, ale kilka miesięcy później pocieszyła się następnym wyborem, potem jeszcze jednym. Przez ostatnie kilka lat nie porusza tego tematu, czasem tylko westchnie znacząco albo spojrzy na mnie z wyrzutem, zwłaszcza gdy przeczyta w gazecie o kolejnych narodzinach dziedzica dużej fortuny.

- I to wszystko moja wina...

- Ani trochę - zaprzeczył Rochford. - Zresztą babka całą winę składa na mnie. W ostatnich latach zwykła nawet wspominać, że zachowałem się nierozsądnie, pozwalając pani odejść.

- Sinclair, tak mi przykro...

- Niepotrzebnie. - Nieoczekiwanie przykrył jej dłoń swoją. - Ja też mam na sumieniu różne błędy. Uniosłem się dumą, podczas gdy powinienem był... - Wzruszył ramionami. - To już nie ma znaczenia. Nie chcę, aby czuła się pani winna. Oboje byliśmy młodzi, a minęło już dużo czasu. Najwyższa pora o tym zapomnieć.

Francesca czuła ciepło dłoni Rochforda i nieoczekiwanie zapragnęła przystanąć i wesprzeć głowę na jego piersi. Zauważyła jednak w jego oczach pewien szczególny błysk i przestraszyła się, że Sinclair przejrzał jej myśli. Szybko cofnęła rękę i przyspieszyła kroku.

- Czy chciałaby pani obejrzeć ogród matki? - spytał po chwili Rochford.

- Myślałam, że to właśnie jest jej ogród - odparła.

- Tak, ale nie ten najbardziej prywatny. Tamten był tylko jej.

Francesca spojrzała z widocznym zaciekawieniem, więc Rochford ujął ją za rękę.

- Chodźmy.

Doszli na sam kraniec terenu, gdzie wzdłuż starego ceglanego muru rosły buki. Przy końcu szpaleru mur nagle skręcał, przez pewien czas biegł na wschód i dalej dochodził do ogrodzenia całej posiadłości. W tym kącie piał się po ceglach bujny zielony bluszcz. Wiatr poruszał gęstymi liśćmi.

Rochford skręcił za róg i okazało się, że między ostatnim bukiem a murem znajduje się niewysoka drewniana furtka. Pociągnął za uchwyt i natychmiast rozległ się głośny skrzyp. Rochford przepuścił Francescę, a potem starannie zamknął za nimi furtkę.

- Ojej! - zawołała urzeczona.

Pośrodku niedużego ogrodu znajdowała się sadzawka zarośnięta liliami wodnymi. W najdalszym zakątku stała kamienna postać ludzka, wypluwająca do basenu sadzawki wodę, która spływała potem na głązy wypielęgowanego ogródka skalnego. Przestrzeń między murami wypełniał kojący szmer. W innym kąciku rosła wierzba, pod którą ustawiono żeliwną ławeczkę.

Wszędzie dookoła mieniły się różnymi barwami kwiaty. Gdzieniedzie rosły wysoko wzdłuż wytyczonych ścieżek, w innych miejscach wyglądały tak, jakby wysypały się z prze-wróconej szkatułki. Jedne kołysały się w rytm wiatru na długich łodygach, inne zbiły się w gęste, kolorowe kępy, jeszcze inne tworzyły na ziemi wzorzyste dywany.

Nie ulegało wątpliwości, że ogród jest starannie wypielęgowany, bo nie było nawet śladu chwastów. Jednak kwiaty rosły swobodnie, dowolnie przemieszane ze sobą.

- Pięknie... - szepnęła Francesca, z podziwem obracając głowę. - Cóż za...

- Nadmiar? - próbował zgadnąć Rochford.

- Nie, nie tego słowa chciałam użyć. Bogactwo. Jestem zachwycona.

- Tak jak moja matka. - Szedł powoli za Francescą i przystawał, kiedy chciała lepiej obejrzeć ten czy inny kwiat. - Ojciec kazał wygrodzić tę część ogrodu i posadzić tu same kwiaty specjalnie dla niej. To był jego prezent dla mamy na drugą rocznicę ślubu. Podczas pobytu w Londynie tęskniła za ogrodem w Marcastle, więc ojciec wybrał dla niej te wszystkie gatunki kwiatów, które najbardziej lubiła. Przychodziła tu побыć sama, kiedy tylko czuła taką potrzebę.

- Jak się zamyka tę furtkę? Nie widziałam klucza.

- Można założyć antabę, ale tylko od wewnątrz. To było miejsce, gdzie nikt matce nie przeszkadzał. Nie było dzieci, służby, teściowej, nikogo. Nawet męża, jeśli akurat miała go dość. Lubiła tu czytać albo malować lub po prostu siedzieć i nie być księżną.

- A pan zachował ogród w niezmienionym stanie.

- Tak. Minęło wiele lat, odkąd matka przechadzała się tu po raz ostatni. Po śmierci ojca przyjechała do Londynu chyba tylko dwa razy. Nie chciałem niczego tu zmieniać.

- Wcale się nie dziwię. Często pan tu przychodzi?

- Czasami. To jest ogród księżnej. Francesca poczuła na sobie wzrok Rochforda. Kiedy zawiął wiatr, odsunął jej z policzka zabłąkany kosmyk. Zastanawiała się, czy ten ogród przejdzie na własność Mary Calderwood. To nie była przyjemna myśl. Chciała, żeby to było jej miejsce, a co więcej, chciała również, by ten mężczyzna należał do niej. Zdawała sobie sprawę z tego, że to próżne marzenia.

Czas, kiedy mogła to mieć, dawno minął. Naturalnie była pewna, że gdyby spojrzęła teraz Rochfordowi w oczy, pocałowałby ją i na chwilę zapomnieliby o całym świecie. Nie zamierzała jednak postępować egoistycznie.

Sinclair potrzebował kobiety, która urodziłaby mu dzieci, a jego życie wypełniła miłością i namiętnością. Na pewno nie kogoś takiego jak ona. Po

latach małżeństwa z Andrew wiedziała, że nie mogłaby mu dać ani dzieci, ani rozkoszy.

- Robi się późno. Powinnam wracać do domu - powiedziała cicho.

- Francesco... - Ujął ją za nadgarstek. - Niech pani poczeka.

- Nie. - Spojrzała na niego oczami, w których kryła się udreka. - Musimy już iść.

Wyrwała dłoń z uścisku i skierowała się do furtki.

Rozdział dwunasty

Francesca starała się nie wracać myślami do rozmowy, która odbyła się z Rochfordem w ogrodzie jego matki. Przecież związek między nimi był wykluczony. Ich miłość, jeśli kiedykolwiek istniała, dawno zgasła, teraz kusiło jedynie pożądanie bez wątpienia podsycane wspomnieniami. Romans jednak nie leżał w niczyim interesie. Rochford dojrzał do małżeństwa, a ona powinna skupić wszystkie siły na ratowaniu domu przed Perkinsem.

Cały ranek spędziła na podliczaniu tego, co Maisie i Fenton zdołali sprzedać. Kamerdyner zrezygnował z kilku przedmiotów, chociaż z uporem bronił srebrnych sztućców i kilku półmisków, a także kryształowych kielichów i porcelany. Francesca postanowiła nie stawiać sprawy na ostrzu noża. Mimo żalu ostatecznie rozstała się z perłami, wyniesiono także kandelabry z wyjątkiem tych używanych w salonie i głównej jadalni.

Sprzedaż nie przyniosła dużej sumy, czego należało się spodziewać. Przynajmniej mogła coś odłożyć na adwokata, chociaż Francesca wzdragała się na myśl o sprawie sądowej.

Po południu skupiła się na planach związanych z balem Rochforda, i to znacznie poprawiło jej nastrój. Cudownie było dysponować wielką salą i nieograniczonym dopływem pieniędzy, aby bez skrępowania puścić wodze

fantazji. Niestety, raz po raz przypominała jej się wzmianka Sinclaira o balu zaręczynowym, co bardzo psuło jej humor.

Na następny dzień zaplanowano wieczorek u Haversleyów. Francesca początkowo tam się nie wybierała. Zmieniła zdanie, przypuszczając, że wśród gości nie zabraknie Calderwoodów, ponieważ lady Calderwood przyjaźniła się z panią Haversley, a do tego była jej kuzynką. Skoro miała tam być lady Mary, to może pojawi się i Rochford?

Francesca koniecznie chciała zobaczyć tych dwoje razem. Wiedziała, że zyska szansę przekonania się, jak daleko zaszły sprawy. Im więcej się nad tym zastanawiała, tym bardziej chciała sprawdzić, na ile prawdziwe są plotki.

Zresztą mogła zabrać ze sobą sir Alana z Harriet. Przebierając się do kolacji, podjęła w tej sprawie ostateczną decyzję i napisała krótki bilecik do ojca swojej podopiecznej, proponując wspólne wyjście do Haversleyów.

Jej przypuszczenie co do Calderwoodów okazało się słuszne. Z ulgą stwierdziła, że na razie Rochforda nie ma, jednak księżę zjawił się kilka minut po niej. Pocieszała się, że przynajmniej nie przyjechał z Calderwoodami.

Przez większą część wieczoru bacznie śledziła wzrokiem Sinclaira i lady Mary. W pewnym momencie zobaczyła, że prowadzą ożywioną dyskusję, a potem Rochford przyniósł pannie poncz. Później widziała go rozmawiającego z lady de Morgan oraz z Damaris Burke. W gruncie rzeczy z Damaris spędził najwięcej czasu, ale trudno z tego było wnioskować, jak dalece jest nią zainteresowany, bo konwersował przede wszystkim z towarzyszącym młodej damie ojcem.

Starła się obserwować dyskretnie, ale w pewnej chwili podszedł do niej sir Lucien i zagadnął prosto z mostu:

- Szpiegujemy księcia, prawda?
- Słucham? - Francesca spojrzała na niego zaskoczona. - Nie, skądże. Bez takich żartów, proszę.

Obawiała się jednak, że jej zaprzeczeniu zadał kłam rumieniec na policzkach. I rzeczywiście sir Lucien nie pozwolił się zwieść.

- No, no. Zatem nie jest pani ciekawa, co ostatnio powtarzają stali goście klubów?

- O Rochfordzie?

- Właśnie o nim.

- Ludzie uwielbiają plotkować - stwierdziła obojętnie Francesca, spoglądając w drugi koniec sali, jakby temat kompletnie jej nie interesował. Ponieważ jednak sir Lucien zamilkł, musiała w końcu skapitulować. - Co mówią?

- Och, tylko tyle, że księżę postanowił się ożenić.

- Naprawdę? Czy on sam powiedział coś na ten temat?

- Wątpię, w ogóle zbyt wiele nie mówi. Zwrócono jednak uwagę, że znacznie bardziej udziela się towarzysko niż w minionych latach. Bywa na przyjęciach i w teatrze, składa wizyty, jeździ po parku w towarzystwie dam. Z przyjęć rzadko wychodzi przed czasem, co często mu się zdarzało w przeszłości. W dodatku prowadzi konwersacje nie tylko z rodziną i przyjaciółmi, lecz również z młodymi pannami, których jeszcze w zeszłym roku nie zauważał.

- Rozumiem. - Te informacje nie zaskoczyły Franceski, ponieważ skłoniła księcia do zmiany w zachowaniu i poszukiwania przyszłej księżnej. - Czy pogłoski wiążą go z konkretną osobą?

- Słyszałem kilka razy o najmłodszej córce lorda Calderwooda.

- Mary.

- Tak. To wstydliwa panna, ale zauważono, że w towarzystwie księcia bardzo się ożywia. Poza tym złożył jej wizytę i zabrał ją na przejażdżkę. To typowe oznaki zainteresowania.

- Niby tak, choć wydają mi się zbyt wątle, by mówić o zbliżającym się małżeństwie. Rochford jest zaprzysięgłym kawalerem.

- Właśnie z tego powodu nawet drobiazgi są wyolbrzymiane i traktowane jako dowód na poszukiwanie przez niego żony. Zazwyczaj mężczyzna szukający żony zasypuje pannę dowodami uczucia - kwiatami, zaproszeniami na spacer i przejażdżki, hołdami poetyckimi. W przypadku Rochforda, wzięwszy pod uwagę jego przyzwyczajenia, może się okazać, że wystarczy kilka wizyt.

- Mimo wszystko pogłoski wydają mi się przedwczesne. Może po prostu poczuł się samotny, odkąd Callie wyprowadziła się z Lilles House, więc bardziej ciągnie go do ludzi.

- Gdyby tak było, raczej więcej czasu spędzałby u White'a, a nie w towarzystwie panien na wydaniu.

Francesca skinęła głową i rozejrzała się dookoła. Rochforda tym razem nie zauważyła. Za to Mary Calderwood siedziała pod ścianą z jedną ze swoich sióstr.

Lucien podążył spojrzeniem za jej wzrokiem.

- Och, naturalnie Rochford musiałby pogodzić się z tym, że będzie miał za teścia Calderwooda. To dosyć zniechęcające.

- Jednak nie wydaje mi się dostatecznym powodem do rezygnacji z panny.

- Z teściem trzeba przynajmniej czasami porozmawiać, a Calderwood jest potwornym nudziarzem.

- To prawda. Może powinien pan zwrócić na to uwagę Rochfordowi.

- Nie czuję się upoważniony do udzielania księciu rad w takiej materii. Niektórzy twierdzą, że moje życie jest nic niewarte, ale jestem do niego przywiązany.

Francesca przyjrzała się lady Mary i jej siostrze.

- Ona wydaje mi się nieco zbyt pospolita dla Rochforda, nie sądzi pan?

- Nie wiem. - Sir Lucien również dokonał oględzin dwóch panien pod ścianą. - Jest nieśmiała. Może przy bliższym poznaniu okazuje się błyskotliwa.

- Jak Mary podoła obowiązkom towarzyskim księżnej? Czerwieni się i spuszcza wzrok, ilekroć zostaje komuś przedstawiona.

- Niektórzy nazwaliby to przykładną skromnością - stwierdził sir Lucien.
- I nie wygląda tak, jak można by się spodziewać po damie, która mogłaby poważnie zainteresować Rochforda - ciągnęła Francesca.

- Czyżbym usłyszał nutę zazdrości w pani głosie, moja droga?

Złośliwy uśmiech przyjaciela nie umknął uwagi Franceski.

- Głupstwa pan plecie. Dlaczego miałabym być zazdrosna?

Zanim odpowiedział, bacznie jej się przyjrzał.

- Krąży też inna plotka, ale ta z kolei wiąże księcia z kim innym.

- Z kim? - spytała zaskoczona Francesca.

- Z lady Haughston.

To oświadczenie odebrało jej mowę. Wlepiała wzrok w sir Luciena i przez chwilę nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Ze mną - bąknęła w końcu. - Cóż to za niedorzeczność. Znamy się z Rochfordem od wieków.

- Długa znajomość nie wyklucza małżeństwa.

- Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko.

- Przyjaźń również nie stoi na przeszkodzie, choć należy zapewne się spodziewać, że przetrwa najwyżej do ceremonii zaślubin - orzekł sir Lucien i dodał: - Nie zaprzeczy pani, że w ostatnich tygodniach sygnałów przyjaźni między wami jest znacznie więcej, niż to wcześniej bywało.

- Co pan ma na myśli? - Francesca rozłożyła wachlarz i zaczęła nim ostrożnie poruszać. Nagle wydało jej się, że w sali zrobiło się duszno.

- Jeździła pani na przejażdżki z Rochfordem, tak samo jak lady Mary.

- Byłam na jednej - skwapliwie poprawiła sir Luciena.

- Podobnie jak Rochford i lady Mary - zripostował. - Kilkakrotnie tańczyliście

- Nie ma nic niezwykłego w tym, że księżę prosi mnie do tańca.

- Trzy razy w ciągu dwóch tygodni?

- Czyżby prowadził pan rachunki? - Francesca popatrzyła na niego zdumiona. - Sam pan wspomniał, że księżę częściej teraz pojawia się na balach.

- Poza tym kilkakrotnie złożył pani wizytę.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Już to mówiłam.

- Jak często księżę składał pani wizyty przez ostatnie lata?

Francesca gorączkowo szukała sposobu na wydostanie się spod ostrzału.

- Nie pamiętam - odparła. - Na pewno jednak u mnie bywał. O, w styczniu przyszedł chyba dwa razy. Tak, tego jestem pewna.

- A w czasie, gdy nie mieszkała u pani jego siostra?

- Słowo daję, jak mogę pamiętać takie drobiazgi? - Spojrzała z irytacją na sir Luciena. - Mam nadzieję, że nie podsycy pan tych niedorzecznych plotek.

- Nie plotkuję o pani. - Sir Lucien przybrał urażoną minę. - Fakty są jednak faktami. Można by sądzić, że warto szepnąć słówko przyjacielowi...

- Niech pan sobie daruje, Lucien. Nie szepnęłam panu, bo nie ma o czym. Rochford nie interesuje się mną, a ja nie jestem zazdrosna.

Jeszcze przez chwilę mierzył ją wzrokiem, ale w końcu skapitulował.

- Skoro tak, to w odpowiedzi na pytania dalej będę robił tajemnicze miny i milczał jak zaklęty.

- Lucien! Pan musi wybić to ludziom z głowy! Koniecznie!

- Żartuje pani? Kto mnie zaprosi na kolację, jeśli nie będę miał nic ciekawego do powiedzenia?

Francesca mimo woli parsknęła śmiechem, a Lucien zaczął opowiadać o hrabinie Oxmoor, która według plotek miała romans z artystą malującym jej portret na zlecenie męża. Francesca słuchała jednym uchem, znów bowiem zajęła się obserwacją tego, co dzieje się w salonie.

Mary Calderwood siedziała pod ścianą, ale tym razem sama. Wydawało się to znakomitą okazją do rozpoczęcia rozmowy.

- Przepraszam - wykorzystała pierwszą pauzę w opowieści sir Luciena - muszę z kimś zamienić kilka zdań.

Odeszła niemal natychmiast i dlatego nie zauważyła zaintrygowanego spojrzenia, jakim odprowadził ją sir Lucien, gdy przeciskała się w stronę upatrzzonego celu.

Po drodze przystanęła kilka razy, by pochwalić czyjąś suknię lub powiedzieć „dobry wieczór”, nie chciała bowiem, by wyglądało na to, że zmierza prosto ku siedzącej pod ścianą pannie. Gdy znalazła się blisko, odwróciła się i wtedy jej wzrok jakby przypadkiem padł na córkę Calderwooda.

- Lady Mary - powiedziała z uśmiechem i podeszła do niej - jak miło znowu panią spotkać.

Panna zerwała się z miejsca i dygnęła.

- Lady Haughston. Witam... I mnie miło panią widzieć.

Zaczerwieniła się i wbiła wzrok w czubki pantofelków. Francesca udała, że nie dostrzega objawów zakłopotania. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, że panna ze swobodą konwersuje z Rochfordem, który budził lęk u dużo śmielszych osób. Usiadła, a Mary, mimo oznak lekkiego popłochu, zajęła wcześniejsze miejsce. Francesca zwróciła uwagę, że panna przycupnęła na samej krawędzi krzesła, jakby w każdej chwili chciała się zerwać do ucieczki.

- Cieszę się, że udało się pani przyjść na mój wieczorek w zeszłym tygodniu - zagadnęła.

- O tak... - Rumieniec Mary się pogłębił. - Bardzo przepraszam, powinnam była powiedzieć... Właśnie... To miło, że pani mnie zaprosiła, a raczej nas...

- Mam nadzieję, że przyjemnie spędziła pani czas - ciągnęła Francesca, nie zwracając uwagi na zakłopotanie rozmówczyni.

- Tak, przyjęcie było wspaniałe - przyznała lady Mary tonem wskazującym na to, że została poddana wymyślnym torturom, i szybko odwróciła wzrok.

- Ufam, że pani rodzice mają się dobrze. - Francesca wytrwale brnęła przez obowiązkowe formułki.

Mary nie była szczególnie pomocna, odpowiadała półsłówkami i nie próbowała podsuwać własnych tematów. Francesca czuła się dość nieswojo,

odniosła bowiem wrażenie, że znęca się nad panną, która zdradzała aż nadto wyraźne objawy zmieszania. W końcu zrezygnowała z dbałości o formę i licząc na to, że panna niczego nie zauważy, przeszła do sedna sprawy.

- Widziałam, że na moim wieczorku miło się pani gawędziło z księciem Rochfordem.

Mary odmieniła się jak za dotknięciem różdżki. Uniosła głowę, twarz jej się rozpromieniła. W okrągłych szklach jej okularków odbiło się światło.

- O tak, to wspaniały człowiek, prawda?

- Godzien najwyższego podziwu - przyznała Francesca, tłumiąc głośne westchnienie. Najwyraźniej lady Mary była zauroczona Rochfordem. Nic dziwnego, on robił wrażenie na wszystkich pannach, nawet na największych molach książkowych.

Mary entuzjastycznie skinęła głową.

- Jest niezwykle życzliwy. Zazwyczaj... cóż, miewam kłopoty z prowadzeniem rozmowy, jak pani wie. Księżę jest taki miły i troskliwy. Właściwie nawet nie zauważyłam, że z nim gawędzę dopóty, dopóki nie zaczęłam się plątać przy pożegnaniu.

Francesca skinęła głową, choć nie posiadała się ze zdumienia. Ciekawa była, czy Caroline Wyatt również byłaby zdania, że z księciem łatwo się rozmawia. Najwidoczniej jednak wszystko zależało od tego, czy dama księciu się podoba.

- Muszę się wydawać niemądra - podjęła Mary. - Pani przyjaźni się z księciem od tak dawna.

- To prawda. - Francesca zdobyła się na uśmiech, chociaż wszystko w niej się burzyło. - To wspaniały dżentelmen.

- Wiem i jestem bardzo szczęśliwa - odrzekła Mary.

Coraz trudniej było Francesce utrzymać na twarzy przyjazny uśmiech. Ta panna już czuje się szczęśliwa. Czyżby była taka pewna siebie i władzy nad

księciem? Podobne twierdzenia padające z ust innej kobiety Francesca wzięłaby za przejaw arogancji, ale nie sposób było oskarżać o tę cechę Mary Calderwood.

Czyżby Rochford poprosił o jej rękę i utrzymał oświadczyzny w tajemnicy? Nagle poczuła, że dłużej w tym miejscu nie usiedzi. Nie mogła patrzeć na rozpromienioną Mary Calderwood i słuchać jej przepojonego szczęściem głosu. Wybąkała kilka uprzejmości na pożegnanie i spieszenie się oddaliła.

Schroniła się w korytarzu, gdzie znalazła zaciszną wnękę. Tam mogła spokojnie się zastanowić. Czy to możliwe, że sir Lucien miał rację? Czyżby dręczyła ją zazdrość? Najchętniej wbiłaby sobie do głowy, że to niedorzeczność, tak jak powiedziała Lucienowi, a jednak uczciwość wobec siebie nie pozwalała jej tego zrobić. Chociaż przez cały czas wiedziała, że na balu, który przygotowuje dla Rochforda, mają zostać ogłoszone jego zaręczyny, to nie mogła się zdobyć na to, by szczerze życzyć mu szczęścia z Mary Calderwood. Trudno było coś tej pannie zarzucić. Miała wdzięk i niewątpliwie bardzo się zakochała. Sinclair zasługiwał na kochającą kobietę, która będzie dla niego troskliwą żoną. Francesca powtarzała sobie, że przecież chciała mu pomóc w osiągnięciu stabilizacji. Tylko czy na pewno takiej?

Tłumaczyła sobie, że nie powinna źle życzyć Sinclairowi tylko dlatego, że sama nie może z nim być. Jeśli to właśnie Mary Calderwood miała zapewnić mu szczęście, należało się z tym pogodzić. Musiała tylko wymyślić, jak to osiągnąć.

Zbliżał się termin wyznaczony przez Perkinsa, o tym jednak Francesca wolała zbyt wiele nie myśleć. Nie spodziewała się cudu, a innego sposobu zdobycia pieniędzy nie widziała. W zasadzie wciąż była to jedynie kwestia wyboru między potulnym opuszczeniem domu a odmową i poniesieniem konsekwencji. W gruncie rzeczy podjęła decyzję i była niemal pewna, że wie, jak postąpi, gdy przyjdzie co do czego. Niejedno można było powiedzieć o jej rodzinie, ale nie sposób było odmówić ducha walki.

Tymczasem zajęła się bez reszty balem Rochforda. Szybko doszła do wniosku, że powinna omówić swoje plany z Cranstonem, kamerdynerem

"księcia. Mogła wysłać mu bilecik z życzeniem, by złożył jej wizytę, co było zresztą najwłaściwszym rozwiązaniem. Uznała jednak, że wybierze się do Lilles House i tam porozmawia z kamerdynerem. Na miejscu będą mogli razem iść do sali balowej, więc i omówienie wszystkich szczegółów powinno być łatwiejsze. Zdecydowała się też wziąć ze sobą Maisie, żeby nikt nie mógł jej zarzucić niestosownego zachowania.

Liczyła się z tym, że natknie się na księcia, ale po wieczorze u Haversleyów niezłomnie postanowiła wziąć się w garść. Była pewna, że ostatecznie pokonała demona zazdrości. Wierzyła, że była to tylko przejściowa słabość, a poza tym miała nadzieję, że nie spotka Rochforda.

Los rzeczywiście jej sprzyjał, okazało się bowiem, że księżę wyszedł. Cranston wydał się dość zaskoczony jej widokiem. Gdy Francesca wyjaśniła, że chciała porozmawiać o planowanym balu, kamerdyner przestał zachowywać się nieufnie i nawet pierwszy raz w życiu Francesca zobaczyła na jego twarzy wyraz zadowolenia.

- Naturalnie, milady. Z przyjemnością pomogę - zapewnił. - Mam plany sali balowej i wzory ustawień stołów do usadzania gości.

- Znakomicie - ucieszyła się Francesca, choć obawiała się, że ingerując w obowiązki sprawnego i oddanego kamerdynera, może obudzić w nim zawiść. - Gdzie możemy usiąść?

- Jeśli milady to nie przeszkadza, mam wygodny stół w kwaterach służby. Tam zwykle wszystko planuję. Chyba że lepsza będzie, hm... biblioteka.

- Możemy usiąść przy twoim stole, to całkiem dobry pomysł.

Maisie poszła więc do kuchni napić się herbaty i poplotkować z gospodynią Lilles House, z którą zaprzyjaźniła się ostatnio, wychwalając zalety Callie, a Francesca wraz z Cranstonem zajęli się planowaniem balu.

Jadalnia służby, w której stał stół, była dość przytulna, mimo że z kuchni dobiegały przytłumione brzęki naczyń i inne typowe odgłosy. Cranston

przyniósł herbatę w dzbanku i filiżanki, a także talerzyk z ciasteczkami, który postawił w zasięgu ręki Franceski, po czym stanął za jej plecami, nieco z boku.

- Usiądź, proszę, Cranston - powiedziała, wskazując krzesło obok.

- Milady jest bardzo uprzejma, ale...

Rozumiała, że kamerdyner przestrzega etykiety w najdrobniejszym szczególe, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że starszemu mężczyźnie nie będzie łatwo przez cały czas stać. Miała duże doświadczenie w obchodzeniu się ze starzejącą się służbą.

- Nalegam. Bardzo ułatwi to rozmowę. Dzięki temu nie będę musiała przez cały czas wykręcać i wyciągać szyi.

- Naturalnie, skoro milady tak sobie życzy...

Kamerdyner zajął miejsce obok, siedział jednak na samym skraju lekko odsuniętego do tyłu krzesła, gotów w każdej chwili zerwać się na równe nogi.

- Tu jest wstępna lista gości. - Francesca położyła na stole kartkę. - Przejrzyj ją, proszę, i sprawdź, czy przez przypadek nie pominęłam kogoś, kogo powinnam tam umieścić, albo wpisałam kogoś, kogo nie należało.

- Jestem pewien, że milady najlepiej wie, kogo zaprosić - zapewnił ją, ale odłożył listę, by potem na nią zerknąć.

Francesca wzięła do ręki ołówek i zaczęła snuć plany dotyczące dekorowania, nanosząc wszystko na leżący przed nią plan sali balowej. Cranston raz po raz kiwał głową i od czasu do czasu zapisywał coś na przygotowanej kartce.

Przeszli do jadłospisu, co oznaczało, że należy włączyć do rozmowy kucharkę. Krępa kobieta z siwiejącymi włosami i pulchnymi dłońmi służyła w Lilles House od wielu lat i mieszkała tu już niejedną zupę. Francesca doskonale wiedziała, że kucharze na ogół pilnie strzegą władzy w królestwie potraw, a nieufna mina kobiety tylko to potwierdziła. Na szczęście umiejętnie dozowane pochlebstwa zrobiły swoje i wkrótce również kucharka z pełnym zaangażowaniem przytakiwała sugestiom Franceski.

- No, no - rozległ się w pewnej chwili donośny męski głos. - Przekupuje pani moją służbę, lady Haughston? Czy nie powinienem się poczuć urażony? - W drzwiach stał ksiązę, opierając się o framugę.

- Chętnie bym to zrobiła, ale wtedy ze strony mojej służby spotkałby mnie zasłużony gniew - odparła z uśmiechem Francesca.

Przyszło jej do głowy, że gdyby poślubiła go przed wieloma laty, tak właśnie wyglądałby jeden z najbardziej typowych obrazków z ich życia: Rochford przyglądający jej się od progu.

- Skoro tak, to jestem skłonny przypuszczać, że powstają plany mojego balu.

- Owszem. Czy chce pan usłyszeć, gdzie zamierzam umieścić dekoracje?

- Niech mi to pani lepiej sama pokaże - zaproponował. - Potem możemy napić się herbaty, jeśli będzie pani miała ochotę.

- Z przyjemnością.

- Jesteśmy więc umówieni. Cranston, poprosimy herbatę w pokoju dziennym... za dwadzieścia minut?

Kamerdyner skinął głową i wraz z kucharką szybko znikł w kuchni. Rochford podał ramię Francesce i długim korytarzem przeszli do holu, skąd jeszcze dłuższy korytarz zaprowadził ich do sali balowej.

- Chciałam pokazać Cranstonowi, jak zamierzam udekorować salę - powiedziała Francesca ciekawa, czy Rochford zdziwił się, że przybyła do Lilles House, zamiast poprosić kamerdynera do siebie. - On ma plany, więc mogłam mu wszystko narysować.

- Cranston jest mistrzem organizacji. Nie wątpię, że dysponuje planami absolutnie wszystkich pomieszczeń znajdujących się w tym domu, z naniesionymi meblami. Nic nie umknie jego uwagi. Bez wątpienia wprowadziła go pani w zachwyt, umożliwiając mu rozmowę z kimś, kto interesuje się jadłospisem i dekoracjami. Obawiam się, że pod tym względem uznaje mnie za całkiem nieudolnego, a stratę Callie musi uważać za niepowetowaną.

Francesca uśmiechnęła się i lekko uściśnęła jego ramię.

- Pan też, jak sędzę.

- Ma pani rację - przyznał. - Już mi się zdawało, że przyzwyczailem się do jej nieobecności, kiedy zamieszkała u pani, ale nie. Inaczej jest, kiedy wiadomo, że ktoś bliski niedługo wróci, a inaczej, gdy wyprowadził się na stałe. Naturalnie cieszę się jej szczęściem, bo wiem, że jest jej dobrze z Bromwellem, ale jego posiadłość w Yorkshire znajduje się stanowczo za daleko.

- Przynajmniej z Marcastle ma pan dużo bliżej - pocieszyła go Francesca.

- Bez wątpienia będziemy częściej się widywać, kiedy wrócę do domu.

Francesca poczuła bolesne ukłucie, uświadomiła sobie bowiem, że wtedy ona pozna smak samotności. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, jaki to nonsens. W Londynie rzadko czuła się samotna nawet po zakończeniu sezonu. Zresztą zważywszy na groźby Perkinsa, należało się liczyć również z tym, że będzie skazana na pobyt w Redfields, a Londyn pozostanie jedynie wspomnieniem.

Ponieważ weszli do sali balowej, postarała się zmienić temat rozmowy.

- Co powiedziałyby pan, żebyśmy nawiązali do letniego przesilenia? Bal nocy letniej? Moglibyśmy urządzać go właśnie w końcu czerwca i stworzyć czarodziejską krainę. Cranston uważa ten pomysł za wykonalny. W ogrodzie jest mnóstwo zieleni i kwiatów.

Z entuzjazmem wdała się w opis cudów, jakie można zdziałać, wykonując dekoracje z siatki i tiulu, zdobionych srebrnymi cekinami i umieszczonych w taki sposób, by błyszczące punkty odbijały jak najwięcej światła. Po kilku minutach urwała i zerknęła na Rochforda.

- Śmiertelnie pana nudzę, prawda? - spytała z westchnieniem.

- Ani trochę. Słucham z najwyższą uwagą - zapewnił, prezentując połowiczny uśmiech.

- Kłamca - zarzuciła mu żartem.

- Jestem pewien, że wypadnie to zachwycająco i wszyscy będą oczarowani. Przetaną całą noc i wrócą do domów z przeświadczeniem, że nikt nie potrafi przyjmować gości lepiej niż lady Haughston.

- Przecież to będzie pański bal, nie mój.

- Jak sędzę, goście będą wiedzieć, że wynalazczość, która za nim stoi, nie jest moją zasługą. Taka elegancja i fantazja może kojarzyć się wyłącznie z panią. Czy przebierze się pani za Tytanię, cała w bieli i srebrze?

Francesce zabłyśły oczy.

- To wspaniały pomysł. Może powinniśmy urządzić bal kostiumowy?

- Och, nie, tylko nie to! - zaprotestował książę. - Bal kostiumowy ciotki Odellii wystarczy mi na ponad rok.

- Pan nawet się nie przebrał - przypomniała mu. - To nie mogło być aż takie nieprzyjemne.

- Długo dręczono mnie, żeby się przebrać, i to było najgorsze.

Francesca uśmiechnęła się. Do tej pory obchodzili salę, teraz przystanęli, a ona odruchowo uniosła brwi, jakby chciała go zapytać, co dalej.

- Proszę mi obiecać pierwszy taniec - powiedział.

- Będę musiała pilnować, żeby wszystko przebiegało gładko. Nie będę miała czasu na tańce.

- Niedorzeczność. Pilnować będzie Cranston. A pani otworzy ze mną bal, towarzysząc mi w pierwszym tańcu.

Popatrzyła mu w oczy. Było w nich coś takiego, co odbierało jej dech.

- Z pewnością jednak powinna doznać tego zaszczytu któraś z młodych dam, na przykład lady Mary...

- Tylko pani - podkreślił Rochford.

Nagle ujął ją za rękę i nucąc pod nosem, porwał do walca. Francesca roześmiała się i poddała tanecznemu rytmowi. Wirowali po sali i choć sceneria w niczym nie przypominała balu, ten moment wydał jej się magiczny.

Wreszcie przystanęli i przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Książę trzymał jej dłoń i wciąż obejmował w talii drugą ręką. Pochylił się nad Francescą. Wiedziała, że wszystko zmierza ku pocałunkowi i że powinna się odsunąć. Tymczasem zamknęła oczy.

Rozdział trzynasty

Ich wargi się zetknęły. Sinclair, pozostając w pozycji tanecznej, nie przyciągnął do siebie Franceski, nie próbował mocniej objąć, tylko jego wargi rozdawały niespieszne pieszczoty.

Przeszył ją rozkoszny dreszcz. Miała ochotę wspiąć się na palce i zarzucić mu ręce na szyję. Pragnęła przylgnąć do niego całym ciałem. Była gotowa zatracić się i nie myśleć o tym, co nastąpi po pocałunkach.

Okazało się jednak, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Mogła tylko cieszyć się smakiem ust Sinclaira i pełną uroku chwilą. Nagle w korytarzu rozległ się odgłos kroków i Rochford się cofnął. Stali zapatrzeni w siebie, aż wreszcie na progu pojawił się lokaj i oznajmił, że podano herbatę. Rochford podsunął Francesce ramię, chłodny i elegancki, jakby nic nie zaszło.

Położyła mu rękę na ramieniu z nadzieją, że i po niej niczego nie widać. Wbrew oczekiwaniom Franceski Rochford wcale nie ruszył za lokajem, lecz wyprowadził ją na taras i stamtąd przeszli do innego pokoju.

- To jest pokój dzienny - powiedział, gdy znów znaleźli się we wnętrzu domu. - Moje ulubione miejsce, w którym najprzyjemniej jest wczesnym popołudniem, właśnie o tej porze.

Francesca bez trudu zrozumiała upodobanie Rochforda do tego pokoju. Przestronny i wygodnie umeblowany, z wysokimi oknami, z których roztaczał się widok na ciągnący się dalej ogród. Był osłonięty przed nadmiarem promieni słonecznych, lecz jednocześnie jasny.

- Pięknie tutaj - powiedziała cicho i podeszła do stolika, na którym służba postawiła tacę.

Kiedy nalewała herbatę do filiżanek, uderzyła ją znajoma myśl. Również ta sytuacja wyglądała bardzo zwyczajnie. Oto piła herbatę z kimś, kogo znała od lat. Odniosła przy tym wrażenie, że ta codzienność by jej nie spowszedniała, bo ilekroć widziała Rochforda, puls jej nagłe przyspieszał.

Gawędzili przyjaźnie, sącząc gorący napar, pogryzając malutkimi tartinkami i kwadratowymi ciasteczkami. Rozmawiali o balu i o liście, jaki Francesca dostała tego ranka z domu. Dominie cieszył się wynikami wiosennych zasiewów, a Constance wciąż oczekiwała na rozwiązanie. Miała już duży brzuch, jak na siódmy miesiąc przystało.

- Czy wybiera się pani do Redfields, żeby ją wspomóc? - spytał Rochford.

Skinęła głową.

- Pobędę jeszcze w Londynie jakiś miesiąc, może sześć tygodni, a potem pojedę. Constance oprócz nas właściwie nie ma rodziny, jeśli nie liczyć bardzo irytujących wujostwa, a nie wyobrażam sobie, żeby w takiej sytuacji nie odczuwała potrzeby towarzystwa drugiej kobiety. Wprawdzie nie mam doświadczenia w opiece nad dziećmi, ale od czego jest piastunka. Mogę dopilnować, żeby Constance się nie nudziła i nie podupała na duchu.

- Na pewno będzie pani dla niej wielką pociechą. Może tam się spotkamy. Zamierzam odwiedzić Dancy Park jeszcze przed nastaniem jesieni.

Francesca zerknęła na niego nieco zaskoczona.

- Sądziłabym raczej, że pozostanie pan w Londynie po... - Raptownie urwała.

- Po czym? - spytał, marszcząc brwi.

- Nieważne. W zasadzie to nie moja sprawa. Myślałam, że będą pana pochłaniać przygotowania do ślubu.

- Tak pani sądziła? - spytał po chwili.

- Tak. Przecież do tego pan dąży. Zapowiedział pan ogłoszenie zaręczyn podczas balu i okazał zainteresowanie lady Mary. Muszę powiedzieć, że moim zdaniem dokonał pan znakomitego wyboru. Rozmawiałam z nią u Hiersleyów i wyrażała się o panu w samych superlatywach.

- Naprawdę? - spytał, unosząc brwi. - To bardzo interesujące.

- Tak.

Francesca poczuła znajome ukłucie w sercu. Wyglądało na to, że wbrew postanowieniom nie radzi sobie z uczuciem zazdrości. Była jednak zdecydowana jej nie ulegać wbrew temu, co kilka minut wcześniej zaszło w sali balowej.

Chciała podjąć temat, ale przeszkodziły jej podniesione głosy dobiegające z holu. To było coś tak niezwykłego w arystokratycznej atmosferze Lilles House, że lady Francesca i Rochford natychmiast spojrzeli ku drzwiom. Usłyszeli bardzo stanowczy męski głos.

- Muszę go zobaczyć! Nic mnie nie obchodzi, co robi!

Rozległ się niższy i cichszy głos kamerdynera, nie ulegało jednak wątpliwości, że jego perswazje nie przynoszą skutku. Rochford wstał i wyjrzał na korytarz.

- Cranston, co tu się dzieje?!

- Muszę się z panem zobaczyć! Jestem Kit Browning. Christopher Browning. Sądzę, że pan dobrze wie, dlaczego tu jestem.

Rochford się nachmurzył.

- Pan miał odwiedzić mnie jutro rano. - Westchnął i gestem zaprosił przybysza do środka. - Wszystko w porządku, Cranston. Przyjmę pana. - Zwrócił się do Franceski. - Bardzo przepraszam, ale to powinno zająć niewiele czasu.

Christopher Browning wpadł do pokoju. Był to młody człowiek odziany w ciemny strój. Francesca zauważyła koloratkę anglikańskiego duchownego. Rzadkie jasne włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby całkiem dosłownie

rwał je sobie z głowy, a na chudej ascetycznej twarzy malowało się napięcie. Wydawał się jednocześnie przestraszony i wściekły, a przed księciem stanął w wyzywającej pozie,

- Nie pozwolę panu na to! - oznajmił stanowczo.

- Doprawdy? - Księżę przyjrzał mu się z niemałym zainteresowaniem. - A na co właściwie mi pan nie pozwoli?

- Nie pozwolę, żeby pan ją sobie zabrał! Mógł pan zawrócić jej w głowie wielkim tytułem, wspaniałym domem i złotem, którego niewątpliwie ma pan mnóstwo. Wiem jednak, że to wszystko nie uczyni jej szczęśliwą. To cicha, rzetelna panna. Dla niej największą przyjemnością jest posiedzieć z książką przy kominku albo iść na spacer do parku. Nie będzie szczęśliwa jako księżna.

- Zapewne - odrzekł Rochford, a kącik jego ust zadrgał tak, jakby trudno mu było powściągnąć uśmiech. - Czy mówi pan o lady Mary Calderwood?

- Naturalnie! O kim bym mówił? Czy jest jeszcze jakaś inna nieszczęsna panna, którą okręcił pan sobie dookoła małego palca?

Na wzmiankę o lady Mary Francesca nagle wyostrzyła czujność i przyjrzała się młodzieńcowi z większą uwagą.

- Nie miałem świadomości, że owinąłem sobie lady Mary wokół małego palca, o innych pannach też mi zresztą nic nie wiadomo. Może zechce pan być tak uprzejmy i wyjaśni mi, w czym rzecz.

- Mówię o pańskich umizgach do lady Mary. Proszę nie myśleć, że niczego nie słyszałem. Plotki docierają nawet w święte mury kościoła.

- Rozumiem. Zatem będąc w kościele, usłyszał pan plotkę...

- Proszę sobie ze mnie nie kpić! - zdenerwował się Browning i poczerwieniał na twarzy. - Jest pan bogaty i wpływowy, ale to nie oznacza, że lepszy ode mnie. I nie daje to panu prawa zbywania mnie drwiną!

- Ma pan całkowitą rację - spokojnie odrzekł Rochford. - W istocie zresztą wcale z pana nie drwię. Przyznaję, że nieco onieśmiela mnie pańska gwałtowność.

- Bez wątpienia sądził pan, że nic i nikt nie stoi na jego drodze do lady Mary. Myli się pan. Ja stoję!

- To widzę.

Rochford przytknął dłoń do ust, a Francesca nabrała podejrzeń, że usilnie stara się zachować powagę, w czym bardzo przeszkadzała kwiecista wymowa młodzieńca.

- Lady Mary mnie kocha! Mamy się pobrać. Jesteśmy po słowie. To prawda, że nie przysięgaliśmy sobie w kościele, a jej ojciec krzywo patrzy na nasz związek. Wiem jednak, że dla Mary przyrzeczenie, jakie sobie wzajemnie złożyliśmy, jest tak samo święte jak dla mnie. To wszystko sprawka jej ojca! To on popycha ją do małżeństwa z panem!

A więc Rochford oświadczył się lady Mary, pomyślała z wielkim żalem Francesca.

- Mój drogi panie Browning - odezwał się Rochford. - To wszystko jest bardzo interesujące, lecz zastał mnie pan akurat w trakcie picia herbaty, pan rozumie...

- Owszem, nie tylko rozumiem, lecz i widzę! - odparł młody człowiek i przeniósł rozpalone spojrzenie na Francescę. - Zadaje się pan ze swoimi rozpustnicami, podczas gdy moja słodka Mary...

Francesca zrobiła wielkie oczy, słysząc słowo, jakim ją opisano, i już chciała zaprotestować, ale Rochford zbliżył się o krok do młodego człowieka i spojrzał na niego tak, że ten zamilkł w pół zdania.

- Daruję panu fatalne maniere, bo jest dla mnie oczywiste, że uczucie do lady Mary zaburzyło panu jasność myślenia. Zapewniam jednak, że nie pozwolę obrażać tej damy ani w mojej obecności, ani w żadnej innej sytuacji. Czy to jest jasne?

- Tttak. - Browning cofnął się o krok, po czym zerknął na Francescę i powiedział: - Bardzo panią przepraszam.

Francesca królewskim gestem skłoniła głowę. Była zbyt zainteresowana głównym wątkiem rozmowy, by tracić czas na kwestie mniej istotne.

- Teraz zajmijmy się pana problemem - ciągnął Rochford. - Czy jest pan świadom tego, że dostał zaproszenie, aby złożyć mi wizytę jutro rano?

- Tak. Zakładam, że zamierza mnie pan poinformować o swoich zaręczynach z lady Mary. Pytam jednak, za jakiego człowieka mnie pan uważa, jeśli sądzi, że będę obojętnie przyglądał się kradzieży!

- Uważałem pana za znacznie rozsądniejszego człowieka, niż okazało się w praktyce - odparł Rochford. - Czy nie rozmawiał pan z lady Mary? Nie powiedziała panu, po co pana zaprosiłem?

- Nie - odrzekł sztywno Browning. - Z nią jeszcze nie rozmawiałem. Przysłała mi liścik z zaproszeniem na spotkanie w parku dziś po południu, ale nie poszedłem. Chciałem najpierw rozmówić się z panem. Nie mogłem poddać się bez walki. - Wyprostował się i spojrzał Rochfordowi prosto w oczy.

- Szkoda, że pan się z nią nie spotkał - stwierdził Rochford. - Z pewnością powiedziałaaby panu, że mam akurat probostwo do objęcia. Rozważam pana jako kandydata. Kościół Świętego Swithina we wsi Overby, niedaleko mojej posiadłości Dancy Park.

Duchowny oniemiał, po czym rozpromienił się zachwycony, wreszcie chyba przypomniał sobie, po co przyszedł, bo ochłódł i przyjął jeszcze sztywniejszą pozę niż dotychczas.

- Jest to posada, którą każdy chciałby objąć. Jednakże nie mogę popierać przekupstwa i przyjąć probostwa po to, by pan mógł poślubić kobietę, którą kocham.

- Coś podobnego! - zawołał Rochford. - Jeszcze chwila takich nedorzeczności i Bóg mi świadkiem, że nie zaproponuję panu tego probostwa! Wcale nie usiłuję cię przekupić, ty młody głupcze! W ogóle nie jestem zainteresowany małżeństwem z lady Mary Calderwood.

Kit Browning wpatrywał się z otwartymi ustami w Rochforda. Francescę niewiele brakowało, by zrobić podobną minę.

- Wszyscy mówią przecież, że pan się do niej zaleca.

- Spędziłem z nią sporo czasu, słuchając peanów na pańską cześć - odparł spokojnie Rochford. - Z jej wyobrażenia o panu wnoszę, że na ogół wykazuje pan więcej trzeźwości umysłu.

Browning wreszcie wykazał dość taktu, by się zarumienić, a Francesca z całej siły zacisnęła usta, bała się bowiem, że wybuchnie głośnym śmiechem. Nagle zrobiło się jej wesoło.

- Lady Mary opowiedziała mi całą historię pańskich zawiedzionych nadziei - ciągnął Rochford. - Wspomniała również o nie tak znowu nieuzasadnionym zastrzeżeniu swojego ojca, który nie zgadza się, by poślubiła człowieka niemogącego zapewnić finansowego bezpieczeństwa. Probostwo dałoby panu możliwość zdobycia środków na utrzymanie żony i rodziny, a także przychylniej nastroiłoby ojca narzeczonej do pańskich zamiarów. Lady Mary poprosiła mnie o pomoc, więc zgodziłem się porozmawiać z panem na temat tej posady, która od niedawna wakuje.

Pan Browning stał jak skamieniały. Bardzo, ale to bardzo powoli docierało do niego, jak wielka szansa się przed nim otworzyła i jak nierozważnie się zachował.

- Ufff... Bardzo przepraszam, książę. Nie będę nadużywał pańskiej gościnności.

Skłonił się przed Rochfordem, a potem przed Francescą i ruszył do drzwi.

- Jutro o dziesiątej - powiedział za nim Rochford.

Browning odwrócił się zaskoczony.

- Czy to znaczy, że pan... wciąż zamierza zaoferować mi probostwo?

- Tak. Obawiam się, że miłość czyni głupców z nas wszystkich. Chciałbym z panem porozmawiać w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Młody człowiek nagle zmienił się na twarzy, pojawił się na niej wyraz nadziei. - Jestem taki... Dziękuję.

Rozsądek nakazał mu zrezygnować z dłuższych przemów. Skłonił się jeszcze raz i znikł za drzwiami.

- No, no - rzekła wesoło Francesca. - Widzę, że znajduje pan mężów swoim kandydatkom na żonę.

- Wcale go nie znalazłem. Został mi przedstawiony.

- Ale zamierza pan jej pomóc, żeby mogła go poślubić.

- Muszę przyznać, że nie jestem zainteresowany zalotami do kobiety, która kocha innego mężczyznę.

- A przedtem był pan zainteresowany?

- Staralem się być.

- Czyli te wszystkie sytuacje... przejażdżka w parku, wizyta...

- ...służyło rozmowom o jej chęci poślubienia pana Browninga i sposobie osiągnięcia tego celu.

Nic dziwnego, że Mary Calderwood wypowiedziała się z takim entuzjazmem o księciu. Była szczęśliwa nie z tego powodu, że księżę ją adorował, lecz dlatego, że pomagał jej zdobyć upragnionego męża.

- Powinnam być na pana zła. Podsunął mi pan myśl, że jest nią zainteresowany.

- Nie powiedziałem niczego w tym rodzaju.

Czyżby? Nie pamiętała dokładnie słów, które padły, jednak Rochford nie wyznał jej całej prawdy o tej pannie. Ani słowem nie wspomniał o chęci znalezienia posady dla jej ukochanego. Zapewne powinna mieć o to do niego pretensje, ale jakoś nie mogła ich w sobie obudzić.

- Nadal zamierza mu pan dać to probostwo u świętego Swithina? - spytała.

- Prawdopodobnie tak. W moim pojęciu byłaby to korzystna zmiana dla parafian. Poprzedni pastor prawie zasypiał podczas własnych kazań.

- Nie sądzi pan, że on jest zbyt impulsywny?

- Pozostaje nadzieja, że dzisiaj dostał wystarczającą nauczkę. Jeśli jutro nadal będzie objawiał porywczosć, wtedy naturalnie nie dam mu tego probostwa. Rozumiem jednak, że jest młody i zakochany, a tacy czasem całkiem zapominają o rozwadze.

- To prawda - przyznała Francesca. Wiedziała to aż za dobrze.

W znakomitym nastroju dopiła herbatę i prawdę mówiąc, miała ochotę jeszcze zostać. Ponieważ jednak wieczorem wybierała się do opery z sir Alanem i Harriet, musiała opuścić Rochforda. Jak zwykle, przekonał ją, by wraz z Maisie skorzystały z jego powozu, mimo że do przejścia miały ledwie kilka przecznic i z powodzeniem mogłyby pokonać tę drogę pieszo.

Tak więc Francesca wracała do domu rozparta na miękkim siedzeniu i mogła zastanowić się spokojnie nad znaczeniem najnowszego odkrycia. Wcześniej księżę wykluczył z małżeńskich planów Altheę Robart i Caroline Wyatt, teraz okazało się, że nie jest zainteresowany również Mary Calderwood.

Czyżby nie mówił poważnie o małżeństwie? Jak w takim razie należało traktować zapowiedź ogłoszenia zaręczyn w czasie balu?

Wciąż istniała możliwość, że zainteresował się któraś z dwóch pozostałych kandydatek. Damaris wydawała się najlepiej przygotowana do przejścia obowiązków księżnej, a lady de Morgan była ze wszystkich najatrakcyjniejsza. Jednak Francesca nie dostrzegała u księcia oznak, które wskazywałyby na poważne zamiary wobec jednej z tych dam. W jej obecności nie wspomniał o żadnej z nich ani razu. Plotki łączyły go jedynie z lady Mary.

Jeśli jednak nie zamierzał się ożenić, to po co poprosił ją o pomoc przy organizacji balu? I dlaczego ją całował?

Po powrocie do domu pogrążona w rozmyślaniach Francesca udała się prosto do sypialni. Należało się przygotować do wieczoru z Sherbourne'ami. Wykąpała się i zjadła lekką kolację, którą przyniesiono na tacy do sypialni. Często praktykowała ten zwyczaj, zwłaszcza gdy nie było nikogo, kto mógłby jej towarzyszyć, albo gdy wybierała się dokądś na cały wieczór. Robiła to dla

wygody służby, a poza tym nie lubiła zasiadać sama do wielkiego stołu w jadalni.

Nucąc pod nosem, zajęła miejsce przed lustrem i Maisie rozpoczęła żmudną pracę nad jej fryzurą. W tej dziedzinie pokojówka była mistrzynią, ale nie pozwalała się poganiać. Francesca otworzyła szkatułkę z klejnotami i zerknęła na kolczyki. Najpierw wybrała te z gagatu, potem rozmyśliła się i otworzyła tajną przegródkę. Wyciągnęła z niej szafirowe kolczyki, które otrzymała w prezencie od Rochforda przed piętnastoma laty, i położyła je na dłoni.

Uważnie przyjrzała się granatowym kamieniom rozjaśnionym nieco blaskiem otaczających je brylancików. Jeszcze nigdy ich nie włożyła. Początkowo dlatego, że zaręczyny były potajemne, potem dlatego, że widok tych klejnotów wywoływał żal. Teraz uznała, że powinna nosić piękne klejnoty, zwłaszcza tego wieczoru, kiedy miała wystąpić w granatowej sukni. Włożyła więc kolczyki na próbę i zaczęła się przyglądać refleksom światła w brylancikach.

- Och, milady! - zachwyciła się Maisie. - Jakie piękne! Doskonale pasują do tej kreacji.

- Właśnie o tym samym pomyślałam - przyznała Francesca i uśmiechnęła się do odbicia Maisie w lustrze.

- Czy weźmie pani bransoletkę?

- Nie wiem. - Bransoletka, którą Francesca wygrała od Rochforda, nie była ciężka, lecz wyróżniała się wielkim kunsztem jubilerskim. Wsunęła ją na przedramię i zaczęła podziwiać. - Chyba się zdecydowałam.

Maisie pomogła swojej pani włożyć suknię balową, której wierzchnia warstwa z granatowej gazy była nałożona na jaśniejszą o ton suknię spodnią, a rękawy powtarzały ten sam zestaw. Ledwie Francesca zdążyła wzuć dobrane pantofelki, gdy rozległo się głośne stukanie do drzwi wejściowych.

Popatrzyły po sobie zaskoczone. Było za wcześnie na przyjazd sir Alana, a poza tym nie dobijałby się on do cudzego domu. Zaintrygowana Francesca wyjrzała na zewnątrz sypialni, a Maisie wyłożyła na łóżko lekką, elegancką wieczorową narzutkę, wachlarz i cienkie rękawiczki.

Na dole rozległ się męski głos, przenikliwy i agresywny. Francesca zdrętwiała. Rozpoznała nie tyle sam tembr, co sposób mówienia. Nie mogła zrozumieć, co robi tutaj Perkins. Obiecał przecież poczekać do soboty.

Wzburzona zacisnęła dłoń na klamce. Powinna była wiedzieć, że nie dotrzyma słowa. Nie chciała do niego zejść i przez chwilę kusiło ją, by pozwolić Fentonowi odprawić nieproszonego gościa. Było to jednak niemożliwe. Wiedziała, że stary kamerdyner nie jest w stanie zmusić Perkinsa do odejścia, a ten bez wątplenia dobrowolnie tego nie zrobi. Nie zaskoczyłoby jej nawet, gdyby ten gbur wdarł się do jej sypialni. Musiała się go pozbyć jeszcze przed przyjazdem sir Alana.

Zeszła na dół. Odgłosy sprzeczki nasilały się z każdą chwilą. Gdy stanęła na półpiętrze, zobaczyła, że Perkins chwyta Fentona za koszulę z przodu i mocno nim potrząsa.

- Albo mnie przyjmie, albo nie ręczę za siebie!

Fenton spurpurowiał z wściekłości, więc Francesca pospieszyła na dół.

- Jestem tutaj, może pan przestać hałasować.

Perkins puścił kamerdynera i raptownie się odwrócił. Znalazłszy się o kilka kroków od niego, Francesca zobaczyła, że ma przekrwione oczy, a twarz znacznie bardziej nalana niż wtedy, gdy widziała go ostatnio. Roztaczał wokół siebie wyraźny odór alkoholu.

- Pani - powiedział donośnie.

- Tak, ja.

- Milady... - zaczął kamerdyner, bliski apopleksji.

- Wiem, Fenton. Zrobiłeś wszystko, by go powstrzymać. Najlepiej jednak będzie, jeśli porozmawiam z panem Perkinsem. Zechce pan pójść ze mną? - Wskazała mu salon i ruszyła w tamtym kierunku.

W pokoju odwróciła się twarzą do niemile widzianego gościa.

- Co pan tu robi? Mam plany na dzisiejszy wieczór, a pana spodziewałam się dopiero w sobotę.

- Może nie chcę czekać do soboty. Po tym, jak wyrzuciła mnie pani ze swojego przyjęcia w zeszłym tygodniu, uznałem, że nie muszę trzymać się ustaleń.

Z bezczelnym uśmiechem opadł na fotel, nie czekając, aż Francesca pierwsza usiądzie.

Starając się zapanować nad obrzydzeniem, Francesca zajęła miejsce na kanapie i powiedziała:

- Nie mam z tym nic wspólnego, ale jeśli ktoś przychodzi na przyjęcie, chociaż nie został zaproszony, to powinien liczyć się z tym, że nie zostanie powitany gościnnie.

- Nie spodziewałbym się niczego więcej po tym zarozumiałym księciu. Zawsze uważał się za lepszego od całej reszty świata. Haughston przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że Rochford węszy wokół milady. - Perkins popatrzył z wyraźną niechęcią na Francescę. - Bez wątpienia chce panią mieć jako swoją kolejną utrzymankę.

Francesca głośno zaczerpnęła powietrza, oburzona tą insynuacją. Zerwała się na równe nogi.

- Jak pan śmie opowiadać takie łgarstwa! - wykrzyknęła. - Rochford nie postąpiłby w ten sposób.

- Postąpiłby tak każdy mężczyzna.

- Myli się pan. Księżę jest człowiekiem honoru.

- Honor nie ma z tym nic wspólnego. O wszystkim decyduje żądza.

- Pan nie potrafi zrozumieć takiego człowieka jak księżę.

- Mężczyzna jest mężczyzną, nawet wielki arystokrata - stwierdził Perkins, puszczając do niej oko. - Niech pani nie mówi, że spodziewa się jego oświadczyn.

- Istotnie nie. - Francesca odeszła w najdalszy kąt.

- I słusznie. Taki jak on ożeni się dlatego, żeby spełnić obowiązek, i tyle.

Przystanęła i odwróciła się z nadzieją, że wykrzesze z siebie całą pogardę, do jakiej jest zdolna.

- Zdaję sobie z tego sprawę - wycodziła lodowatym tonem. - Zapewniam, że nie planuję namawiać księcia, aby się ze mną ożenił. Nie mam też ochoty rozmawiać z panem o moim życiu osobistym.

- Zgoda. Pomówmy więc o interesach. Czy ma pani dla mnie pieniądze?

Patrząc na Perkinsa, Francesca czuła, jak gniew ustępuje miejsca złemu przeczuciu, które dręczyło ją niemal nieustannie od ponad dwóch tygodni.

Zbliżyła się o krok ku niemu, chociaż czułaby się pewniej, gdyby dzielił ich większy dystans. Uznała jednak, że z Perkinsem należy postępować jak ze zwierzęciem. Nie wolno mu okazywać lęku.

- Myślę... - Zabrzmiało to bardzo niepewnie, więc urwała, licząc, że następne słowa zabrzmiały bardziej stanowczo. To był decydujący moment i musiała zachować się właściwie, jeśli chciała ocalić dom.- Mam dla pana pewna propozycję...

Rozdział czternasty

- Naprawdę? - Uśmiechnął się obleśnie. - Ciekawe jaką.

- Jestem przygotowana wypłacić panu pewną sumę, powiedzmy dwieście funtów. - Początek był najtrudniejszy, teraz Francesca poczuła się pewniej. Rozważyła wszystko dokładnie i wiedziała, że taki sposób postępowania jest dla niej najlepszy. - Tych pieniędzy nie wliczymy do rzekomego długu mojego

zmarłego męża. W zamian za to da mi pan odpowiednio dużo czasu, bym mogła w rozsądny sposób zgromadzić główną kwotę.

- Czyżby? A co to znaczy „odpowiednio dużo czasu”?

- Sześć miesięcy.

- Sześć miesięcy? Prosi mnie pani, abym czekał pół roku na to, co mi się zgodnie z prawem należy od dawna? Myślę, że przecenia pani swoją siłę perswazji, milady - stwierdził Perkins i wstał.

- Nic pan nie traci - zapewniła go szybko Francesca. - Jeśli nie będę w stanie zapłacić reszty, dwieście funtów i tak pan zatrzyma. - Prawdę mówiąc i do tej sumy jeszcze jej trochę brakowało. Musiałaby dodatkowo sprzedać powóz i konie. - W każdym przypadku będzie pan bogatszy o dwieście funtów. Proszę to dobrze przemyśleć, bo rozwiązanie jest dla pana korzystne.

- Pani tak mówi, bo chodzi o to, żebym pozwolił pani przez pół roku bezpłatnie mieszkać w moim domu - stwierdził Perkins i zbliżył się do Franceski.

Nie cofnęła się ani o pół kroku.

- Nie powiedziałabym, że za darmo. Dwieście funtów to pokaźny czynsz za taki okres. Poza tym oszczędziłby pan sobie kłopotów i wydatków związanych z procesowaniem się. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że przejęcie domu na drodze sądowej nie jest takie proste, jak pan utrzymuje.

- Skoro nie była pani w stanie teraz zebrać pieniędzy, to w jaki sposób zamierza je pani zdobyć w ciągu pół roku? Chce pani sprzedać dom? Sam mogę to zrobić, kiedy wejdę w jego posiadanie, i wtedy dostanę całą cenę, nie tylko równowartość długu. Dlaczego miałbym pozwolić pani na taki luksus?

- Ponieważ to, co pan robi, jest odrażające! - odparła Francesca. - Chce mi pan zabrać dach nad głową z powodu jakiegoś głupiego zakładu, który mój mąż zawarł przed wieloma laty!

- Odrażające, powiada pani? - Znowu obleśnie się uśmiechnął. - Zdaje się, że nigdy nie cieszyłem się pani względami. Krzywo pani na mnie patrzyła, odkąd tylko przestąpiłem próg. Nie byłem dostatecznie dobry dla pani męża.

Bijący od Perkinsa zapach alkoholu stał się silniejszy, mimo to Francesca stała w miejscu, mierzając go wzrokiem.

- Pan zachęcał Andrew do różnych nierozsądnych czynów - powiedziała. - Nigdy nie twierdziłam, że on był od pana lepszy.

- Nie musiała pani. Widziałem to w wyrazie pani twarzy. I jego też. On był Haughstonem pochodzącym z rodu, który przybył tu razem z Wilhelmem Zdobywcą, a ja tylko młodszym synem pośledniego właściciela ziemskiego. Wcale jednak nie czuję się gorzej urodzony.

- Mnie nie przeszkadzało pańskie urodzenie, tylko to, co postanowił pan zrobić ze swoim życiem.

- Nie byłem wcale gorszy niż pani szanowany mąż.

- Trudno to uznać za powód do chwały.

- Tyle że on był dostatecznie dobry, aby go pani poślubiła, a mnie nie należał się nawet uśmiech.

Perkins podszedł jeszcze bliżej, tym razem jednak coś w jego twarzy zaniepokoiło Francescę, więc cofnęła się o krok.

- Kiedy do pani podchodziłem, odsuwała się pani tak jak teraz. Gdy prawilem komplementy, zbywała je pani pogardliwym śmiechem. Kiedy próbowałem jej dotknąć, odtrącała moją rękę.

- A czego pan się spodziewał? - odparła oburzona. - Byłam mężatką i nie zamierzałam romansować ani z panem, ani z nikim innym. Mój mąż był pańskim przyjacielem. Tylko wyjątkowi łajdacy zalecają się do żon przyjaciół.

- Wyjątkowi łajdacy, powiada pani?

Ruszył do przodu i okazało się, że Francesca ma za plecami ścianę. Odwróciła się, chcąc wymknąć się z pułapki. Perkins jednak był szybszy, oparł ramię o ścianę i zagroził jej drogę.

- Powoli, moja droga. Teraz ja mam propozycję dla pani.

Francesca stanęła z nim twarzą w twarz. Serce waliło jej jak młotem, żołądek podchodził do gardła, ale nie wolno jej było okazać strachu. Była przekonana, że właśnie tym sprawiłaby Perkinsowi największą satysfakcję.

- Co to za propozycja? - Z zadowoleniem stwierdziła, że jej głos zabrzmiał chłodno.

- Dalej będzie pani tutaj mieszkała, bez żadnego czynszu, bez dwustu funtów. Zapomnę nawet o długu... po pewnym czasie. - Poglaskał Francescę po policzku. - Wystarczy tylko, że z miłością odda się pani prowadzeniu tego domu.

- Pan chyba żartuje! - powiedziała, odsuwając jego ramię.

- Ani trochę - odparł i dodał kpiącym tonem: - Proszę to dobrze przemyśleć, bo rozwiązanie jest naprawdę dla pani korzystne.

- Nie zostanę pana kochanką - odparła Francesca. Odrazę widoczną na jej twarzy musiał dostrzec nawet mocno nietrzeźwy człowiek. - Wolałabym głodować.

- Naprawdę? - Zmierzył ją nienawistnym wzrokiem i nagle błyskawicznym ruchem chwycił za ramię. - Może sprawdzimy?

Szarpnął ją tak niespodziewanie, że Francesca zachwiała się i poleciała prosto na niego. Perkins zamknął ją w mocnym uścisku, po czym jedną ręką ujął pod brodę. Przerazona z całej siły nastąpiła mu na nogę. Na szczęście jej znoszone pantofelki nie były całkiem pozbawione obcasa. Perkins z okrzykiem zwolnił uścisk, a Francesca wykorzystała tę chwilę, by się wyrwać.

Podbiegła do kominka i chwyciła za pogrzebacz, po czym odwróciła się do napastnika.

- Niech pan się wynosi albo każę pana wyrzucić!

- Czyżby? - parsknął pogardliwie. - Myśli pani, że ten stary ramol może tego dokonać? Chciałbym zobaczyć, jak próbuje.

- Ani kroku dalej! Jeśli mnie tkniesz, zgnijesz w więzieniu! Chcesz znowu uciekać na kontynent?

- Nie będziesz taka rozmowna, kiedy z tobą skończę, milady - powiedział, złowieszczo się uśmiechając. - Nie wiem, dlaczego miałbym odmówić sobie odrobiny przyjemności.

Rzucił się na nią, a Francesca wydała przeraźliwy krzyk i na oślep uderzyła pogrzebaczem. Ku swemu zdziwieniu trafiła Perkinsa w ramię z dostateczną siłą, by rozległ się satysfakcjonujący tępy łoskot. Chciała poderwać broń i zamierzyć się do następnego ciosu, ale Perkins pierwszy chwycił żelastwo i cisnął za siebie, gdzie z trzaskiem uderzyło w stolik.

Francesca zaczęła uciekać, a Perkins rzucił się w pościg. Spora porcja wypitego wcześniej dżinu najwyraźniej stępiła zdolność orientacji, bo potknął się o nogę krzesła i runął na kolana. Podniósł się nie bez kłopotu, ale wtedy usłyszał za plecami charakterystyczny trzask odwodzonego kurka pistoletu.

- Stój, jeśli nie chcesz dostać kuli - rozległ się głos Fentona.

Francesca i Perkins odwrócili się jednocześnie. Gdyby nie przestрах, Francesca musiałaby się roześmiać na widok nieskazitelnego jak zawsze kamerdynera, tym razem trzymającego jeden z pistoletów Andrew. Wspomagała go kucharka wymachująca masywną patelnią.

Na schodach rozległ się tupot i do pokoju wpadły Maisie z nożyczkami w dłoni oraz służąca ze szczotką uniesioną do uderzenia. Jako ostatni dołączył pomywacz trzymający oburącz tasak. Francesce łzy napłynęły do oczu na widok tego dowodu oddania całej służby.

- Dziękuję, Fenton. Dziękuję wszystkim. Myślę, że pan Perkins teraz wyjdzie.

Perkins spojrzał na nią z nieukrywaną nienawiścią i powiedział:

- Pani myśli, że wygrała? I że zniknę z jej życia? Dokonała pani wyboru i poniesie konsekwencje. Cofam propozycję. Teraz będzie pani musiała mnie błagać.

- Nigdy!

- Tak pani sądzi? - Wściekłość wykrzywiła mu twarz. - Zobaczymy, jak pani będzie śpiewać, gdy znajdzie się na ulicy. Upokorzona na oczach wszystkich eleganckich przyjaciół. Bez pieniędzy, domu, z perspektywą osadzenia w więzieniu za długi. Już widzę, jak pani próbuje związać koniec z końcem, mieszka na jakimś poddaszu przemarznięta, głodna. Co pani z sobą zrobi? Zostanie krawcową, która traci wzrok nad ściegami, szyjąc odmrożonymi rękami, bo nie stać jej na ogrzewanie? Albo będzie sprzedawać kapelusze byłym przyjaciółkom? Może zapomni pani o dumie i zacznie szukać pracy, ale i tak nikt pani nie najmie. Nie jest pani dość bystra na guwernantkę, zresztą żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wpuści jej pod swój dach. Co zostaje? Szorowanie podłóg? Kucharzenie? Zmywanie? - Uśmiechnął się szyderczo. - Pani nic nie umie, milady. Może zarabiać na życie tylko na leżaco.

- Zamknij się! - krzyknęła Francesca, trzęsąc się ze złości. - Zamknij się i wynoś z mojego domu. Nigdy więcej nie waż się tu przychodzić. Zrozumiano?!

- Zrozumiano, zrozumiano. A teraz proszę posłuchać uważnie. Jeśli nie wyniesie się pani z tego domu do jutra wieczorem, to odbiorę go siłą. I żaden z pani obrońców - tu potoczył wzrokiem po zgromadzonej służbie - nie będzie w stanie mnie powstrzymać.

Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł. Grupka przy drzwiach rozstąpiła się, by umożliwić mu przejście. Fenton przezornie ruszył za Perkinsem w bezpiecznej odległości, wciąż trzymając w dłoni gotowy do strzału pistolet.

Francesca opadła na fotel. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Służący wyszli za Perkinsem, w pokoju pozostała jedynie Maisie, która przyklękła obok fotela z zatroskaną twarzą.

- Wszystko w porządku, proszę pani?

Francesca skinęła głową. Wciąż drżała, a do oczu cisnęły jej się łzy i tylko wyćwiczone przez lata opanowanie pozwalało jej uniknąć wybuchu hysterii. Wstała z nadzieją, że jakoś dowlecze się do sypialni.

- Pomóc pani? - spytała Maisie.

Francesca zdołała lekko się uśmiechnąć.

- Nie, dziękuję. Muszę pobyć trochę sama i pomyśleć.

Z tymi słowami wyszła z pokoju. Maisie podreptała niepewnie za nią. Reszta służby, zgromadzona przy wejściu, szeptała coś między sobą, wszyscy umilkli jednak, gdy pani weszła do holu. Fenton wystąpił z grupki spoglądającej z niepokojem i współczuciem na Francescę.

- Milady, gdybym mógł w jakiś sposób pomóc... - rozpoczął.

- Dziękuję, Fenton. Proszę powiedzieć sir Alanowi, kiedy przyjedzie, że jestem niedysponowana.

- Naturalnie, milady. - Kamerdyner skłonił się z powagą.

Francesca skinęła głową i wspierając się na poręczy, zaczęła pokonywać schody. W rzeczywistości chciało jej się krzyczeć i płakać, wiedziała jednak, że śledzą ją zatroskane spojrzenia służby, więc siłą woli opanowała gwałtowne uczucia.

Dopiero kiedy zamknęła się w sypialni, osunęła się na podłogę i oparłszy głowę na poręczy fotela, rozsłochała się. Wściekłość i strach wreszcie znalazły ujście. Co zrobić? Jak dalej żyć? Słowa Perkinsa zburzyły mur obronny, który z takim wysiłkiem budowała przez ostatnie tygodnie. Wiedziała, że brat wzięłby ją pod swój dach, nie musiałyby iść na ulicę, co sugerował ten łajdak, ale nie mogła się pogodzić z takim upokorzeniem. Nie chciała spędzić reszty życia w roli ubogiej krewnej.

Nie miałyby swojego domu ani w ogóle niczego oprócz ubrania. Korzystałyby z cudzej łaski, egzystując na marginesie życia Constance i Dominica, przyglądając się ich małżeństwu, szczęściu, wychowaniu dzieci. Musiałyby zrezygnować ze wszystkiego, o co tak walczyła po śmierci Andrew. Dotychczasowe starania i zabiegi poszłyby na marne.

Nie dość, że sama straciłaby miejsce do życia, to również musiałyby zwolnić Fentona i resztę służby. Nie mogła oczekiwać od brata, że nagle zechce

ich przyjąć do siebie, nawet gdyby zgodzili się wyjechać na wieś. Miała poczucie, że zawiodła tych ludzi. Kucharka naturalnie łatwo znalazłaby posadę, ale co z kamerdynerem? Był już za stary na szukanie nowego miejsca.

Okropne wydawało jej się też, że całe towarzystwo dowie się o nieszczęściu. Jedni będą jej współczuć, inni patrzeć na nią z pogardą, ale i jedno, i drugie będzie podszyte poczuciem wyższości. Wszyscy dowiedzą się też, jakim mężem był Haughston, jak mało się o nią troszczył i lekkomyślnie zniszczył ich życie. Naturalnie nie wspominała Andrew z miłością, ale nie zniosłaby, gdyby ich nieudane małżeństwo omawiano w salonach. Tymczasem nawet w razie wygrania przez nią sprawy w sądzie skandal był nieunikniony.

Na tę myśl wstrząsnęła się cała. Rozpaczliwie próbowała znaleźć wyjście z tej dramatycznej sytuacji, ale żaden pomysł nie przychodził jej do głowy. Trudno jej było zresztą skupić na czymkolwiek uwagę.

Na dole usłyszała męski głos i zorientowała się, że musiał przyjechać sir Alan. To był dobry, poczciwy człowiek i wiedziała, że również trochę nią zauroczony. Gdyby zaczęła okazywać mu względy, bez wątpienia zakochałby się w niej po uszy. Mogłaby go poślubić i uciec przed beznadziejnością, jaka jej groziła. Była pewna, że większość kobiet właśnie tak by postąpiła.

Ona jednak nie potrafiła. Nie zdobyłaby się na ślub wyłącznie z potrzeby uzyskania poczucia bezpieczeństwa. Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju, ocierając łzy płynące po policzkach. Znow zaczął ją wstrząsać szloch. Zrozpaczona, uchwyciła się jedynej możliwości: Sinclair!

Wreszcie podjęła decyzję i chwilę potem wkładała narzutkę przygotowaną przez Maisie. Zeszła na dół, upewniwszy się wcześniej, że służba wycofała się do kuchni. Prawie na palcach dopadła drzwi wyjściowych i cicho je za sobą zamknęła. Nasunawszy kaptur na głowę, zaczęła oddalać się od domu.

Otworzył jej lokaj w eleganckiej niebiesko-białej liberii. Na widok obcej kobiety zmarszczył czoło.

- Wynoś się stąd. Nic tu po tobie! - burknął i chciał zamknąć jej drzwi przed nosem.

- Nie! - wykrzyknęła Francesca i wyciągnęła rękę, by mu przeszkodzić.

Zrozumiała, że służący wziął ją za prostytutkę albo inną upadłą istotę. Nietrudno było pojąć, dlaczego tak się stało. Żadna szanująca się dama nie przyszlaby do domu dżentelmena, a już na pewno nie bez służącej. Nie mogła jednak pozwolić, by służba ją odprawiła.

- Przyrowadź Cranstona - poleciła i widocznie dała lokajowi do myślenia, bo się zawahał.

- Poczekaj tutaj - powiedział i zamknął drzwi.

Po kilku minutach otworzyły się znowu i ukazał się w nich nieskazitelny kamerdyner Rochforda. Nieufnie wysunął głowę na zewnątrz, więc Francesca zsunęła kaptur, by mógł zobaczyć jej twarz.

- Milady!

- Proszę mnie wpuścić, muszę się zobaczyć z księciem - powiedziała cicho.

- Naturalnie, proszę wejść. Bardzo przepraszam.

Francesca ponownie nasunęła kaptur na głowę, nie chciała bowiem, by ktokolwiek inny ze służby dostrzegł jej twarz. Tymczasem Cranston szybko zaprowadził ją do gabinetu księcia. Pokój był pusty, ale kamerdyner odebrał od niej okrycie i wskazał miejsce.

- Niezwłocznie zawiadomię Jego Wysokość, że milady przyszła - zapewnił ją obojętnym tonem, mimo że musiał być zdumiony w najwyższym stopniu.

- Dziękuję, Cranston.

Gdy kamerdyner wyszedł, zaczęły ją dręczyć wątpliwości. Damy nie składają w ten sposób wizyt. Co Rochford sobie o niej pomyśli?

Wkrótce miała się o tym przekonać, usłyszała bowiem kroki na schodach. Chwilę potem książę wszedł do gabinetu i natychmiast zwrócił uwagę na jej wygląd.

- Na Boga, Francesco, co się stało? - Zamknął drzwi i podszedł do niej z wyciągniętymi ramionami. - Jest pani chora? A może Dominic?

- Nie o to chodzi - odparła, kręcąc głową. Ujął ją za ręce. Były w dotyku ciepłe, krzepiące. Francesca poczuła się raźniej.

- Przepraszam! Nie powinnam była do pana przychodzić, ale zupełnie nie wiedziałam, jak postąpić.

- Zrobiła pani właśnie to, co należało - orzekł Rochford i posadził ją na kanapie, a potem usiadł obok. - Dokąd miałyby pani pójść, jak nie tutaj? Proszę mi teraz powiedzieć, co się stało.

- A pan wszystko za mnie załatwi? - spytała, usiłując się uśmiechnąć, choć bez szczególnego powodzenia.

- Uczynię, co w mojej mocy - zapewnił.

Nagle się rozplakała. Próbowała powstrzymać łzy, tłumaczyła sobie, że już dość, ale to nie pomogło. Uśmiech Rochforda był taki ciepły...

- Och, Sinclair, przepraszam... Nie powinnam, ale tak się boję...

- Najdroższa... - Wyciągnął ramiona i przytulił Francescę.

Przez dłuższy czas szlochała wtulona w jego kojące objęcia. Nie byłaby w stanie powiedzieć niczego sensownego. Książę głaskał ją po plecach i głowie i choć targała nią rozpacz, to jednocześnie odniosła wrażenie, jakby znalazła się w najbezpieczniejszym zakątku świata. Wreszcie Rochford delikatnie odsunął ją od siebie i podał śnieżnobiałą chusteczkę.

Francesca wstała, odeszła kilka kroków i starannie osuszyła twarz. Odwróciła się, gdy Rochford się do niej zbliżył.

- Przepraszam - szepnęła.

- Niech pani przestanie to powtarzać. - Musiał zdać sobie sprawę z tego, jak szorstko zabrzmiały te słowa, bo odezwał się łagodniejszym tonem: - Proszę mi powiedzieć, co to za kłopot. Kto panią przestraszył? Co się stało?

Pomysł, który ją tu sprowadził, nagle przestał jej się podobać.

- Przyszłam prosić pana o pożyczkę.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Wiem, że to wyjątkowo niestosowne - ciągnęła - i przysięgam sobie tego nie robić, ale nie mogę znieść - myśli o tym, że ten człowiek przejmie mój dom.

- Jaki znowu człowiek?! Czy chce mi pani powiedzieć, że ktoś włamał się do jej domu?

- Nie włamał się. To Perkins.

- Galen Perkins? - W oczach Rochforda pojawił się groźny błysk. - Perkins jest w pani domu?

Natychmiast ruszył do drzwi i Francesca musiała chwycić go za ramię.

- Wszystko opowiadam na opak. Proszę usiąść, a ja zacznę od nowa.

- Zgoda. - Pozwolił zaprowadzić się na kanapę, gdzie zajęli miejsca obok siebie. Nie puścił jej ręki. - Niech pani opowiada.

- Lord Haughston...

- To zaczyna się tak dawno?

- Tak. Andrew był... nierozważny.

- Lord Haughston był głupcem - rzekł bez ogródek Rochford.

- To prawda. - Francesca chciała zaprotestować, ale doszła do wniosku, że fakty świadczą same za siebie. - Byłam niemądra, że go poślubiłam. Pan próbował mi to zawczasu wytłumaczyć, a ja nie chciałam słuchać. Bardzo mi przykro.

Gdy na niego spojrzała, aż trudno jej było uwierzyć, ile bólu widzi w jego oczach.

- To mnie jest przykro. Wiedziałem, że nie ma sensu tego pani mówić, skoro zakochała się pani na nowo, ale musiałem spróbować. Jednak tylko wszystko pogmatwałem.

- Byłam przekonana, że ostrzega mnie pan przed nim z zazdrości.

Po ogłoszeniu zaręczyn Franceski i Andrew Rochford przyjechał do Londynu i powiedział jej, że popełnia błąd, decydując się na małżeństwo z takim głupcem jak lord Haughston. Pamiętała, jak bardzo cierpiała przy ich ponownym spotkaniu, i wiedziała, że właśnie z powodu trudnego do zniesienia bólu, a nie miłości do Andrew wybiegła z pokoju, aby nie słuchać Rochforda.

- Rzeczywiście byłem zazdrosny - przyznał niechętnie. - To jednak nie znaczy, że nie powiedziałem pani prawdy. Źle to rozegrałem. Powinienem był napisać list, zamiast zjawić się w pani salonie. Mógłbym lepiej wytłumaczyć, o co mi chodzi. Obawiam się, że w pani obecności nigdy nie potrafiłem zbyt trzeźwo myśleć ani precyzyjnie się wysławiać. Powinienem był postarać się o dowody postępowania Haughstona i poczekać, aż zechce mnie pani wysłuchać. Niepotrzebnie uniosłem się dumą.

Francesca uściśnęła jego dłoń.

- Och, Sinclair, proszę nie mieć do siebie pretensji. To była wyłącznie moja wina, że poślubiłam tego człowieka. Postąpiłam pochopnie. Nie należało się spieszyć z zawarciem małżeństwa. Tylko że ja bardzo chciałam go pokochać. Wmawiałam sobie, że jest dla mnie idealnym mężczyzną. Szukałam leku na urazę i samotność, bo byłam na pana wściekła. - Spojrzała mu w oczy. - Nazwał pan Andrew głupcem, ale to przede wszystkim ja postąpiłam głupio, spiesząc się do ołtarza tylko dlatego, by udowodnić panu, że nie mam złamanego serca.

Francesca, świadoma wagi swojego wyznania, wstała i odeszła kilka kroków.

- Nie o tym jest jednak moja dzisiejsza historia. Ważne, że po śmierci Haughston zostawił mnie prawie z pustymi rękami. Co więcej, odziedziczyłam

po nim również długi. Od czasu gdy nie żyje, ledwie mogę znaleźć środki na utrzymanie.

- Wiem - powiedział cicho.

- Wie pan? - zdumiała się Francesca i spłonęła rumieńcem. - Czyżby wszyscy o tym mówili? Czy słyszało o tym całe towarzystwo?

- Nie, nie - uspokoił ją. - Tylko ja. Nabrałem pewnych podejrzeń, bo przecież zdawałem sobie sprawę z tego, jak lekkomyślnie on się prowadził. Dyskretnie dowiedziałem się tego i owego.

Poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana. Przez te wszystkie lata człowiek, przed którym najbardziej chciała ukryć swoje problemy finansowe, był ich świadom.

- Musi pan uważać, że jestem bardzo niemądra.

- Wcale nie.

- To zresztą nieważne. Zawsze znał mnie pan z jak najgorszej strony.

- To prawda, ale i pani mnie z nie lepszej - przyznał z przelotnym uśmiechem.

- Czyżby? Ta pańska najgorsza strona wcale nie jest taka zła.

- To samo dotyczy pani.

Zrobiło jej się lżej na sercu. Nie chcąc pokazać, jak bardzo poruszyły ją te słowa, odwróciła głowę.

- W każdym razie nauczyłam się oszczędnie gospodarować - podjęła. - Zdziwiłby się pan, widząc moje zakupy. Do tej pory jakoś mi się udawało. Ale Perkins...

- Co, u licha, ma z tym wszystkim wspólnego Perkins?

- Wygrał od Andrew dom w Londynie! - Gniew Franceski wybuchł z pełną siłą. - Ten... łobuz postawił dom, kiedy zabrakło mu pieniędzy!

Rochford zmełł w ustach przekleństwo. Francesca nie była pewna, czy ich adresatem jest Perkins, czy Andrew Haughston, w każdym razie nabrała otuchy.

- Perkins powiedział mi, że jeżeli spłacę dług Andrew, to podrze dokument, w którym Andrew zrzeka się domu. Sprzedałam, co tylko mogłam, ale ta suma stanowczo przerasta moje możliwości. Gdyby jednak...

Nie odważyłaby się w tym momencie spojrzeć Rochfordowi w oczy. Kobiecie nie wolno wziąć od mężczyzny tak wielkich pieniędzy, bo oznacza to dla niej całkowitą kompromitację towarzyską. Obawiała się zresztą, że Rochford źle ją oceni. Dokończyła gorączkowo:

- Gdyby mógł mi pan pożyczyć te pieniądze, zwróciłabym je Perkinsowi. Oddam panu dług, przysięgam. Sprzedam dom i wtedy będę miała dość środków, aby...

- Nie sprzeda pani domu - zapewnił ją Rochford.

- Inaczej musiałabym go wynajmować z sezonu na sezon, ale wtedy minęłyby lata, zanim spłaciłabym pożyczkę. Gdy go sprzedam, zwrócę panu pieniądze, a za resztę kupię sobie coś mniejszego...

- Ani nie wynajmie pani domu, ani go nie sprzeda. O pożyczce też nie ma mowy.

Zrozpaczona Francesca spojrzała na księcia. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Nie pozwolę, żeby ten drań coś pani zabrał. Cranston zaraz każe podstawić powóz i odwiezie panią do domu - oznajmił Rochford i ruszył do drzwi.

- Sinclair! Co pan zamierza? - zawołała za nim przerażona Francesca.

Odwrócił się i krótko odparł:

- Wybieram się na rozmowę z Perkinsem.

Rozdział piętnasty

- Sinclair! Nie! - Francesca wybiegła za nim, chwyciła go za ramię i zmusiła, aby przystanął. - Co pan chce zrobić? Nie pozwolę, żeby pan spłacił mój dług.

- O to proszę się nie martwić. Wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, żeby doszło do przekazania jakichkolwiek pieniędzy. Moim zdaniem Perkins uzna, że lepiej czuje się na kontynencie i musi tam wrócić.

- Sinclair! - Francescę ogarnęła panika. - Chyba nie chce pan z nim walczyć? Nie wolno panu. Nie warto. On może pana zranić.

Księżę spojrzał na nią kątem oka.

- Sugeruje pani, że nie poradzę sobie z takim gadem jak Perkins?

- On zabił człowieka!

- Ja też jestem uważany za niezłego strzelca.

- Wiem, ale pan jest dżentelmenem i wiąże pana kodeks honorowy, podczas gdy Perkins nie musi się stosować do żadnych reguł.

- Szczerze mówiąc, gdy w grę wchodzi Perkins, ja również nie czuję się szczególnie ograniczony regułami.

- Nie wolno panu prowokować pojedynku. Bardzo pana proszę. Nigdy nie wybaczyłabym sobie, gdyby panu coś się stało.

- Pani wiara we mnie nie dodaje szczególnie pewności siebie. - Chciała zaprotestować, ale położył jej palec na wargach. - Nie będzie pojedynku, to mogę pani obiecać. Poradzę sobie z Perkinsem i bez tego.

Francesca puściła jego ramię, choć minę wciąż miała zmartwioną.

- On nie będzie walczył uczciwie. Nie wolno mu ufać.

- Nie zamierzam.

Księżę podszedł do drzwi i od progu jeszcze na nią spojrzał. Wpatrywała się w niego z wielkim smutkiem. Ciemnoniebieskie oczy wydawały się w tej chwili szczególnie duże, a blada twarz podkreślała intensywność ich barwy.

Rochford zawrócił, objął Francescę i pocałował. Zaskoczona, w pierwszej chwili ani drgnęła, potem jednak wtuliła się w niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Przez dłuższą chwilę wymieniali pieśszoty, a gdy wreszcie odsunęli się od siebie, Francesca poczuła, że brak jej tchu.

Zaraz potem usłyszała z holu, jak Rochford woła Cranstona. Usiadła w fotelu, mocno oszołomiona. Nie usłyszała niczego z rozmowy księcia z kamerdynerem, niedługo później Cranston wszedł do pokoju i skłoniwszy się, powiedział:

- Milady, przed drzwiami czeka powóz, zawiezie panią do domu.
- Dziękuję, Cranston. - Zdobyła się na wymuszony uśmiech, choć nie sądziła, by wypadł szczególnie przekonująco.

Kamerdyner podał jej narzutkę, więc szybko zawiązała troczki, nasunęła kaptur na głowę i poszła za nim do drzwi. Bardzo ją intrygowało, co Cranston sądzi o tym dziwacznym zajściu, ale naturalnie z jego twarzy nie sposób było czegokolwiek wyczytać.

W drodze do domu powtarzała sobie, że Sinclairowi na pewno nic się nie stanie. Słyszała kiedyś, jak Dominie mówi, że Rochford „dobrze się prezentuje” i że chciałby go mieć po swojej stronie w „młynie”, co zapewne było pochwałą dla jego umiejętności walki.

Mimo to nie przestawała się martwić. Perkins nie zawahał się zastrzelić nieuzbrojonego człowieka. Gdyby Sinclair zginął, próbując jej pomóc, nie wybaczyłaby sobie tego nigdy. Wolalaby stracić dom, niż mieć na sumieniu jego śmierć.

Była ogromnie wdzięczna Sinclairowi, miała też szczerą nadzieję, że uda jej się zatrzymać dom. Jednak świadomość, że wciąż jest dla księcia kimś ważnym, nie mogła się równać z niczym innym.

Księżę Rochford najpierw zajrzał do pewnej jaskini hazardu przy Pall Mail, którą przed laty bardzo lubił odwiedzać lord Haughston. Lokal wciąż działał, ale Perkinsa tam nie było. Krótka rozmowa z właścicielem pozwoliła mu ustalić, że

Perkins nie jest mile widzianym gościem w tym miejscu, wyjechał bowiem z Anglii, nie uregulowawszy sporego długu. Ponoć, jak twierdził właściciel, ostatnio widywano go w innym klubie przy Pall Mail albo na Bennett Street.

Druga próba okazała się udana, a Perkins był tak pochłonięty grą, że nawet nie podniósł głowy, gdy Rochford wszedł na salę. Księżę zawrócił i złotą monetą zachęcił portiera do wyprowadzenia Perkinsa z lokalu, po czym zajął stanowisko na zewnątrz.

Dziesięć minut później otworzyły się drzwi i stanął w nich Perkins w towarzystwie krzepkiego portiera.

- Co ty wygadujesz, człowieku? Nikogo nie widzę. - Rozejrzył się zdezorientowany.

- Ja tam nie wiem. Mówił, że chce spłacić dług.

Z cienia wychynął Rochford.

- To ja.

Perkins usiłował schronić się we wnętrzu, ale księżę chwycił go za ramię i pociągnął w stronę ulicy.

- Mamy z sobą do pogadania.

Perkins próbował się wyrwać.

- Mowy nie ma. Nigdzie nie idę.

- Tak sądzisz?

Rochford puścił Perkinsa i z całej siły uderzył go pięścią w żołądek. Perkins zgiął się wpół, pozbawiony tym ciosem tchu, a księżę dokończył dzieła hakiem, który rozciął przeciwnikowi wargę. Perkins osunął się na chodnik.

Portier przyglądał im się z dużym zainteresowaniem, więc księżę przyzwał go gestem.

- Pomóż mi wsadzić tego typa do dorożki. Wydaje mi się, że powinien jechać do domu.

Chwilę potem Rochford siedział w pudle pojazdu naprzeciwko Perkinsa.

- Gdzie mieszkasz?

Perkins spoglądał na niego w milczeniu.

- Naprawdę chcesz oberwać jeszcze raz? Dla mnie to naturalnie żaden kłopot, ale ty możesz się zanadto zmęczyć.

Tym razem Perkins wybąkał adres. Rochford przekazał go woźnicy i wrócił na swoje miejsce. Perkins, na wszelki wypadek osłaniając ręką brzuch, siedział w kącie, unikając wzroku swego prześladowcy.

Gdy dorożka zatrzymała się przed wąską ceglana kamienicą, Rochford chwycił Perkinsa za ramię i wyciągnął go na ulicę. Puścił go na moment, żeby zapłacić za kurs, a jego więzień wykorzystał tę chwilę i spróbował uciec. Nie zauważył jednak wyciągniętej nogi Rochforda i runął jak długi. Księżę wręczył woźnicy pieniądze i pochylił się, by podnieść Perkinsa, któremu krew leciała już nie tylko z wargi, lecz i z rozciętego policzka. Nie stawiał dłużej oporu, więc Rochford wprowadził go do budynku.

Znów musieli wspiąć się po schodach, Perkins dość długo szukał kluczy, ale w końcu je znalazł i weszli do pokoju. Księżę pchnął go z całej siły na łóżko.

- Co pan wyrabia, do diabła?! - krzyknął Perkins, próbując wstać.

- Odsyłam cię z powrotem na kontynent.

- Co takiego? Wcale tam się nie wybieram,

- Mylisz się. Najpierw dasz mi oświadczenie, które według ciebie napisał lord Haughston, aby przekazać ci dom. Potem wyjedziesz za granice i więcej się nie pokażesz w Anglii.

- Nic z tego! - Protest ten miałby bez wątpienia więcej mocy, gdyby Perkins się nie zachwiał, zeskoczywszy z łóżka. - Pan nie może nigdzie mnie wysłać! - wyszczał, wspierając się na wezgielcu.

Rochford tylko uniósł brew. Perkins przez dłuższą chwilę wytrzymywał jego spojrzenie, w końcu jednak skapitulował.

- No dobrze - mruknął, podszedł do szafy i wyciągnął z niej płócienny worek.

Wysypał jego zawartość na łóżko, po czym sięgnął do szuflady stojącego obok małego stolika. Odwrócił się z nożem w ręce i błyskawicznie natarł na Rochforda.

Książę zręcznie wykonał unik i zadał Perkinsowi cios na wysokości nerki. Zanim zdążył się on pozbierać, nóż wyleciał mu z ręki wykręconej na plecy.

- Załatwione - powiedział Rochford, schowawszy nóż do kieszeni surduta. - Możemy przejść do pakowania. Pamiętaj tylko, że jeśli jeszcze raz spróbujesz takiej sztuczki, wyjedziesz tak, jak stoisz.

- Omal nie złamał mi pan ręki. Oszalał pan?

- Zapewniam, że jestem całkiem zdrow na umyśle.

- Nic panu nie zrobiłem. Nie ma pan prawa mnie do niczego zmuszać.

- Obraził pan moją znajomą damę. To daje mi duże prawa. Czas na list.

Perkins mściwie się skrzywił.

- To dziewczka! A więc taką cenę wyznaczyła panu za swoje wdzięki, hę?

Pięść Rochforda wylądowała na policzku Perkinsa i posłała go na podłogę. Zanim zdążył się poruszyć, Rochford nogę w wysokim bucie oparł na szyi przeciwnika.

- Mógłbym z tobą zrobić wszystko - powiedział beztrósco. - Mam nadzieję, że starcza ci rozumu, aby to pojąć. Gdybym chciał, po prostu zmiażdżyłbym ci gardło. Zginąłbyś w ułamku sekundy, a moi służący wrzuciliby ciało do Tamizy i nikogo nie obchodziłoby, co się z tobą stało. Dostaniesz ostatnią szansę. Dawaj oświadczenie.

Podczas przemowy księcia Perkins zbladł jak kreda, teraz zaczął nieporadnie szperać po kieszeniach i po chwili wyciągnął rękę ze złożoną kartką.

Rochford nieco uniósł nogę ugniatającą mu gardło i schylił się po dokument. Rozłożył go, pobieżnie obejrzał, po czym ponownie złożył i schował do kieszeni.

- Powiedz mi - odezwał się pozornie przyjaznym tonem - tak dla zaspokojenia mojej ciekawości. Czy Haughston naprawdę był takim szubrawcem, żeby to napisać?

Perkins zacisnął usta, ale Rochford znów mocniej oparł but na jego szyi.

- Nie! - wycharczał. - Ja napisałem. Potrafiłem podrobić jego pismo. To był tępak! Mnóstwo razy go nabrałem, a on był zwykle zbyt pijany, żeby cokolwiek pamiętać.

- Opuścisz Anglię jutro - rozkazał księżę. - Jeśli kiedykolwiek wrócisz, pamiętaj, że zrobię wszystko, na co pozwala mi nazwisko i majątek, abyś został skazany za zamordowanie Avery'ego Bagshawa. Jasne?

Perkins skinął głową i otarł świeżą krew z ust.

- Mam szczerą nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę - powiedział Rochford. - Zadbaj o to, abym się nie rozczarował.

Odwrócił się i wyszedł. Perkins przez chwilę wpatrywał się z wściekłością w drzwi, a potem podniósł się z podłogi i chwiejnym krokiem podszedł do worka na łóżku. Ze złością cisnął nim o ścianę.

- Jeszcze zobaczymy - syknął. - Przekonamy się, kto będzie górą.

Francesca siedziała w salonie. Nawet nie zadała sobie trudu, by wejść na górę i zmienić suknię. Była pewna, że Rochford przyjdzie do niej, kiedy skończy z Perkinsem. Gdyby się nie pojawił, spodziewałaby się najgorszego. Nie mogła położyć się spać, nie znając finału całej historii.

Zsunęła pantofelki ze stóp i skuliła się w najwygodniejszym fotelu, ustawivszy go tak, by przez okno od frontu móc obserwować, co dzieje się na zewnątrz. Czas płynął wyjątkowo wolno.

Tłumaczyła sobie, że nie ma powodu do zmartwienia. Rochfordowi nic się nie stanie. Nie słyszała, by ktoś zdołał go zaskoczyć. Bystrość łączyła się u niego z siłą, więc Perkins miał niewielkie szanse, nawet jeśli wziąć pod uwagę jego zdolność do podstępnych sztuczek.

Mimo wszystko nie była w stanie się uspokoić. Wyrzucała sobie, że poszukała pomocy u Sinclaira. Nie powinna była się do niego zwracać. To był z jej strony przejaw braku rozsądku i egoizmu.

Wiedziała jednak, że nie miała innego wyjścia. Gdyby można było cofnąć czas, bez wątpienia podjęłaby taką samą decyzję. Przecież jeśli nie liczyć jej rodziny, to właśnie Rochford był człowiekiem, do którego zawsze mogła się zwrócić, znalazłszy się w kłopotach. Do tego znał ją jak nikt inny. Był opoką w centrum jej świata, jedynym jego stałym punktem.

Latami nie dopuszczała do siebie tej myśli. Próbowwała wmówić sobie, że jest inaczej. Została żoną innego człowieka i dochowała mu wierności pod każdym względem z wyjątkiem tego najważniejszego. Jej serce należało do Sinclaira. I tak już miało pozostać.

Nie chciała się oszukiwać, że istnieje dla nich wspólna przyszłość. Rochford czuł do niej pociąg, dowodziły tego pocałunki i pieszczoty, ale dostatecznie dobrze poznała życie, by wiedzieć, że namiętność nie jest tym samym co miłość i na pewno nie prowadzi do małżeństwa.

Po zerwaniu zaręczyn Francesca nie miała nadziei na ułożenie stosunków z Rochfordem. Książę był zbyt dumnym człowiekiem, by oświadczyć się drugi raz kobiecie, która go zawiodła. Gdyby dziwnym zrzędzeniem losu nadal chciał ją poślubić, nie mógłby tego zrobić, nie zaniedbując obowiązku wobec nazwiska i rodziny, bo przecież ona jest bezpłodna.

Książę znał swoje powinności i w końcu musiał poślubić odpowiednią kobietę. Wiedziała, że jej miłość jest skazana na niespełnienie, a mimo to znajdowała w niej również dobre strony. Przez tyle lat uważała się za niezdolną do gorących uczuć i odkrycie, że nadal potrafi kochać, było oszałamiające.

W pewnej chwili dostrzegła przez okno mężczyznę zbliżającego się do jej domu. Obserwowała go w napięciu.

- Sinclair! - Łzy napłynęły jej do oczu, gdy postać istotnie okazała się znajoma.

Pospieszyła do wejścia. Odstawiwszy lichtarz, odsunęła rygiel i ostrożnie uchyliła drzwi. Rochford właśnie skręcał na chodniczek prowadzący do domu.

- Sinclair!

Podniósł wzrok i się uśmiechnął. Francesca zbiegła ze schodów i rzuciła mu się w ramiona. Objął ją, poderwał z ziemi i ich usta się spotkały. Przez dłuższą chwilę byli pochłonięci pocałunkiem. Wreszcie Francesca cofnęła się i powiedziała:

- Tak się martwiłam. Niech pan wejdzie, proszę... - Ujęła go za rękę i wprowadziła do środka, rozejrzawszy się jeszcze po ciemnej ulicy.

Podobnie jak poprzednim razem wśliznęli się niezauważeni do zacisznego pokoju dziennego i zamknęli za sobą drzwi.

- I co? - spytała niecierpliwie. - Widział się pan z Perkinsem?

- Tak. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyjął z niej kartkę. Rozłożoną podał Francescę. - Proszę, tego pani potrzebowała. Proponuję to spalić.

Francesca z niedowierzaniem obejrzała dokument. Zauważyła, że papier drży jej w dłoniach.

- Chyba mu pan nie zapłacił?

- Nie. Przysięgam.

- I nie zabił go?

- Nie zabiłem. Namówiłem tego typu do wyjazdu z Anglii. Nie sędzę, żeby jeszcze kiedyś go pani zobaczyła.

- Och, Sinclair! - Francesca przycisnęła dłoń do oczu z nadzieją, że powstrzyma łzy. - W sensie prawnym ten dom należy do Perkinsa, ale mimo wszystko cieszę się, że pan odesłał go z kwitkiem.

- Dom nie należy do niego. Perkins przyznał się, że sfalszował oświadczenie, tak jak przypuszczałem. Haughston był wprawdzie dość głupi, by coś takiego zrobić, ale gdyby Perkins od kilku lat miał w rękach prawdziwe oświadczenie, dawno przystąpiłby do działania, nawet przebywając za granicą.

Nie byłby też gotów na przyjęcie równowartości w gotówce. Poza tym zaraz po powrocie skierowałby pierwsze kroki do sądu.

- Rzeczywiście - przyznała Francesca. - Bez wątpienia ma pan rację. Mogłam stawić mu czoło w sądzie. Powinnam była, zamiast obciążać tą sprawą pana.

- Zrobiła pani dokładnie to, co należało. Gdyby zaczął się proces, naraziłaby się pani na plotki i oszczerstwa, a ten człowiek zamieniłby pani życie w piekło. Mnie było łatwiej poradzić sobie z tym gadem. Żałuję tylko, że tak późno zwierzyła mi się pani ze swoich kłopotów. Oszczędziłbym pani wielu tygodni zmartwieli.

Te słowa w połączeniu z ciepłym, łagodnym tonem całkowicie ją rozbroiły. Nie potrafiła powstrzymać łez.

- Francesco... najdroższa, nie... - Pocałował ją w czubek głowy. - Nie płacz. Chciałem, żebyś była szczęśliwa.

- Przecież jestem! - odparła przez łzy. - Już dawno nie czułam się równie wspaniale.

Sinclair wziął ją w ramiona.

- I płacze pani ze szczęścia?

- Właśnie.

Cofnęła się nieco i spojrzała mu w twarz.

Mimo śladów łez niebieskie oczy promieniały radością.

- Francesco...

- Pan był dla mnie taki dobry. Nie sposób opisać, jaka jestem wdzięczna.

- Nie chcę pani wdzięczności.

- Ma ją pan mimo wszystko. I ma pan więcej, o wiele więcej.

Śmiało wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Potem ujęła jego twarz w dłonie i długo patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Francesca znów uniosła się na palce i odnalazła jego usta. Wkrótce całowali się namiętnie.

W pewnej chwili Francesca uświadomiła sobie, że czeka na więcej. Spleceni w uścisku, byli tak blisko siebie, a jednak osobno. Po jej ciele wędrowały rozkoszne dreszcze. Zapragnęła większej bliskości.

- Nie - powiedział Rochford i zaczerpnął powietrza. - Nie chcę, aby pani miała poczucie, że jest mi cokolwiek winna. - Znowu głęboko odetchnął, bez wątpienia starając się odzyskać panowanie nad sobą. - Nie mogę pani wykorzystać. Nie musi pani się odwdzięczać. Nie dlatego...

- Pst. - Położyła mu palec na wargach. - Wiem, że nie dlatego pan mi pomógł. - Przez chwilę upajała się widokiem jego twarzy naznaczonej pożądaniem. - To mój wybór. Chcę tego.

Wypowiadając te słowa, czuła, jak bardzo są prawdziwe. Wbrew obawom, złym doświadczeniom w przeszłości, wbrew wszystkiemu pragnęła Rochforda. Z uśmiechem wtuliła się w jego ramiona, podając mu usta do pocałunku.

Rozdział szesnasty

- Francesco... - szepnął Sinclair i poderwał ją z ziemi.

Pocałował ją żarliwie, a Francesca entuzjastycznie odwzajemniła pocałunek. On był jej kotwicą w sztormie uczuć i doznań. Sprawcą jej pragnienia, a zarazem jedynym człowiekiem, który mógł je zaspokoić.

Z nieznaną sobie śmiałością wsunęła mu ręce pod surdut. Jedwab kamizelki był śliski i chłodny, a dotykając go, doznawała przyjemnego mrowienia w palcach. Chciała jednak jak najszybciej przebić się przez tę warstwę. Marzyła, by wreszcie móc dotknąć jego ciała.

Sinclair bez wątpienia o tym wiedział, bo postawił ją na ziemi i beztrasko cisnął surdut na podłogę. Francesca rozpiniała guziki kamizelki, a on tymczasem zdarł z szyi pieczołowicie ułożony fular. Jedno i drugie podzieliło los surduta.

Francesca mogła bez przeszkód przesuwac dłonie po torsie i plecach, wciąż jednak płótno koszuli dzieliło ją od ciała Sinclaira. Tymczasem on rozpoczął

wędrówkę wargami po jej kształtnej białej szyi. Palce też nie próżnowały i wkrótce dotarły do krawędzi sukni na plecach, tam jednak zatrzymał je kordon drobniutkich perłowych guziczków, który okazał się poważnym wyzwaniem.

Francesca zachichotała i rozbawiona spojrzała mu w oczy.

- Bawi cię to? - spytał z udaną srogością.

- Znam ten kłopot - odparła. - Troczki są wygodniejsze. - Z tymi słowy zręcznie rozwiązała mu koszulę.

Prawdę mówiąc, problem z guziczkami nie był wielki, bo chociaż ich rozpinanie trwało dosyć długo, to Sinclair miał wystarczająco czasu, aby okryć pocałunkami szyję Franceski. W pewnej chwili odsunął nieco głowę i z uwagą przyjrzał się płatkowi jej ucha, ozdobionemu pięknym klejnotem.

- Nosisz kolczyki, które ci podarowałem.

- Tak - przyznała.

Poczuła nagłe zakłopotanie. Nie była pewna, czy nie przypomną one Rochfordowi dnia nieudanych zaręczyn. On jednak się uśmiechnął.

- Do twarzy ci w nich - powiedział, zaraz też spojrzał na nadgarstek. Zobaczywszy bransoletkę, uniósł do ust dłoń Franceski. Nie była pewna, czy nie wyczuł wargami jej gorączkowego tętna.

- Potrzebujesz czegoś do kompletu, prawda? - spytał i zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją w zagłębienie, wskazujące drogę ku dekolтови.

- Sinclair... - Westchnęła, czując, że oblewa ją fala gorąca.

Zdawało się, że raz czy dwa usłyszała podejrzany trzask rozrywanego materiału, ale mało ją to obchodziło. Pieszczoty pochłonęły ją bez reszty. Wreszcie suknia opadła i ułożyła się wokół stóp Franceski. Sinclair delikatnie ujął w dłonie pełne, jędrne piersi sterczące pod cienką koszulką, a Francesca głośno nabrała powietrza, czując, jak jego palce budzą je do życia. Wkrótce koszulka zaczęła im przeszkadzać i znalazła się na podłodze razem z suknią.

Cierpliwość Sinclaira wyraźnie była na wyczerpaniu, bo zamiast rozwiązać troczek, po prostu go urwał, Francesca uznała więc, że czas mu pomóc, i resztę

bielizny sama rozsznurowała. Pamiętała swoje zakłopotanie, gdy pierwszy raz miała stanąć naga przed mężem, i natarczywość, z jaką odsuwał ramiona, którymi się zasłoniła.

Teraz było zupełnie inaczej i była absolutnie pewna, że pragnie Sinclaira. Wprawdzie myśl o ich rychłym zespoleniu trochę ją niepokoiła, bardziej jednak rozbudzała wyobraźnię.

Sinclair szybko pozbył się reszty ubrania i klękając na podłodze, pociągnął Franceskę na stertę bielizny, która powstała podczas rozbierania.

- Marzyłem o tym, aby mieć cię w swoim łóżu i widzieć, jak twoje słoneczne włosy rozsypują się na poduszkach - wyznał. Pogłaskał jeden z długich kosmyków, które na tle bieli koronek układały się w złocistą aureolę. - Jednak nie mam siły czekać. Za bardzo cię pragnę.

Pochyliwszy głowę, zaczął okrywać ciało Franceski niespiesznymi pocałunkami, które zdawały się zadawać kłam tym słowom. Czując żar jego ciała, słysząc rwany oddech, widziała krople potu na skórze i rozumiała, że Sinclair panuje nad sobą siłą woli, rozkoszując się każdą chwilą tłumionej namiętności.

Franceskę podobało się, że może uczyć się jego ciała, poznawać kształty. Jak kiedykolwiek mogła sądzić, że te chwile nie będą piękne? Gdy rozpalona pieścotami poczuła, że dłoń Sinclaira przesuwana się ku dołowi jej brzucha, otworzyła się przed nim bez namysłu i poddała hipnotyzującym ruchom palców. Z każdą chwilą rósł w niej krzyk, który w końcu wydostał się z gardła.

Porwała ją wielka fala przyjemności. A jednak pragnęła czegoś jeszcze. Szepnęła jego imię raz, drugi i wreszcie poczuła go w sobie. Wsuwał się powoli, budząc w niej poczucie jedności, doskonałości połączenia dwóch istot. Kiedy zaczął się w niej poruszać, każdy ruch potęgował doznania, budował niewiarygodne wprost napięcie, aż wreszcie oboje jednocześnie zatracili się w rozkoszy i spleceni w uścisku, znaleźli spełnienie.

Czuła na sobie ciężar Sinclaira i było jej cudownie. Przepęniała ją radość i - paradoksalnie - wydawała się sobie taka lekka, że gdyby nie obejmowała go w tej chwili, chyba wzniosłaby się w powietrze. Oddech Sinclaira łaskotał ją w szyję. Gdy nagle z oczu popłynęły jej łzy, podniosła rękę, aby zetrzeć je z twarzy.

- Francesco? - Sinclair przetoczył się na bok i spojrzał na nią zaniepokojony. - Co się stało? Płaczesz?

- Przepraszam.

- Nie skrzywdziłem cię?

- Nie, skądże! - zapewniła go szybko. - Nie wiem, dlaczego płaczę... to było takie piękne. - Nowe łzy otarła niecierpliwym gestem. - Och, do licha...

Zaśmiał się dźwięcznym, niskim głosem i objął ją od tyłu, tak że leżeli w tej chwili jak dwie łyżeczki w przegródce kredensu. Sinclair całował Francescę w szyję.

- To było bardzo piękne.

- Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłam. Myślałam... - Urwała nagle, uświadomiwszy sobie, że powiedziała o słowo za dużo.

- Nigdy? - W jego głosie dało się słyszeć zaskoczenie. - Chcesz powiedzieć, że do tej pory nie było ci przyjemnie?

Pokręciła głową.

- Wiem, że muszę ci się wydawać nieco dziwna - powiedziała cicho. - Nie warto o tym rozmawiać.

Po co poruszyła ten temat? Przeklinała swoją nieostrożność. Nie było powodu, by opowiadać Sinclairowi o jej kłopotach z Andrew.

- Wcale nie wydajesz mi się dziwna - odparł i pocałował jej włosy. - Raczej bliska cudu. Dziwię się tylko, jak to możliwe, że miałaś przedtem męża.

- Z nim było zupełnie inaczej... Nienawidziłam tego! - Zdumiała się własną gwałtownością. - Przepraszam. Wiem, że muszę wydawać ci się okropna.

- Okropna naturalnie też nie. - Przyciągnął ją jeszcze bliżej. - Wydaje mi się, że lord Haughston był jeszcze większym osłem, niż do tej pory sądziłem.

Nagle nie mogła powstrzymać potoku słów.

- Andrew powiedział, że jestem zimna. Nazwał mnie bryłą lodu. Staralam się, ale to było silniejsze ode mnie. Nienawidziłam, kiedy mnie dotykał. Wiem, że byłam złą żoną. Nie powinnam była go poślubić. Nie kochałam go. Koniecznie chciałam to sobie wmówić, ale zaraz po ślubie zrozumiałam, jak wielką omyłkę popełniłam. Noce były żenujące... i bolesne. Przeplakałam połowę nocy poślubnej. - Przełknęła łyżę i dodała lżejszym tonem: - Chyba nie ma nic dziwnego w tym, że uznał mnie za kobietę mało pociągającą ani że zwrócił się ku innym. Popsułam to wszystko na początku.

- Przestań - powiedział surowo Sinclair. Oparł się na ramieniu i odwrócił Francescę, aby spojrzeć jej prosto w oczy. - Posłuchaj mnie. Jesteś piękną, bardzo namiętną kobietą. Nie dostrzegam w tobie ani śladu chłodu. Twojej atrakcyjności nie sposób zaprzeczyć, a cokolwiek mówił ten głupiec Haughston, winien był on, a nie ty. Rozumiesz?

Skinęła głową.

Sinclair pogłaskał ją czule i natychmiast złagodniał.

- Przykro mi, że byłaś nieszczęśliwa i że nie znałaś rozkoszy. Jestem próżnym mężczyzną i dlatego cieszę się, że Andrew nigdy nie przeżył z tobą tego co ja. Co więcej, sprawia mi olbrzymią satysfakcję, że doznałaś tego ze mną, a nie z nim. Dlatego zamierzam dowieść ci jeszcze nieraz, jak mało jest w tobie chłodu.

- Teraz? - spytała ze śmiechem.

- Teraz też, ale w ogóle będzie to moja wielka życiowa misja. Musimy najpierw się przekonać, co sprawia ci największą przyjemność. - Przesunął dłonią po jej ciele, a gdy wywołało to natychmiastową reakcję, skwitował to uśmiechem. - Na pewno zajmie to sporo czasu, ale stawiam sobie za punkt honoru odkryć wszystkie twoje ulubione pieszczoty.

- Jesteś bardzo wytrwałym mężczyzną i zaangażowanym w to, co robisz. -
Francesca podjęła żartobliwy ton.

- To prawda - przyznał i przeniósł dłoń niżej.

Natychmiast wyprężyła ciało, czując ciepło rozlewające się po jej wnętrzu.
Pożądanie zamgliło jej oczy.

- Już? - szepnęła.

- Uhm. Muszę natychmiast przystąpić do badań. Nie chcę narazić się na zarzut, że zaniedbuję obowiązki.

- Masz rację... - Westchnęła z rozkoszą, czując pieszczoty w szczególnie wrażliwym miejscu. - Do tego nie możemy dopuścić.

Pocałunek przepłoszył wszystkie zbędne myśli.

Rozdział siedemnasty

Nazajutrz Francesca zbudziła się zdecydowanie późno. Zamrugła powiekami, nieco zdezorientowana. Zaraz jednak wróciły do niej wspomnienia z nocy. Uśmiechnęła się i wsunęła głębiej pod kołdrę, kładąc rękę na poduszce, gdzie jeszcze niedawno spoczywała głowa Sinclaira.

Teraz naturalnie go nie było. Leżeli tu razem zmęczeni i zadowoleni, kiedy Sinclair przyniósł ją w końcu z pokoju dziennego. Potem zasnęła, a on najwidoczniej wyszedł. Wiedziała, że tak będzie. Rochford był zdecydowany dbać o jej reputację, nawet gdy chodziło tylko o domową służbę.

Na myśl o służbie raptownie usiadła i szeroko otwartymi oczami powiodła dookoła. Kiedy jej wzrok padł na stertę ubrań leżących na krześle przy łóżku, odetchnęła z ulgą i znów opadła na poduszki. Rochford pomyślał o przeniesieniu jej rzeczy z dołu.

Przeciągnęła się leniwie i w tym momencie naszła ją refleksja, że może warto byłoby zrezygnować z koszul nocnych. Ta myśl wywołała u niej szelmowski chichot. Ledwo się zbudziła, a już zastanawiała się, czy Sinclair

odwiedzi ją ponownie. Nie wydawało jej się, by było w tym coś złego, zwłaszcza że mieli do nadrobienia wiele straconych lat.

Wstała i okryła się peniuarem. Najwyraźniej Maisie postanowiła jej nie budzić i zostawiła śniadanie na tacy. Herbata i grzanki zdążyły już wystygnąć, ale Francesca nie zamierzała grymasić. Była za bardzo głodna. Zadzwoiła na służącą i zamówiła kąpiel. Widziała, że Maisie umiera z ciekawości. I ona, i reszta służby z pewnością chcieli wiedzieć, co się wydarzyło po zejściu z Perkinsem, którego byli świadkami. Musiała ich uspokoić, że problem został rozwiązany, bo z pewnością martwili się o swoją przyszłość. Tymczasem jednak marzyła jej się gorąca kąpiel, w której mogłaby rozmyślać o Sinclairze.

Nie łudziła się, że przyszłość rysuje się dla nich obiecująco. Znała życie dostatecznie, by wiedzieć, że mimo cudownych doznań tej nocy mogli liczyć jedynie na romans. Wprawdzie kochała Rochforda, ale on, mimo że z pewnością było mu z nią przyjemnie, nie dał najmniejszego znaku, że odwzajemnia uczucie. Namiętność nie oznaczała tego samego dla kobiet i mężczyzn, toteż ich pragnienie bardzo się różniło. Zresztą nawet gdyby Rochford ją kochał, nie czyniłoby to szczególnej różnicy.

Księżę musiał się ożenić z kobietą, która urodzi mu dziedzica. Jako odpowiedzialny człowiek nie poślubiłby kobiety bezpłodnej i już nie najmłodszej. Z pewnością mógł trochę poczekać z ożenkiem. Widziała przecież, że nie zainteresował się kandydatkami, które mu podsunęła. Dwie z nich odrzucił nawet bardzo zdecydowanie, a trzeciej pomógł w połączeniu się z innym mężczyzną. Zresztą, żadnej nie czynił nadziei. W tej sytuacji zwłoka kilku miesięcy, a nawet roku czy dwóch nie stanowiła problemu. Bądź co bądź, mężczyzna długo zachowuje zdolność do płodzenia dzieci.

Dopóki małżeństwo nie stanie się dla Rochforda przymusem, mogli być razem naturalnie przy założeniu, że księżę się nią nie znudzi. Ich romans nie zainteresowałby nikogo pod warunkiem, że zachowaliby należyłą dyskrecję. Przecież jest wdową, a on kawalerem. Nikomu to nie szkodziło. Często żonaci

arystokraci mieli romanse, choć zwykle dopiero po wywiązaniu się z obowiązku spłodzenia synów.

Mogły krążyć szeptane plotki na ich temat, ale zważywszy na famę o strzeleckich umiejętnościach Rochforda, skandalu powinni uniknąć. Zresztą nie bałaby się podjąć takiego ryzyka. Ostatecznie to jej reputacja była na szali, nie jego.

Wiedziała, że trudno jej będzie ostatecznie wyrzec się Sinclaira, ale i na to powinna być przygotowana. Chciała wydrzeć dla siebie tyle szczęścia, ile tylko się da. Potem nie będzie się wtrącać w jego życie. Tymczasem zamierzała cieszyć się chwilą.

Przez cały dzień chodziła w nimbie szczęścia. Ubrawszy się, zeszła do kuchni i zwołała służbę. Podziękowała wszystkim za pomoc okazaną poprzedniego wieczoru i zapewniła ich, że problem pana Perkinsa został rozwiązany. Wyjaśniła, że Perkins nie powinien się pojawić w tym domu.

Wyraz ulgi był powszechny, choć bez wątpienia nie zaspokoila tym obwieszczeniem ciekawości zebranych. Nie zamierzała jednak opowiadać o wyprawie do księcia i podjętych przez niego krokach. O tym i owym mogła najwyżej wspomnieć Maisie. Wszak przed osobistą służącą najtrudniej było utrzymać sekrety. Tymczasem informacje dotyczące księcia wołała zachować dla siebie. Gdyby wspomniała o nim choć słowem, niechybnie rozpromieniaby się tak, że wszyscy domyśliliby się prawdy.

Próbowala skupić się na codziennych obowiązkach, ale nie zdołała. Usiadła przy sekretarzyku, aby odpowiedzieć na listy, co istotnie należało zrobić, bo miała zaległości w korespondencji. Już dawno powinna była napisać do Constance. Gdy położyła przed sobą kartkę, zdołała skreślić zaledwie kilka słów i jej myśli odplłynęły do Sinclaira. Przypominała sobie jego uśmiech, drobne zmarszczki w kącikach oczu i wszystko, co robili poprzedniego wieczoru. Przy tych ostatnich wspomnieniach puls raptownie jej przyspieszał.

Oderwała się w końcu od tych rozmyślań i znów zaczęła pisać, ale po chwili dała spokój, zdecydowana znaleźć zajęcie wymagające mniejszego skupienia. Wkrótce okazało się, że także cerowanie i naszywanie falban na suknię stanowią dla niej nie lada wyzwanie.

Miała nadzieję, że popołudniowi goście pomogą jej wrócić do rzeczywistości, przekonała się jednak, że to tylko złudzenie. W dodatku męczyła się niesamowicie, zmuszając się do śledzenia konwersacji i udając zainteresowanie. Cieszyła się tylko, że nikt nie zauważył, kiedy wracając do krainy marzeń, wlepiła wzrok w ścianę, zajęta wspomnieniem pocałunków Sinclaira.

Tego popołudnia Francesca tyle razy gubiła wątek rozmowy, że jedna ze znajomych spytała podczas odwiedzin, czy nic jej nie dolega, a potem pożegnała się z bardzo chłodną miną. Nieco później kamerdyner niespodziewanie zaanonsował księcia.

Siedziała właśnie w salonie z lady Feringham i jej córką. Niewiele myśląc, zerwała się z krzesła. Dla zatuszowania złego wrażenia z powagą skinęła głową kamerdynerowi i powiedziała:

- Proszę wprowadzić.

Nie odważyła się spojrzeć na lady Feringham ani jej córkę. Przygotowywała się duchowo na przyjęcie nowego gościa, tak by nie zdradzić swoim zachowaniem, co ich łączy. Dyskrecja musiała być jej naczelną dewizą.

Rochford wszedł do salonu za kamerdynerem, a Francesca dostrzegła wyraz rozczarowania na jego twarzy, gdy stwierdził, że nie są sami. Przystanął na progu, zaraz jednak wszedł do pokoju i powitał ją ukłonem.

- Lady Haughston.

- Rochford. Miło mi pana widzieć - odparła obojętnym tonem.

Czuła ciepło na policzkach, miała jednak nadzieję, że jeśli się zarumieniła, to minimalnie. Podała mu rękę. Tęskniła za jego dotykiem, wiedziała jednak, że nie może tego po sobie pokazać. Książę przez chwilę przytrzymał jej dłoń, a ona

odważyła się spojrzeć mu w oczy. Wyczarowała bezosobowy uśmiech i wskazała mu krzesło.

- Proszę usiąść. Zna pan, jak sędzę, lady Feringham i jej córkę lady Cottwell.

- Naturalnie.

Rochford skłonił się przed damami i uprzejmie je powitał, a tymczasem Francesca usiadła i starała się zachować zimną krew. Wyjęła chusteczkę do nosa i dyskretnie otarła twarz. Wydawało jej się, że w pokoju panuje nieznośna duchota. Nagle zorientowała się, że coś jest nie w porządku. W salonie zapadło pełne oczekiwania milczenie. Z oczekujących min gości wywnioskowała, że powinna wykazać się jakąś reakcją.

- Bardzo przepraszam. Obawiam się, że nie usłyszałam. Zastanawiałam się, czy nie jest tu zbyt duszno. Może otworzyć okno?

- Nie, jest całkiem przyjemnie - zapewniła ją lady Cottwell. - Pytałam właśnie, czy podobało się pani u lady Smythe-Fulton w zeszłym tygodniu. Jeśli o mnie chodzi, trochę przeszkadzał mi ścisk.

- Rzeczywiście był tłok, ale czy nie o to chodzi na takim przyjęciu? - odrzekła Francesca z uśmiechem.

Starała się ze wszystkich sił przypomnieć sobie jakikolwiek szczegół tego towarzyskiego spotkania. Obserwowała Rochforda i lady Mary Calderwood, ale to chyba nie tam? Nie, to był wieczorek u Haversleyów. Z niego zresztą też zapamiętała jedynie rozmówczynię księcia i peany na jego cześć wygłaszane przez lady Mary.

Dyskretnie zerknęła na Rochforda. Przyglądał jej się. Próbowwała skarcić go spojrzeniem, odniosła jednak wrażenie, że wypadło to zgoła inaczej. Nie mogła się doczekać, kiedy te kobiety wreszcie opuszczą jej dom. Czy nie przekroczyły już dawno granic, jakie obowiązywały przy grzecznościowej popołudniowej wizycie?

Tymczasem lady Feringham plotła coś bez ustanku. Właśnie zaczęła opowiadać o nowym faetonie lady Chesterfield, który jej młodszy syn rozbił tego rana podczas bardzo nierozsądnego wyścigu z panem Williamem Arbuthnotem. Francesca starała się wzdychać i wydawać okrzyki trwogi we właściwych miejscach, ale mimo woli raz po raz wracała spojrzeniem do księcia.

Ulżyło jej, gdy lady Feringham oznajmiła wreszcie, że muszą z córką iść. Pozostała jej nadzieja, że damy nie zauważyły błysku radości w jej oczach, kiedy wstawiała, by je pożegnać. Po ich wyjściu odwróciła się do Rochforda, który dwoma wielkimi krokami pokonał dzielącą ich przestrzeń, ujął jej rękę i na każdej złożył pocałunek.

- Już się bałem, że zapuszczą tutaj korzenie - powiedział.

Francesca roześmiała się.

- Ja też. Och, Sinclair... - Jego imieniu towarzyszyło rozmarzone westchnienie.

Rochford natychmiast ją objął i przez dłuższą chwilę oboje cieszyli się upragnionym pocałunkiem. Francesca zakończyła go z lśniącoymi oczami i zaróżowionymi policzkami.

- Kiedy tak na mnie patrzysz, zapominam o całym świecie - wyznał schrypniętym głosem. - Musimy porozmawiać.

- Musimy? - odparła prowokująco. - Przychodzi mi do głowy kilka innych znacznie ciekawszych możliwości.

- Szelma. - Znowu pocałował ją w rękę. - Doskonale wiesz, że mnie również. Koniecznie chcę jednak ci powiedzieć...

Od progu dobiegło ich dyskretne kasznięcie, więc odsunęli się od siebie. Rochford zaczął studiować gzyms kominka, jakby odkrył na nim wyjątkowo interesujący szczegół, a Francesca z trudem opanowała grymas niechęci, gdy zwracała się do kamerdynera.

- Słucham, Fenton.

- Przyszła do pani żona sir Fredericka Wilberforce'a.

Najchętniej poleciłaby mu poinformować nieproszonego gościa, że pani domu jest nieobecna, ale przecież pani Wilberforce z pewnością widziała wychodzące damy i gdyby spotkała się z odprawą, obraziłaby się śmiertelnie. Była to kobieta, która poprzez małżeństwo znacznie awansowała społecznie, więc w sytuacjach towarzyskich była bardzo drażliwa. Z rezygnacją poleciła więc Fentonowi wprowadzić gościa i szybko zwróciła się do Sinclaira z cichym „przepraszam”. Skinął głową i przesłał jej diaboliczny uśmiech.

- Poczekam - zapewnił.

Na powitanie pani Wilberforce Francesca przybrała minę nienagannej pani domu. Miała nadzieję, że nie znać po niej wcześniejszych emocji. W każdym razie puls jeszcze jej się nie uspokoił, a na księcia nie odważyła się spojrzeć.

Na szczęście Rochford znał męża pani Wilberforce, który pochodził z miasteczka położonego niedaleko posiadłości księcia w Kornwalii, mógł więc przez kilka minut konwersować z damą na jego temat. Potem było gorzej. Tym razem Francesca nie była w stanie przywołać na pomoc umiejętności towarzyskich. Nie opuszczała jej myśl, że pani Wilberforce powinna wreszcie wyjść. Chciała zostać sam na sam z Sinclairem.

Postanowiła powiadomić Fentona, że więcej gości nie przyjmuje, zastanawiała się jednak, jak wytłumaczyć ciągłą obecność Sinclaira. Zasady dobrego wychowania nakazywały, by opuścił on jej dom przed panią Wilberforce. I tak jego popołudniowa wizyta trwała dłużej, niż nakazywała to etykieta. Francesca zastanawiała się, czy pani Wilberforce zauważyła tę niezręczność, czy też okazja do wymiany zdań z prawdziwym księciem zatarła u niej świadomość, że ten popełnia gafę, przedłużając pobyt w domu Franceski.

Tymczasem ku jej zaskoczeniu Sinclair wstał i oznajmił, że musi je opuścić. Francesca omal nie zaprotestowała, jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język. Wątle się uśmiechnęła i podała mu rękę.

- Cieszę się, że pan mnie odwiedził - powiedziała oficjalnie.

- Mam nadzieję wkrótce przyjść znowu - odrzekł z uśmiechem.
- Serdecznie zapraszam. Bardzo chciałabym pokazać panu mój ogród.
- Jestem pewien, że mnie zachwyci. Do widzenia, lady Haughston.
- Do widzenia, Rochford.

Przez resztę wizyty pani Wilberforce Francesca siedziała jak na szpilkach. Kobieta wylewnie opisała wspaniałe maniery księcia, jego urok osobisty, takt i elegancki wygląd. Francesca machinalnie kiwała głową, ale rzadko cokolwiek wtrącała od siebie. Nie zamierzała przedłużać konwersacji, bo i tak chciało jej się krzyknąć.

Natychmiast gdy pani Wilberforce opuściła dom Franceski, ta ukradkiem wyszła do holu i dalej przez tylne drzwi od ogrodu. Od ulicy dzielił go mur zaopatrzony w furtkę, do której biegła ścieżka od wejścia dla służby. Miała nadzieję, że Sinclair zrozumiał ukryty sens pożegnalnej konwersacji.

Francesca podniosła antabę i pociągnęła za uchwyt furtki, której od zewnątrz nie sposób było otworzyć. Księżę stał obok w niedbalej pozie, oparty o mur. Roześmiała się zachwycona, a on, pochylając głowę, dostał się do środka. Chwilę potem porwał ją w ramiona i zaczął całować, a Francesca przywarła do niego obezwładniona siłą namiętności.

Minęło kilka minut, zanim Rochford wypuścił ją z objęć. Była zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek powiedzieć. Księżę ujął ją za rękę i poprowadził w głąb ogrodu do ławeczki dyskretnie ukrytej w kącie pełnym pachnących róż. Kiedy nie zajął miejsca obok, Francesca popatrzyła na niego zdziwiona.

- Usiądź - zaprosiła i wyciągnęła rękę.

Pokręcił głową i przybrał poważną minę.

- Przyszedłem porozmawiać, a kiedy jestem zbyt blisko ciebie, zapominam o wszystkich swoich zamiarach.

- Nie mam nic przeciwko takiemu zapomnieniu.

- Nie tym razem. Chcę powiedzieć to, co mam do powiedzenia, zanim ktoś nam przeszkodzi.

- W takim razie proszę mówić.
- To dla mnie niełatwe... Lady Haughston...

- Lady Haughston! - powtórzyła Francesca i parsknęła śmiechem. - W jaki sposób doszliśmy do takiej formy? Sinclair, co się stało? Co chce mi pan powiedzieć? - spytała, poważniejąc.

Nabrała pewności, że wie, co usłyszy: że Rochford żałuje tego, do czego doszło ostatniej nocy, ponieważ nie może pozwolić, by odwodziła go od jego obowiązku, jakim jest poszukiwanie kandydatki na księżnę. Z najwyższym trudem powstrzymywała łzy.

- Francesco - zaczął jeszcze raz - musisz wiedzieć o względach, jakimi cię darzę, o mojej nadziei... Och, do diabła z tymi banałami! Proszę, abyś mnie poślubiła!

Francesca zrobiła wielkie oczy.

- Niech to diabli! Wszystko popsułem! - wybuchnął Rochford, gdy na nią spojrział. Przykląkł przed nią. - Przepraszam. Proszę cię... - Sięgnął do kieszeni i wyjął puzderko. - Czy wyświadczysz mi zaszczyt zostania moją żoną?

Wreszcie Francesca odzyskała głos.

- Nie! - Zerwała się na równe nogi. - Sinclair, nie! Nie mogę cię poślubić!

Twarz mu skamieniała. Podniósł się z klęczek.

- Znowu? Odmawiasz mi po raz drugi?

- Nie! Sinclair, nie. Proszę, nie bądź zły...

- A jaki mam być, do licha?! - wypalił. - Czym była ostatnia noc? Wyrazem wdzięczności? Dziękuję, ale nie prosiłem o zapłatę!

Francesca poderwała głowę, jakby ją uderzył.

- To nie była zapłata! Oddałam ci się, ponieważ... - Urwała. Nie była w stanie wyznać uczucia, kiedy patrzył na nią tak zimno.

- Ponieważ? - Skrzywił się i odsunął o krok. - Ależ byłem głupcem. Co zaplanowałaś? Jedna noc? Dwie?

- Nie. Ja... Po prostu nie małżeństwo.

- Romans? - To wstrząsnęło nim jeszcze bardziej. - Czy to znaczy, że chciałaś chować się z tym po kątach, ukryć przed wszystkimi naszą bliskość? A ja co? Miałem ożenić się z inną i romansować za plecami żony? Czy tak mnie widzisz? Takim człowiekiem się wydaję?

- Nie, proszę... Sinclair...

- A ja się łudziłem, że jestem dla ciebie kimś ważnym, że po tylu latach zrozumiałaś... chciałaś... - Zaklął pod nosem i gorzko się roześmiał. - Ile razy twoim zdaniem mężczyzna może wystawiać się na pośmiewisko? - Pokręcił głową. - Zapewniam, że jeśli chodzi o mnie, więcej to się nie zdarzy. Żegnam, milady. Nie będę zajmował więcej czasu.

Francesca stała zmartwiała, lecz momentalnie się ocknęła i pędem pobiegła za Rochfordem.

- Sinclair, zaczekaj! Nie!

Odwrócił się i cisnął do jej stóp puzderko z pierścionkiem zaręczynowym.

- Proszę to dodać do swojej kolekcji. Rozległ się trzask zamykanej furtki i w ogrodzie zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

Francesca się rozszlochała. To niemożliwe! On nie mógł opuścić jej na zawsze w taki sposób! Opadła na kolana, nagle bowiem nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Mimo ciepłego popołudnia cała drżała. Podniosła z ziemi puzderko i zajrzała do środka. Ujrzała prosty, lecz elegancki pierścionek z dużym żółtym brylantem w kształcie gruszki, rodowy klejnot Lillesów. Zacisnęła go w dłoni i osunęła się na ziemię, przyciskając pierścionek do piersi.

- Milady? Milady? - Głos Maisie rozległ się tuż koło jej ucha. - Co się stało? Czy pani jest chora?

Francesca otworzyła oczy i ujrzała klęczącą nad nią zatroskaną służącą. Nie miała pojęcia, jak długo leżała na ziemi. Usiadła nieco oszołomiona, uświadamiając sobie, że wciąż mocno zaciska dłoń na puzderku z pierścionkiem.

- Wszystko w porządku. Nie ma powodu do zmartwienia.

- Bess zauważyła panią na ścieżce i narobiła takiego krzyku, że obudziłaby umarłego. Myślała, że ktoś panią uderzył.

- Nie... - Uklęła i pokojówka pomogła jej wstać.

- Fentonowi zdawało się, że wcześniej towarzyszył pani książę. To nie on, prawda?

- Nie! On nigdy by mnie nie uderzył! Obawiam się, że upadłam. - Francesca próbowała się uśmiechnąć do Maisie, ale z marnym skutkiem. - Pójdę teraz do siebie. Naprawdę nic mi nie jest. Powiedz innym, żeby się nie martwili.

- I nie ma to nic wspólnego z tym łajdakiem? - nalegała Maisie, kiedy szły ku domowi.

- Z Perkinsem? - Francesca pokręciła głową. - Nie. Z nim skończone na dobre. Zdaje się, że bardzo niezręcznie się zachowałam... - Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. - Książę chyba więcej mnie nie odwiedzi.

- Co takiego?! Ależ milady...

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Muszę iść do pokoju i odpocząć.

Weszły na górę schodami dla służby. Maisie pomogła się rozebrać swojej pani i otuliła ją peniuarem. Mimo że było ciepło, Francesca wciąż drżała, więc Maisie napaliła w kominku. Później przyniosła też tacę z herbatą i kolacją. Francesca nie zdołała przełknąć nawet kęsa, ale gorącą herbatę wypić z przyjemnością. Długo siedziała przed kominkiem tępo zapatrzona w ogień, myślami wciąż wracając do popołudniowych wydarzeń.

Instynkt podpowiadał jej, żeby iść do Rochforda i błagać, by jej wysłuchał, wręcz zmusić go do tego. Wyłożyłaby mu swój punkt widzenia, a on zrozumiałby, dlaczego odrzuciła oświadczyń. Nawet przyznałby jej rację. Nie mogli się pobrać.

Wyznałaby mu miłość, przekonała go, że nie z braku uczucia powiedziała „nie”. Jak mógł tak pomyśleć po tym, co między nimi zaszło? Wiedziała jednak, że nie pójdzie do Sinclaira. Zresztą i tak by jej nie przyjął. Wpadł w wielki

gniew. Na wspomnienie pogardy, z jaką na nią patrzył, łzy same napływały jej do oczu.

Postanowiła napisać list, zeszła więc po cichu na dół, starając się nie natknąć na nikogo ze służby. Zapisała wiele stroniczek, następnie wszystkie podarła. Żadne wyjaśnienie nie wydawało jej się dobre, nic nie mogło wyrazić jej trwogi i żalu, jakie opanowały ją na widok wyrazu twarzy Sinclaira. Znienawidził ją. Niezręcznym odrzuceniem oświadczyn uraziła go tak głęboko, że nigdy jej nie wybaczy.

Przeklinała własną głupotę. Powinna była zachować się rozsądniej. Wiedziała przecież, jak ważny jest dla Sinclaira honor. Mogła przewidzieć, że po wspólnie spędzonej nocy zaproponuje jej małżeństwo. Bez względu na to, co nakazywał mu rozsądek, był gotów dać jej szansę zachowania dobrego imienia.

Gdyby w odpowiednim czasie trzeźwo pomyślała, zamiast upajać się własnym szczęściem, pojęłaby, że powinna się liczyć z propozycją małżeństwa. Mogłaby lepiej sprecyzować wszystkie przyczyny odmowy i pomału wyłożyć je Sinclairowi. Przy odrobinie zręczności uniknęłaby wybuchu jego gniewu.

A może tylko się łudzi? Może nijak nie była w stanie zmienić tego, co zaszło? Przecież Sinclair był uparty i porywczy. Przecież chciała zbliżenia przekonana, że potem wszystko jakoś się ułoży. Pozwoliła, żeby zapanowało nad nią pożądanie, i skutek okazał się opłakany. Straciła Rochforda nie tylko jako kochanka, lecz również jako przyjaciela.

Jak dalej żyć bez jego ciepłego, przyjaznego uśmiechu? Bez możliwości przyjrzenia się, jak zręcznie bierze przeszkodę, jadąc konno? Bez interesujących rozmów i poczucia, że może na niego liczyć w każdej sytuacji?

Ciężko westchnęła i zamknąwszy oczy, położyła głowę na oparciu fotela. Może za kilka dni napisze list i wszystko Sinclairowi wytłumaczy.

Z drugiej strony pewnie lepiej niczego nie wyjaśniać i po prostu zapomnieć o Rochfordzie. W ten sposób łatwiej jej będzie wrócić do normalnego życia. Powinna nazajutrz zapakować pierścionek i odesłać go do Lilles House bez

słowa wyjaśnienia. Francesca nie była pewna, czy potrafi zachować się aż tak szlachetnie.

W końcu pokonało ją znużenie i poszła się położyć. Wtedy jednak okazało się, że jak na złość sen nie chce przyjść. Leżała, wpatrując się w ciemność i tonąc w żalu. Gdy wreszcie zasnęła, ocknęła się raptownie z wrażeniem, że minęło ledwie kilka minut.

Otworzyła oczy, ale nie poruszyła się. Próbowwała ustalić, co wyrwało ją ze snu. W pogrążonym w ciemności domu panowała cisza. Po dłuższej chwili ponownie zamknęła oczy, doszedłszy do wniosku, że widocznie przyśniło jej się coś niepokojącego. Nagle zaskrzypiała podłoga. Francesca przekręciła się na bok i zauważyła męską sylwetkę. Serce jej drgnęło. Sinclair!

Mężczyzna obszedł łóżko. Trzymał coś w rękach. Nagle Francesca uświadomiła sobie, że to nie Sinclair, lecz Perkins. Otworzyła usta do krzyku i w tej chwili opadło na nią coś ciężkiego i ciemnego, tłumiąc wszelkie dźwięki.

Rozdział osiemnasty

Francesca krzyknęła, choć wiedziała, że nikt jej nie usłyszy. Zaczęła się szarpać na oślep, ale wtedy napastnik mocno uderzył ją pięścią i straciła przytomność. Gdy się ocknęła, wisiała głową w dół. Najwidoczniej porywacz przerzucił ją sobie przez ramię i właśnie zbiegał po schodach. Znowu spróbowała zawołać o pomoc, ale gruby koc stłumił jej głos. Zdawało jej się, że słyszy krzyk w głębi domu, ale trzask zamykanych drzwi wejściowych sprawił, że nie mogła być tego pewna.

Zaraz potem została bezceremonialnie rzucona na twarde deski. Na chwilę odebrało jej dech. Usłyszała stukot butów Perkinsa, trzask drzwi i podłoga pod nią nagle się zakołysała. Musiał czekać na nich powóz, który teraz uwoził ją w nieznanym kierunku.

Zastanawiała się, w jaki sposób uwolnić się z krępującego jej ruchy zawoju, ale Perkins rozwiązał ten problem za nią. Ściągnął z niej koc, pchnął ją na siedzenie i zaczął jej krępować ręce, związując nadgarstki. Próbowwała kopać i się wyrwać, ale był silniejszy, a chociaż klął, gdy któreś z kopnięć okazywało się celne, to nie przerwał, póki nie osiągnął zamierzonego celu.

Kiedy udało jej się wyrównać oddech, zaczęła krzyczeć, na co zresztą Perkins nie zwracał uwagi. Szybko doszła do wniosku, że z takich wołań niewiele jej przyjdzie. Turkot kół z pewnością zagłuszał je niemal całkowicie, a poza tym byli przecież w Londynie, więc trudno było liczyć na to, że ktoś rzuci się w pogoń za powozem tylko dlatego, że z wnętrza wydobywały się jakieś odgłosy.

Skończywszy wiązać Francesce ręce, Perkins wyciągnął z kieszeni chustkę i wepchnął jej do ust.

- Zamknij się, do diabła! - burknął. - Zamknij się!

Zaczął rozwiązywać fular, a Francesca skorzystała z okazji, by wykonać balans ciałem i w ten sposób odsunąć się jak najdalej od prześladowcy. Dokonawszy tego, wypluła knebel i wydała kolejny przenikliwy krzyk. Zaklął i pochylił się po chustkę, miał jednak pecha, bo właśnie powóz wjechał w zakręt. Perkins stracił równowagę i upadł na podłogę.

Francesca niezwłocznie wymierzyła mu kopniaka. Celowała w głowę, ale zdążył się uchylić i cios zatrzymał się na ramieniu. Nie tracąc czasu, szarpnęła się ku drzwiom i pociągnęła za klamkę.

Na zakręcie pojazd nieco wytracił prędkość, a potem zwolnił jeszcze bardziej. Otworzywszy drzwi, Francesca zorientowała się, że jadą przez targowisko. Zbliżał się świt i przekupnie rozkładali już towar w kramach wzdłuż ulicy, woźnica musiał więc jechać ostrożniej. Wciąż ścisnęła klamkę otwartych drzwi. Wydawało jej się, że pojazd toczy się za szybko, by spróbować skoku, ale kątem oka zauważyła, że Perkins gramoli się z podłogi, więc szepcząc pod

nosem słowa modlitwy, nie czekała dłużej, tylko odbiła się z całej siły, mając nadzieję, że uda jej się nie wpaść pod koła.

Oczekiwała bolesnego zderzenia z ziemią, upadła jednak bokiem na stragan wypełniony częściowo owocami. Właściciel, który właśnie wyładowywał następne skrzynki śliwek i jagód, wydał okrzyk wściekłości i upuścił kolejną partię towaru. Chwycił ją za ramię i potrząsnął nią nad ruinami swojej wystawy.

- Co ty wyrabiasz, głupia babo?!

Francesca szarpnęła się gwałtownie. Za plecami słyszała wrzaski Perkinsa, wydającego polecenie woźnicy. Ostatkiem sił wyrwała się przekupniowi i pognąła przed siebie.

Bruk był nierówny i boleśnie obijała sobie bosc stopy. Przekonała się również, jak trudno jest biec ze związanymi rękami. Wciąż jednak parła naprzód. Rozległy się okrzyki i pogwizdywania, a jeden z kramarzy gwizdnął przeciągle na palcach i zaczął bić jej brawo, jakby brała udział w wyścigu.

Nikt jednak nie próbował powstrzymać Perkinsa i jego kroki dudniły za jej plecami coraz głośniej. W końcu rzucił się na nią i oboje upadli na ziemię. Francesca znalazła się pod spodem, a uderzając o ziemię, poczuła ból w boku i gwiazdy zatańczyły jej przed oczami. Perkins wstał, podniósł ją z ulicy i zaczął nieść z powrotem do powozu. Oszołomiona Francesca nawet nie była w stanie skutecznie zaprotestować, jej opór był bardzo wątkły.

- Cicho, moja droga - powiedział irytująco spokojnym głosem. - Wiem, że się przestraszyłaś, ale wszystko będzie dobrze. - Do gapiów zaś zwrócił się ze słowami: - Bardzo przepraszam za żonę. Ostatnio bardzo źle się czuje. Straciła nasze dziecko i przez to trochę pomieszało jej się w głowie.

- Nie! - zdołała krzyknąć Francesca.

- Spokojnie, nie bój się. Pojedziemy do domu i doktor ci pomoże.

- Ej, ej! - Krzepki sprzedawca owoców podszedł do nich, wskazując na swój kram. - Kto mi zapłaci za te wszystkie straty? Arystokraci! Ciągłe im się spieszy i wszystko rozwalają.

Perkins sięgnął do kieszeni i wyjął kilka monet. Rzucił je kramarzowi, co nieco go ułagodziło. Potem wepchnął Francescę do powozu.

- Spokojnie, moja droga, spokojnie - powiedział głośno i zatrzasnął za nimi drzwi.

Skoczyła na niego z paznokciami, ale zdołał się uchylić. Tymczasem powóz oddalał się z miejsca ostatnich wypadków. Perkins przewiązał usta Franceski fularem i w ten sposób skutecznie uniemożliwił jej krzyki. Unieruchomił jej również nogi w kostkach, obwiązując je sznurem.

- Gotowe! - Pochylił się nad nią i powiedział z nutką uznania: - Ostra jesteś, tego nie podejrzewałem. - Uśmiechnął się obłeśnie. - Może dzisiejszy wieczór okaże się ciekawszy, niż myślałem. Nigdy nie lubiłem kobiet, które leżą sztywno jak kłoda. Może jednak coś potrafisz pokazać, hę?

Przesunął dłonią po ciele Franceski, aż wzdrygnęła się z obrzydzenia.

- Masz nawet więcej krągłości, niż mi się zdawało. - Wybuchnął śmiechem, gdy przeszła go morderczym spojrzeniem. - O, i jest dużo lepiej, kiedy się nie odzywasz.

Z powrotem zajął miejsce na siedzeniu, ją zaś zostawił na podłodze. Francesca zdołała usiąść, potem kucnąc, wreszcie z wysiłkiem wdrapała się na ławę naprzeciwko, starając się znaleźć jak najdalej od Perkinsa. Stopy bolały ją od biegu po kamieniach, a do tego drętwiały od więzów. Również ręce miała mocno skrępowane, a fular nie tylko kneblował jej usta, lecz również przy każdym ruchu boleśnie szarpał ją za włosy. Była cała posiniaczona i obolała, ale miało to również swoją dobrą stronę. Musiała walczyć z bólem i to chroniło ją przed popadnięciem w rozpacz.

Dokąd jechali? Tego nie wiedziała, obawiała się jednak, że aż nadto dobrze wie, co Perkins zamierza z nią uczynić, kiedy dotrą do miejsca przeznaczenia. Zimno jej się robiło, gdy uświadamiała sobie, co ją czeka. Na wszelki wypadek spróbowała pomyśleć o czym innym. Zaczęła się zastanawiać, czy ktokolwiek ze służby zauważył Perkinsa, kiedy wynosił ją z domu do powozu. Z pewnością

nie zachowywała się cicho na schodach. Ktoś na pewno się obudził. Tylko co mogli zrobić służący, nawet jeśli jeden z nich wybiegł i rozpoznał porywacza?

Nie mieliby pojęcia, dokąd Perkins ją uwiózł. A nawet gdyby wiedzieli, to do kogo zwróciliby się o pomoc? Fenton mógłby pomyśleć o Rochfordzie, czy jednak księżę zainteresuje się jej losem?

Maisie mogłaby szukać pomocy u Irene. Ponieważ Callie wyjechała, pozostawała Irene jako najlepsza przyjaciółka Franceski. Można by wezwać Dominica, ale jazda do Redfields zajęłaby co najmniej dzień. Gdyby Fenton podjął taką decyzję, oznaczałoby to dużą stratę czasu. Zanim Dominie stanąłby w Londynie, trop byłby całkiem zimny. Nie ulegało wątpliwości, że Perkins zdążyłby się na niej zemścić.

Najbardziej liczyła więc na Irene. Gideon na pewno wiedziałby, co w tej sytuacji należy przedsięwziąć. Może ktoś ze służby jednak zauważył porwanie...

Wolała nie dopuszczać do siebie myśli, że mogło być inaczej. Tymczasem zaczęła usilnie zastanawiać się nad ucieczką. Skuliła się na siedzeniu, starając się wyglądać na śmiertelnie przestraszoną. Ukradkiem poruszała dłońmi, próbując w ten sposób poluzować więzy. Tkanina boleśnie wrzynała się w ciało, ale to nie zniechęcało Franceski. Szarfa i tak była gładka w przeciwieństwie do sznura, którym Perkins skrępował jej nogi.

Niestety, żeby nie wzbudzić podejrzeń Perkinsa, musiała ograniczyć ruchy. Skutki mocowania się z szarfą nie były obiecujące. Nie udało jej się oswobodzić ręki, a co gorsza, przy okazji tych zabiegów węzeł na nadgarstkach zacisnął się jeszcze mocniej. Próbowwała również walczyć z pętami na nogach, tych jednak Francesca nie zdołała nawet poruszyć.

Po pewnym czasie powóz zwolnił. Nie wiedziała, gdzie się znajdują, bo zaciągnięte firanki zasłoniły widok. Zerknęła więc na Perkinsa, na którego ustach pojawił się znajomy obleśny uśmiech, przejmujący ją dreszczem.

- Jesteśmy na miejscu. Chyba nie myślałaś, że będę bez końca czekał na swoje. Nie należę do cierpliwych.

Francesca przesłała mu spojrzenie pełne pogardy, w odpowiedzi na które radośnie zarechotał.

- Możesz sobie tak patrzeć, ile chcesz. Niedługo się to zmieni. Już słyszę twoje błaganie. - Pochylił się nad Francescą. - Ten sukinsyn Rochford będzie musiał żyć z myślą, że go ubiegłem. Nie spodoba mu się to, he? Taki wielki książę, a dowie się, że jego nieoceniona dama jest ladacznicą jak każda inna. Nic nie poradzi na to, że przeorałem tę bruzdę pierwszy.

Gdyby nie knebel, Francesca niechybnie splunęłaby mu w twarz. Pozostawało w napięciu czekać na rozwój wypadków. Chwila, gdy Perkins wyciąga ją z powozu, była najlepsza do wszczęcia hałasu, lecz w stanie, w jakim się znajdowała, były na to małe szanse. Miała nadzieję, że przystanąłi przed zajazdem, gdzie znajdują się ludzie. Widok skrępowanej i zakneblowanej kobiety z pewnością nie wyda im się normalny. Może komuś przyjdzie do głowy zapytać, co się właściwie dzieje.

Inna sprawa, że była noc, w najlepszym razie zbliżał się świt. Goście zajazdu zapewne smacznie spali. Co gorsza, mogli przecież podjechać do jakiegoś domu na obrzeżach miasta, gdzie pies z kulawą nogą nie zainteresuje się jej losem.

Perkins pochylił się, więc Francesca wcisnęła się głębiej w kąt, zdecydowana stawić opór. Zdziwiła się, gdy zamiast chwycić ją za ramię i wypchnąć na zewnątrz, złapał za wolny koniec szarfy krępującej jej ręce i przywiązał go do okucia drzwi powozu.

Potem dwoma palcami uniósł jej podbródek, uszczypnął ją boleśnie i odszedł. Francesca patrzyła za nim, gotując się z bezsilnej złości. Szarpnęła ramionami, ale i ten węzeł był mocny. Spróbowała dobrać się do niego palcami, ale na nic się to zdało, zwłaszcza że miała całkiem zdrętwiałe ręce.

Z rozpaczy kopnęła w burtę powozu. Zachęcona hukiem, jaki spowodowała, zaczęła kopać regularnie, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Zdawało jej się, że mijają wieki. Na przemian kopała w burtę powozu i starała

się poluzować więzy. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy Perkins nie zamierza jej zostawić w tym miejscu na resztę nocy. Wreszcie jednak otworzył drzwi i znów wsiadł do pojazdu.

- Ale hałasujesz. - Pokręcił głową. - Powinnaś się wreszcie zmęczyć.

Wokół rozszedł się mocny odór alkoholu i Francesca zorientowała się, że Perkins musiał podczas postoju sporo wypić.

- Załatwiłem pokój dla mnie i mojej biednej chorej żony - powiedział i spod siedzenia wyciągnął obszerną ciemną pelerynę z kapturem.

Narzucił jej okrycie na ramiona i zawiązał pod szyją. Teraz nie mogła go już dosięgnąć, choć próbowała jeszcze kopnąć spętanymi nogami. Ten problem rozwiązał jednak, przyciskając jej nogi do burty. Potem nasunął jej kaptur na twarz, a przywiązaną do okucia szarfę przeciął nożem. Mocno otulił Francescę peleryną, uniemożliwiając jej w ten sposób jakikolwiek ruch. Dopiero wtedy wyciągnął ją z powozu. Niósł ją niby dziecko, a peleryna zasłaniała jej twarz oraz więzy. Z boku musiała zapewne wyglądać jak ktoś chory pogrążony we śnie.

Ze słów Perkinsa wywnioskowała, że są w zajeździe, godzina była jednak zdecydowanie zbyt wczesna, by ktokolwiek kręcił się na dole. Wkrótce powinna wstać służba, ale tę czekała praca w kuchni, a nie obserwowanie gości zajmujących pokoje. Nie widziała dla siebie żadnej szansy.

Musiała jednak sprawić nieco kłopotów Perkinsowi, słyszała bowiem, jak sapie, wspinając się po schodach, a raz stęknął i omal jej nie upuścił. Dotarwszy do pokoju, zamknął za nimi drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Cisnął Francescę na łóżko, soczyście zaklął najwyraźniej zadowolony, że skończyły się kłopoty. Potem podszedł do komódki naprzeciwko, na której stała taca z karafką i szklaneczkami. Nalał sobie trunku, szybko go przełknął i ponownie napełnił szklaneczkę.

Francesca zdołała przesunąć się na brzeg łóżka. Pocieszała się, że Perkins szybko się upije i dzięki temu miałyby jakąkolwiek szansę ucieczki. Naturalnie

jednak musiałaby najpierw rozciąć krępujący jej nogi sznur. Nie przestawała jednak snuć różnych planów, bo inaczej niechybnie wpadłaby w czarną rozpacz.

Tymczasem Perkins pochłonął zawartość drugiej szklaneczki. Śledziła go przez cały czas kątem oka. Kiedy odwrócił się, by znowu dolać sobie trunku, uniosła ręce i zaczepiła palce o knebel. Gdy pociągnęła, okazało się, że nieco ustępuje, więc ponowiła wysiłek i zdołała trochę go poluzować.

Perkins zauważył jej manewry i z trzaskiem odstawił szklaneczkę. Zaciśnął jej dłoń na ustach, zanim zdążyła krzyknąć. Potem szybko poprawił knebel. Tymczasem Francesca zdołała przerzucić nogi przez krawędź łóżka, ale Perkins pchnął ją z powrotem tak silnie, że uderzyła o wezłowie.

Ból przeszył jej czaszkę. Oszołomiona nie bardzo wiedziała, co się stało. Tymczasem Perkins przywiązał koniec szarfy krępującej jej ręce do jednej z nóg łóżka. Potem cofnął się i dysząc ze zmęczenia, przyjrzał jej się z uwagą.

- Teraz już nie uciekniesz, co? Związana jak świnia na rzeź. - Uśmiechnął się szeroko wyraźnie zadowolony z tego porównania. - Kwiczeć też niedługo będziesz. - Zarechotał i wrócił do karafki.

Unosząc szklaneczkę, wzniosł szyderczy toast, po czym wychylił trunek do dna.

- Ciekawe, czy nadal będziesz się podobała księciu. Myślisz, że zadowolili się resztkami po mnie? Pewnie nie będzie taki dumny i wyniosły jak zwykle, co?

Nalał sobie kolejną porcję alkoholu, który zaczął robić swoje, bo tym razem Perkins ciężko opadł na krzesło. Jego ruchy stawały się coraz bardziej nieskoordynowane, część whisky przelała się przez krawędź naczynia. Perkins wyprostował nogi.

- Arogancki sukinsyn - powiedział. - Kazał mi wyjechać z Anglii. Wydawało mu się, że będę się przed nim płaszczył. Powiadam ci, on jeszcze nie zna Galena Perkinsa. Nikt mi nie będzie niczego dyktował, a na pewno nie on.

Dokończywszy trunek, odstawił szklaneczkę na komodę i wstał. Chwiejnym krokiem zbliżył się do Franceski. Trzymając się oparcia łóżka, wlepił w nią wzrok. Potem zahaczył palcem dekolt jej koszuli nocnej i mocno pociągnął. Rozległ się trzask materiału, rozdartego aż do talii.

Francesca krzyknęła mimo knebla i spróbowała wierzgnąć nogami. Kopnięcie nie było zbyt mocne, ale i tak sprawiło, że Perkins stracił równowagę, zatoczył się i wpadł na stojak z miską.

Wyraz jadowitej złości na jego twarzy w jednej chwili ustąpił miejsca nienawiści. Rzucił się na Franceskę z ręką uniesioną do ciosu.

W tej samej chwili rozległo się silne uderzenie w drzwi. Perkins zawahał się i odwrócił. Kolejnemu uderzeniu towarzyszył huk, a od drzwi odpadł rygiel. Ułamek sekundy później pojawił się Rochford.

Rozdział dziewiętnasty

Rochford dwoma wielkim krokami dopadł Perkinsa i uderzył go pięścią w szczękę. Ten zatoczył się i wpadł plecami na ścianę przy łóżku. Nie zdążył dojść do siebie, gdy księżę szarpnął go za koszulę, po czym dobrze wymierzonym ciosem nadał mu takie przyspieszenie, że Perkins grzmotnął z kolei w ścianę przy drzwiach, odbił się od niej i osunął na ziemię.

- Wielkie nieba, nic ci nie jest? - spytał Rochford, zwracając się do Franceski.

Delikatnie połączył połę rozerwanej koszuli, aby okryć jej nagość, a potem rozwiązał fular służący za knebel.

- Sinclair! Och, Sinclair! Dzięki Bogu, że przyjechałeś! Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

Pocałował ją w czoło, po czym odwiązał od nogi łóżka. Tymczasem Perkins gramolił się z podłogi. Gdy wreszcie udało mu się stanąć, sięgnął za plecy i nagle w jego dłoni błysnął nóż.

- Uwaga, Sinclair! - krzyknęła Francesca.

Książę w porę się odwrócił, by ujrzeć atakującego Perkinsa. Odskoczył, a gdy przeciwnik przeleciał obok, chwycił go oburącz za ramię i uderzył nim w nogę łóżka. Rozległ się trzask, Perkins krzyknął, nóż wysunął mu się z dłoni. Chwyciwszy go z przodu za koszulę, Rochford wymierzył mu jeszcze dwa sierpowe. Potem obrócił go dookoła osi i z całej siły jeszcze raz pchnął na ścianę.

- Nie..- jęknął staniający się Perkins. - Zostaw mnie, człowieku. Złamałeś mi rękę!

- Ciesz się, jeśli na tym poprzestanę - odparł zimno Rochford. - Za to, że śmiałeś tknąć lady Haughston, mam ochotę pogruchotać ci wszystkie kości. - Aby dowieść prawdziwości tych słów, jeszcze raz rzucił Perkinsa na ścianę. - Jesteś śmieciem i szczerze żałuję, że poprzednio nie zrobiłem z tobą porządku raz na zawsze.

- Nie tknąłem jej! Przysięgam!

- Nie zabijaj go, Sinclair - wtrąciła szybko Francesca. - Rzeczywiście jeszcze nie zdążył.

- Ciesz się, że ci się nie udało, bo inaczej zginąłbyś powolną śmiercią. A tak zgnijesz w więzieniu. Dopilnuję, żebyś stanął przed sądem za zabicie Avery'ego Bagshawa.

Perkins zaczął protestować, ale Rochford po prostu wyrzucił go na korytarz, gdzie zebrała się spora grupka obserwująca tę scenę z żywym zainteresowaniem.

- Hej, gospodarzu, weźcie tego człowieka i zwiążcie. - Rochford pchnął Perkinsa w ręce krzepkiego mężczyzny, który stał o krok przed resztą.

Ten próbował zaprotestować, ale Rochford uciszył go swym nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniem, po czym powiedział:

- Jeśli nie chcecie spędzić nocy za kratkami jako współnik tego przestępcy, to radzę wam go związać i odesłać do sędziego.

Po tym oświadczeniu zapadła cisza. Rochford wycofał się do pokoju i zamknął drzwi, a ponieważ rygiel był wyrwany, zastawił je krzesłem i podszedł do łóżka. Podniósł nóż Perkinsa i porozcinał resztę więzów Franceski. Najwięcej kłopotów miał ze sznurem wokół nóg, który okazał się bardzo solidny.

Nagły dopływ krwi do zdrtwiałych kończyn okazał się dla Franceski bolesny. Rochford roztarł jej stopy, a potem przyjrzał się uważnie, odgarniając włosy z twarzy.

- Naprawdę nic ci nie jest? Czy on wyrządził ci jakąś krzywdę?

W odpowiedzi Francesca w milczeniu objęła Sinclaira za szyję i na dłuższą chwilę przywarli do siebie, jakby w ten sposób mogli zapomnieć o koszmarze minionych godzin.

- Byłam przerażona - szepnęła. - Mam trochę siniaków i guzów, ale poza tym Perkins nic mi nie zrobił. Tylko że bardzo się bałam. Sądziłam, że nieprędko ktoś mnie odnajdzie.

- Na szczęście kamerdyner i służąca przybiegli do mnie natychmiast, gdy zobaczyli, jak Perkins wynosi cię z domu. Pojechałem prosto do jego mieszkania, przypuszczałem bowiem, że właśnie tam cię przytrzymuje. Zostałem tylko służącego, który pakował rzeczy pana, więc bez większego trudu dowiedziałem się, gdzie należy szukać ich właściciela. - Przytknął wargi do jej czoła i szepnął: - Ja też się bałem, że nie zdążę na czas i że jego służący z głupoty wysłał mnie w złe miejsce. Kiedy wyobrażałem sobie, że Perkins może cię skrzywdzić...

- Wszystko w porządku - zapewniła go i pocałowała.

Uznała jednak, że to jej nie zadowala, więc za drugim razem rozkoszowała się smakiem jego ust nieco dłużej. A gdy cofnęła głowę, z kolei Sinclair zapragnął jeszcze jednego pocałunku. Lęk, który towarzyszył mu przez cały czas pościgu za Francescą, zamienił się w gwałtowne pożądanie.

Zaczęli gorączkowo wymieniać pocałunki, jakby obawiali się, że zaraz zostaną rozdzieleni. Nie mogli nasycić się pieszczotami i wkrótce oboje leżeli nadzy, mając poczucie, że poza nimi świat przestał istnieć. Całkowicie oddali się we władanie namiętności, a po wszystkim mocno objęci, napawali się cudowną niemocą.

Francescę zbudziły odgłosy krzątania w zajezdzie. Sinclair wciąż otaczał ją ramieniem, chociaż kołdra dawno zsunęła się z ich ciał. Uśmiechnęła się na myśl, jaki widok zastałby ktoś, kto przypadkiem wszedłby do pokoju. Delikatnie się poruszyła i Sinclair lekko uniósł głowę i natychmiast ją opuścił wyraźnie uspokojony.

- Jak się czujesz? - spytał, całując ją w ramię.

- Cudownie, chociaż jestem mocno obolała. Poczula, jak wodzi palcami po jej plecach, delikatnie dotykając sińców.

- Powinienem był go zabić. Czy on cię uderzył?

- Raz, kiedy mnie złapał. - Przytknęła dłoń do skroni, gdzie również miała siniaka.

Sinclair czule pocałował to miejsce.

- Może poradzę sędziemu, żeby go wypuścił, a potem dopilnuję, by nikt więcej go nie zobaczył.

- Dziękuję za dobre chęci - powiedziała z uśmiechem Francesca. - Wolałabym jednak tego uniknąć. Mimo wszystko miałbyś wyrzuty sumienia.

- Nie sądzę.

- W każdym razie ja tego nie chcę. - Ujęła go za rękę. - Reszta sińców to wynik szarpaniny w powozie. Aha, i jeszcze zderzenia z kramem.

- Czego?

- Zderzenia z kramem - powtórzyła. - Kiedy mnie porwał, przejeżdżaliśmy przez targowisko. Przekupnie właśnie wykładali towar, więc musieliśmy zwolnić. Wskoczyłam z powozu, bo jeszcze wtedy nie miałam związanych

nóg, i wpadłam wprost pomiędzy owoce i warzywa. Dzięki temu na pewno miałam łagodniejsze lądowanie, tylko skrzynki były dość kanciaste.

- To znaczy, że uprzykrzyłaś życie temu łajdakowi. Powiniennem być wiedzieć, że łatwo się nie poddasz - oświadczył z podziwem Sinclair.

- Obawiam się jednak, że właśnie kończyły mi się możliwości. Dlatego bardzo dziękuję za przyjsście z pomocą.

- Zawsze do usług. - Pocałował ją w szyję.

- Musisz być zmęczony tym ciągłym ratowaniem mnie z opresji.

- To mnie nigdy nie zmęczy - zapewnił. - Tym razem wyratowałaś się sama. Gdybyś nie walczyła jak lwica, nie wpadła w te warzywa, to prawdopodobnie nie zdążyłbym na czas. Zawdzięczasz to swojej dzielności i sile.

Pochylił się, by jeszcze raz pocałować ukochaną, a potem westchnął.

- Jeśli jeszcze trochę tu pobędę, to w ogóle nie wstanę.

- Dokąd się wybierasz? - spytała zaniepokojona Francesca.

Usiadła i okryła nagość prześcieradłem w nagłym przypływie wstydlivosti.

- Muszę odwiedzić sędziego w sprawie Perkinsa - wyjaśnił Sinclair, wciągając spodnie. - Po drodze zamówię ci coś do jedzenia i kąpiel, jeśli sobie życzysz.

- O tak!

Rochford cmoknął ją na pożegnanie w czubek nosa i powiedział:

- Postaram się znaleźć ci jakąś suknię. Wprawdzie byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś towarzyszyła mi w drodze powrotnej do Londynu ubrana tylko w koszulę nocną, ale zasady przyzwoitości nakazują większą staranność.

- To prawda - przyznała.

Gdy odsuwał krzesło i zamykał za sobą drzwi, już zaczynała za nim tęsknić. Sinclair mógł wychwalać jej dzielność, ona jednak dobrze pamiętała swoje niedawne przerażenie. Trochę tego lęku jeszcze się w niej tliło, mimo że Perkins z pewnością był dobrze strzeżony.

Dwie służące przyniosły długą metalową wannę. Dużo jej brakowało do porcelanowej, jaką Francesca miała w domu, ale zanurzenie w gorącej wodzie było tak przyjemne, że zarówno ciasnota, jak i mało elegancki wygląd przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. W dodatku pyłowanie służących pomogło jej się odprężyć i zapomnieć o trudnych chwilach. Nawet ich ciekawskie spojrzenia wydały jej się czymś tak zwyczajnym, że odczuła to jak miły powrót do normalności.

Po ich wyjściu oparła się wygodnie i natychmiast zaczęły jej ciążyć powieki, ale lekkie skrzypnięcie sprawiło, że natychmiast je uniosła. Na szczęście był to Rochford. Zamknął za sobą drzwi, sycąc wzrok widokiem ciała ukochanej. Na wargach igrał mu rozmarzony uśmiech.

- Wyglądasz niezwykle atrakcyjnie - powiedział, rzucając na łóżko zawiniątko.

- Może chcesz do mnie dołączyć? - zaproponowała śmiało, wychylając się z wanny.

- Boję się, że mogłoby nie wystarczyć miejsca dla nas dwojga. - Usiadł na krześle i ściągnął buty. - Z przyjemnością wytrę cię, kiedy wyjdiesz z wody.

Zdjął surdut i zaczął rozpinać guziki koszuli. Pochylił się nad Francescą, opierając ręce po obu stronach wanny i bez pośpiechu, z wielką czułością pocałował ukochaną, po czym postawił ją na nogi i mocno objął.

- Zamoczysz się.

- Nic mnie to nie obchodzi - odrzekł, całując ją namiętnie.

Nie spieszyli się z pieszczotami. Długo ciesząc się każdą i starając się, by było ich jak najwięcej, odwlekali chwilę ostatecznego spełnienia, aż w końcu ich ciała lśniły kropelkami potu. Razem przekroczyli czarodziejską granicę, za którą była już tylko droga prowadząca na szczyt rozkoszy, a potem leżeli obok siebie w stanie błógiego letargu.

- Francesco...

- Uhm?

- Przepraszam za wszystko, co wczoraj powiedziałem.

Francesca nagle zdrętwiała, a na jej twarzy pojawiła się nieufność.

- Sinclair, nie...

- Pozwól mi dokończyć. Chcę cię poślubić, kiedykolwiek będzie ci to odpowiadać. Chcę, żebyś została moją żoną.

- Proszę, nie psuj tego. - Odsunęła się od niego, ale wyciągnął ramię i ją przytrzymał.

- Nie pozwolę ci znowu ode mnie uciec.

- Nie uciekam.

Nagle nagość zaczęła jej przeszkadzać, więc zasłoniła ciało prześcieradłem i usiadła.

- A jak to inaczej nazwiesz? - Puścił jej ramię i usiadł obok. - Nie jestem głupcem, Francesco, bez względu na moje wczorajsze zachowanie. Odezwała się we mnie urażona duma z powodu tego, co zaszło przed piętnastoma laty. Kiedy jednak spojrzałem na to wszystko z dystansu, zrozumiałem... Wiem, że mnie kochasz, i nie próbuj mi wmawiać, że jest inaczej.

- Oczywiście, że cię Kocham!

Łzy napłynęły jej do oczu, więc szybko zeskoczyła z łóżka i chwyciła zawiniątko, które przyniósł jej Sinclair. Nie mogła sprzeczać się z nim, stojąc przed nim nago. W pośpiechu włożyła bieliznę, a na nią skromną suknię.

Rochford poszedł za jej przykładem i wciągnął spodnie. Policzki miał wyraźnie ciemniejsze niż zwykle, a w oczach malowały mu się złość i zawiedziona nadzieja.

- Dlaczego odmawiasz, kiedy ci się oświadczam? - zagrzmiał. - Do diabła, Francesco, nie uwierzę, że powoduje tobą kokieteria.

- Oczywiście, że nie! Jak możesz nawet pomyśleć coś takiego? Gdybyś posłuchał mnie wczoraj, zamiast szarżować jak zraniony byk, wyjaśniłabym ci.

Przez chwilę jego twarz mieniła się wszystkimi odcieniami złości i zdawało się, że Sinclair znowu wybuchnie. Udało mu się jednak zapanować nad gniewem i tylko powiedział posepnie:

- Wyjaśnij więc, postaram się nie zachowywać jak byk.

Francesca nabrała powietrza do płuc. Teraz, gdy wreszcie mogła mu wytłumaczyć, okazało się to wyjątkowo trudne. Łzy cisnęły jej się do oczu i gardła.

- Po prostu kieruję się rozsądkiem.

- Rozsądkiem!

- Właśnie tak! Myślę o przyszłości. O twojej przyszłości.

- Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób, chyba że chcesz, aby moja samotność ciągnęła się nieznośnie długo.

- Jesteś księciem. Musisz się dobrze ożenić.

- A ty nie jesteś dość dobra jako kandydatka na księżnę? Muszę powiedzieć, moja droga, że z taką skromnością jeszcze u ciebie się nie spotkałem.

- Dobrze wiesz, że nie nadaję się na księżnę - odparła Francesca. - Problem nie leży w pochodzeniu, tylko we mnie.

- Pod jakim względem się nie nadajesz?

- Pod wieloma. Nie jestem chłodna ani wyniosła. Nie czytuję poważnych dzieł i nie angażuję się w uczone dyskusje. Znam się na plotkach, modzie i przyjęciach. Jestem kapryśna i zmienna. Różnimy się jak ogień i woda. Niechybnie szybko się mną znudzisz i pożałujesz, że mnie poślubiłeś.

- Francesco... najdroższa... jak na kogoś, kto tyle wie o miłości, czasem wykazujesz zaskakujący brak przenikliwości. Gdybym chciał znaleźć kogoś dokładnie takiego jak ja, zadowolilibym się życiem w samotności. Nie marzę o poślubieniu kobiety o aspiracjach naukowych ani nudziary, ani takiej, która niemal pęka z dumy, wymawiając swoje nazwisko. Będę czytał opasłe tomiska i toczył poważne dyskusje, a ty - twarz mu złagodniała - będziesz wydawać

przyjęcia, czarować naszych przyjaciół, zjednywać sobie dzierżawców i budzić u wszystkich podziw, że udało mi się znaleźć taki klejnot. I codziennie będziesz sycić moje oczy pięknem. - Ujął Francescę za ramiona i delikatnie pocałował w usta. - Wierz mi, że dużo wiem o żalu. Żyję z tym uczuciem od piętnastu lat, ale na pewno nie pożałuję tego, że cię poślubiłem. Twoja zmienność, upodobanie do zabawy, wesołość, śmiech... To wszystko wydaje mi się czarujące. Chcę się śmiać. Chcę nawet, żebyś od czasu do czasu trochę temperowała moje wybujałe poczucie godności. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że jesteś wszystkim, czego pragnę u żony?

Francesca chętnie poddałaby się i przyznała, że nic nie przyniosłoby jej więcej szczęścia niż to małżeństwo. Musiała jednak być silna.

- Jestem wdową, i to wcale nie najmłodsza - zwróciła mu uwagę.

- Nie dbam o to - powiedział, krzyżując ramiona.

Spojrzała na niego zboląta. Nie miała pojęcia, jak przejdą jej te słowa przez ściśnięte gardło.

- Nie mogę mieć dzieci! - wydusiła z siebie w końcu.

Sinclair znieruchomiał. Po chwili delikatnie przyciągnął ją do siebie.

- Francesco, tak mi przykro.

Wtulił twarz w jej włosy. Francesca przywarła do niego bezbronna wobec jego czułości. Z żalem myślała, że ojciec dziecka, które straciła, nigdy nie dał jej niczego podobnego.

- Czy jesteś pewna? - spytał po chwili Rochford.

Skinęła głową.

- Straciłam dziecko w czasie, gdy byłam mężatką. Doktor powiedział mi wtedy, że drugiego prawdopodobnie nie będę miała. I rzeczywiście ani razu nie poczęłam. - Zerknęła na niego smutno. - Teraz wszystko rozumiesz.

- Rozumiem, że przez wiele lat nosisz w sobie smutek. Czy właśnie dlatego nie chcesz mnie poślubić?

- Naturalnie! Księżę Rochford nie może wziąć za żonę bezpłodnej kobiety. Musisz sprowadzić na świat dziedziców. Z twoim nazwiskiem i tytułem łączy się odpowiedzialność, rodzina tego od ciebie oczekuje.

- Nie wspominaj, proszę, moich obowiązków. Żyję nimi, odkąd pamiętam. Od czasu, gdy skończyłem osiemnaście lat, nieustannie staram się dbać o dobro imienia rodu, pilnuję, by go nie splamić ani nie zhańbić. Nie zamierzam poświęcić całego życia na ołtarzu Rochfordów. Jestem nie tylko księciem, jestem również człowiekiem i chcę się ożenić zgodnie ze swoimi upodobaniami, a nie oczekiwaniami rodziny. Nie dla nazwiska, nie dla majątku, lecz dla siebie! I to właśnie ty jesteś kobietą, którą pragnę mieć za żonę. To ciebie kocham.

Francesca szerzej otworzyła oczy ze zdumienia.

- Kochasz mnie?

- Naturalnie. Czyż nie o tym cały czas rozmawiamy? Kocham cię i chcę cię poślubić.

Francesca z wrażenia opadła na krzesło.

- Nigdy tego nie powiedziałaś.

- Nigdy? - zdumiał się. - Poprosiłem cię, żebyś została moją żoną. Robiłem to nawet trzykrotnie. Z jakiego powodu miałbym ci się oświadczać?

- Ponieważ pochodzę z dobrej rodziny z wielkimi tradycjami. Byłabym do zaakceptowania. Wy tłumaczyłeś mi dokładnie przy pierwszych oświadczeniach, jak stosowny i właściwy byłby nasz związek. Wspominałeś, że dobrze się znamy, a nasze rodziny są...

- Próbowałem przekonać ciebie, nie siebie - odparł. - Dobrze wiedziałem, że chcę cię poślubić, i nie miało to nic wspólnego z twoją rodziną.

- Pragnąłeś mnie. Rozumiem to. Zdaję sobie sprawę z tego, że moja twarz i figura podobają się mężczyznom.

- Kiedy zobaczyłem cię wtedy w Boże Narodzenie na przyjęciu u mnie w domu, gdy pierwszy raz miałaś upięte włosy i długą suknię, zachwyciłem się i nieodwołalnie oddałem ci serce. Francesco... ja płonę. Znowu stałem się tamtym

młodym chłopcem. Ilekroć wchodzisz do pokoju, w którym jestem, uginają się pode mną kolana.

- Naprawdę? - Francesca uśmiechnęła się zadowolona. - Kiedy byliśmy zaręczeni, nigdy, no, prawie nigdy mnie nie całowałaś.

- Miałaś osiemnaście lat, ledwie wyszłaś ze szkoły. Sądysz, że powinienem był rzucić się na ciebie?

- Nie, skądże. Nie wydawało mi się jednak, byś mnie kochał.

- Jesteś tak irytująca, że najchętniej mocno bym tobą potrząsnął. Staralem się zachowywać jak dżentelmen, chociaż wcale nim się nie czułem w twojej obecności. - Ujął jej rękę i uniośł do ust. - Nieraz w nocy leżałem, nie mogąc zasnąć, myśląc o tobie, pożądam cię. Nic się nie zmieniło.

- Ale to nie jest miłość.

- Pożądanie nie przetrwa piętnastu lat, od dawna cię kocham. Żadna inna kobieta nie wzbudziła mojego zainteresowania.

- Nie próbuj mi wmawiać, że od piętnastu lat żyjesz w celibacie.

- Nie będę cię okłamywał. Były inne kobiety, ale ich nie kochałem i nie poślubiłbym żadnej z nich. Kiedy ze mną zerwałaś, najpierw starałem się cię znienawidzić, potem zapomnieć. Ilekroć byłem na jakimś przyjęciu i widziałem cię z Haughstonem, czułem się okropnie. Trzymałem się więc z dala. Spędzałem większość czasu w mojej posiadłości, a do Londynu przyjeżdżałem rzadko. Potem jednak Haughston zmarł i... To było z mojej strony wstrętne, ale w dniu jego śmierci odczułem radość.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- A co miałem powiedzieć? Nie potrafiłem cię przekonać, że Daphne skłamała. Po tylu latach wydawało się to niewykonalne. Czasem odnoszę wrażenie, że moim najgorszym wrogiem jest duma. Tłumaczyłem sobie, że nie powinienem kajać się przed tobą. Nie dostrzegłem znaków, które dawałyby mi nadzieję. Po pewnym czasie połączyło nas coś w rodzaju przyjaźni. Zresztą... może brakowało mi odwagi, by zaryzykować ponowną odmowę i upokorzenie.

Odkąd powiedziałaś mi, że wiesz o kłamstwie Daphne, liczyłem, że i twoje uczucia wobec mnie się zmieniają.

- Dlaczego więc zacząłeś szukać żony i poprosiłeś mnie o pomoc?

- A co miałem zrobić? - Na twarzy Sinclaira odmalowała się irytacja. Wielkimi krokami przemierzał pokój tam i z powrotem. - Powiedziałaś, że chcesz mi zrekompensować dawne winy, znajdując dla mnie żonę! Wynikało z tego jasno, że już mnie nie kochasz. Na początku byłem wściekły, ale potem przyszło mi do głowy, że to dobry sposób, abyśmy mogli razem spędzać czas i że mogę dyskretnie do ciebie się zalecać.

- Zamiast zainteresować się pannami...

- Próbowałem zdobyć twoją przychylność.

- Zatem oboje jesteśmy głupcami.

- Tak - przyznał. - Na to wygląda. - Wziął ją w ramiona. - Kocham cię, Francesco, i pragnę cię poślubić.

- Ale dziedzic... - opierała się jeszcze.

- Co tam dziedzic. Majątek może odziedziczyć mój kuzyn Bertram albo jego synowie. A jeśli żadnego nie spłodzi, znajdą się dalsi krewni. Wtedy nie będzie mnie na świecie. Dla mnie liczą się lata, które mi pozostały. Chcę je spędzić z tobą i tylko z tobą.

Ujął ją pod brodę i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Moja ukochana, jesteś jedyną kobietą, której pragnę za żonę. Czy zechcesz mnie poślubić?

Minęła dłuższa chwila, nim Francesca zdołała pokonać ściskanie w gardle.

- Tak, Sinclairze. Chcę cię poślubić.

Pobrali się dwa dni później w Lilles House, w Londynie. Ceremonia była bardzo skromna, bez udziału rodziny i przyjaciół, z wyjątkiem Irene i Gideona, którzy byli świadkami wkładania oblubienicy na palec obrączki ślubnej.

Zanim Rochford oświadczył się Francesce po raz wtóry, uzyskał specjalną licencję, teraz więc skorzystał ze znajomości z narzeczonym lady Maty,

Christopherem Browningiem, i poprosił go o udzielenie ślubu na mocy tego dokumentu. Francesce oświadczył zaś stanowczo, że nie pozwoli, by znów mu się wymknęła. Prawdę mówiąc, ona również chciała jak najszybciej zostać jego żoną.

Po uroczystości, gdy świadkowie odeszli, Rochford ujął żonę za rękę i powiedział:

- Chodź, mam dla ciebie prezent. Roześmiała się i posłusznie ruszyła za nim na górę.

- Jeszcze jeden? O ile pamiętam, zasypałeś mnie nimi bez umiaru. Te wszystkie klejnoty i suknie, które zamówiłam wczoraj u mademoiselle du Plessis...

- To na początek - zapewnił ją z uśmiechem. - Zamierzam kupić ci tyle sukien, że nawet ty nie będziesz w stanie włożyć ich wszystkich, a do nich pantofelki i klejnoty. W trakcie miodowego miesiąca, który spędzimy w Paryżu, wykupimy wszystko, co się da. Musimy nadrobić wiele straconych lat, kiedy nie miałem prawa kupić ci niczego. Musiałem stać z boku i przyglądać się, jak walczysz o to, by dać sobie radę.

Sinclair zaprowadził Francescę do garderoby przylegającej do swojej sypialni. Tam otworzył drzwi w ścianie i jej oczom ukazał się sejf. Wiele półek zajmowała biżuteria. Wyjął dużą mahoniową szkatułkę i zaniósł ją na stół w sypialni.

- Jeszcze klejnoty? - Francesca roześmiała się. - Ile tego wszystkiego mogą posiadać Lillesowie?

- Zapewniam cię, że przerażająco dużo, ale te nie są własnością rodziny Lillesów. Są twoje.

Zaintrygowana Francesca wysunęła dolną szufladkę. Leżał w niej piękny diadem. Zrobiła wielkie oczy, bo klejnot ten należał do jej babki. Dostała go w prezencie, gdy brała ślub z Haughstonem.

- Nie rozumiem...

Wskazał szkatułkę, więc zaczęła wysuwać kolejne szufladki, a jej oczom ukazywały się naszyjniki, bransolety, kolczyki i pierścionki, które kiedyś należały do niej. Rodowy komplet biżuterii z szafirów Haughstonów, który dostała w prezencie ślubnym od Andrew, broszka z pereł i szafirów od Dominica, perłowy naszyjnik od rodziców.

- To wszystko kiedyś sprzedalam! - Francesca wpatrywała się ze zdumieniem w męża. - Ty to kupowałeś?

Skinął głową.

- Zobaczyłem kiedyś naszyjnik na wystawie i przypomniałem sobie, że właśnie taki nosiłaś. Byłem tego pewien, a dodatkowo udało mi się uzyskać potwierdzenie od jubilera. Wyjawił mi, że służąca sprzedaje różne twoje klejnoty. Kupiłem więc naszyjnik i poleciłem mu informować mnie, gdyby pojawiły się następne rzeczy.

- Ach, więc to dlatego uzyskiwałam za nie wysokie ceny! A ja kładłam to na karb handlowych talentów Maisie. - Francesca roześmiała się radośnie. - Do głowy mi nie przyszło, że ty...

- Złote i srebrne naczynia są na dole, w schowku kamerdynera.

- Ojej, też je kupiłeś? Nie musiałeś...

- Wydawało mi się, że nie przedstawiały dla ciebie szczególnej wartości, ale wolałem się upewnić...

- Za nie też dostałam podejrzenie dużo pieniędzy.

- Przepraszam, ale nie udało mi się odkupić twojej obrączki ślubnej. Jubiler sprzedał ją wcześniej.

- To akurat nie ma znaczenia.

Francesca wreszcie w pełni zrozumiała, jak bardzo Sinclair ją kocha. Tyle zrobił dla niej przez te lata, nie oczekując niczego w zamian, nie zastanawiając się, czy jego miłość jest odwzajemniona, wiedząc, że uwierzyła w kłamliwe opowieści na jego temat. Wbrew temu wszystkiemu próbował ją wspierać, bo chciał jej pomóc, ponieważ nie mógł znieść widoku jej borykania się z biedą.

Pojęła, że przez cały czas nad nią czuwał. Przypomniał jej się zeszłoroczny zakład o znalezienie męża dla Constance, a także sposób, w jaki Rochford skłonił cioteczną babkę do skorzystania z jej usług przy szukaniu żony dla Gideona, oraz suma, jaką dał kamerdynerowi na utrzymanie Callie, daleko przekraczająca potrzeby. Ujęła męża za rękę.

- Ważne jest tylko to, że chciałeś te przedmioty kupić. Kocham cię bardziej, niż można to wyrazić słowami.

- To dobrze, bo ja kocham cię jeszcze mocniej.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Dotknął bransoletki, którą przegrał w zakładzie. Miała ją na sobie dzisiaj, podobnie jak szafirowe kolczyki. W zadumie przesunął palcem po kamieniach.

- Spodziewałem się, że będę musiał zapłacić naprawdę wysoką cenę za te klejnoty i obawiałem się, że sprzedałaś je gdzie indziej. Ale kiedy przybiegłaś do mnie po ratunek, zobaczyłem, że wciąż je masz... Dlaczego ich nie sprzedałaś?

- Nie byłam w stanie - odpowiedziała ze łzami w oczach. - Były częścią ciebie.

- Och, kochana. - Przyciągnął ją mocno do siebie. - Teraz masz mnie całego. I zawsze będziesz miała - zapewnił i pochylił głowę spragniony pocałunku.

Epilog

Boże Narodzenie, osiemnaście miesięcy później

Rozległy dwór w Marcastle był świątecznie udekorowany jemiolą, gałęziami ostrokrzewu i świerku. Do Bożego Narodzenia brakowało kilka dni, powoli jednak zaczęli zjeżdżać goście. Callie i Bromwell byli na miejscu, podobnie jak Irene z Gideonem. Constance z Dominikiem przyjechali

poprzedniego dnia i wydawało się, że to oni przywieźli cały ten śnieg, który właśnie spadł.

Księżna wdowa dostała jak zwykle pokój w południowej wieży, daleko od skrzydła zajmowanego przez dzieci. W sąsiedztwie księżnej mieszkali rodzice Franceski, hrabiostwo Selbrooke, oraz cioteczna babka Odelia, która mimo swoich osiemdziesięciu jeden lat za nic nie pominęłaby takiego ważnego zgromadzenia. Od ostatnich chrzcin przyszłego księcia Rochford minęło trzydzieści dziewięć lat.

Mimo że były święta, to przede wszystkim ta uroczystość ściągnęła do Marcastle tylu gości. Chrzczono trzymiesięcznego Matthew Sinclaira Dominica Lillesa, piątego markiza Ashlocke, który miał kiedyś przejąć tytuł księcia Rochford. Przewodniczył ceremoniałowi proboszcz z kościoła Świętego Swithina, który półtora roku wcześniej udzielił ślubu rodzicom malca. Wspomagał go miejscowy duchowny z domowego kościoła Lillesów pod wezwaniem Świętego Edwarda Wyznawcy, nieco zresztą zazdrosny o młodego człowieka i pieczołowicie pilnujący swoich praw.

Takiego wydarzenia w Marcastle dawno nie pamiętano. Ponieważ ślub księstwa był cichy i nikt z miejscowych w nim nie uczestniczył, teraz wszyscy chcieli, aby dwa świąteczne tygodnie stały się okresem zupełnie wyjątkowym. Planowano bale, podwieczorki i inne atrakcje, a w razie sprzyjającej pogody również zabawy na świeżym powietrzu, w tym ślizganie się na łyżwach na pobliskiej sadzawce, która na szczęście zamarzła, zanim spadł śnieg.

Służba już od wielu tygodni przygotowywała rezydencję, gorliwie dokonując napraw, sprzątając i dekorując. Księżna zdołała przez półtora roku zaskarbić sobie serca wszystkich, chciano więc, aby dom mógł być dla niej powodem do dumy. Zamówiono towary z Londynu, a także z Norwich i Cambridge. Kucharka była ostatnio zajęta jak dzień długi i bezlitośnie łajała podwładnych. Do sprzątanania i podawania potraw najęto dodatkowych ludzi.

Główny aktor tego zamieszania, cherubinek z kilkoma czarnymi loczkami i różowymi policzkami, smacznie spał w łóżeczku, całkiem nieświadom tego, co czekało go za niecałą godzinę. Niedaleko inny pokój dziecięcy wypełniały radosne okrzyki i chichoty szesnastomiesięcznej Ivy FitzAlan, która biegała dookoła stołu i co chwila wyglądała zza krawędzi, by zobaczyć, czy już widać goniącego ją papę Dominica. Lord Leighton, mimo że poruszał się na czworakach całkiem sprawnie, wciąż jednak był daleki od złapania stąpającego chwiejnymi krokami brzdąca i tylko raz po raz wyskakiwał zza stołowej nogi z okrzykiem „Buuu!”. To naturalnie powodowało kolejny wybuch radości.

Jej matka, Constance, w mało jeszcze widocznej drugiej ciąży, przyglądała się tym harcom z kanapy, na której siedziała, rozmawiając z Irene. Przy kolanie tej drugiej stał roczny chłopiec z burzą złocistych loczków i zaciskając ręce na spódnicy mamy, usiłował utrzymać pion. Mimo wysiłku, jaki wkładał w tę sztukę, z zainteresowaniem obserwował pogoń wokół stołu i od czasu do czasu sam też wydawał radosne okrzyki.

Obie mamy poznały się rok wcześniej, kiedy rodziny zjechały na Boże Narodzenie do Redfields i Dancy Park. Szybko się zaprzyjaźniły i podtrzymywały kontakt, prowadząc ożywioną korespondencję. Ponieważ jednak w listach nie można było napisać wszystkiego, z zapałem wymieniały się nowinami.

Liczyły się zresztą z tym, że dużą część tych wiadomości trzeba będzie powtórzyć w obecności Callie, która właśnie zajmowała się w sypialni swoim pięciomiesięcznym synem Graysonem. Bromwell i Gideon siedzieli tymczasem w bibliotece na dole i bez wątpienia prowadzili jedną z niekończących się rozmów o interesach. Trzeba było po nich wkrótce pójść, bo pochłonięci dyskusją, byli gotowi zapomnieć o chrzcinach.

- Kochanie, już prawie czas - zawołała do Dominica Constance. - Lepiej powiedz piastunce, żeby położyła Ivy spać. - Nie dodała tylko, że tak rozbawione dziecko będzie zapewne trudno uśpić.

- Wiem, wiem. Muszę się tylko przebrać. - Brat Franceski wstał, chwycił córkę i poderwał ją wysoko do góry, głośno cmoknął w brzusek i oddał pod opiekę cierpliwie czekającej niani. - Nie codziennie człowiek zostaje ojcem chrzestnym.

Również Irene przekazała Philipa pod opiekę piastunki, popieściwszy jeszcze jego pachnącą, pulchną szyjkę. Opuściła pokój razem z Constance, a za nimi wyszedł Dominic.

- Wiesz, nigdy nie chciałam zostać matką - mówiła Irene - a teraz żałuję, ilekroć muszę go zostawić. On już prawie nauczył się chodzić. Mam takie wrażenie, jakby jego życie mi uciekało.

Constance skinęła głową.

- Tak. Przecież wydaje się, że jeszcze wczoraj Ivy była taka jak dziś Grayson. - Westchnęła głęboko. - Biedaczka. Co ona robi, dorastając wśród tylu nieznośnych chłopaków. Bez wątplenia będzie całkiem szalona albo, co gorsza, wyrośnie na mistrzynię flirtów.

Irene roześmiała się.

- Jestem pewna, że będzie cicha i pełna uroku jak jej matka.

Zatrzymali się, by zajrzeć do pokoju, w którym smacznie spał Matthew. W nogach łóżeczka stali jego rodzice, z zachwytem wpatrzeni w następcę. Irene, Constance i Dominic wymienili znaczące spojrzenia i ruszyli dalej korytarzem.

Tymczasem Francesca wsparła się na ramieniu Sinclaira i wydała szczęśliwe westchnienie.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Ile razy biorę go na ręce, mam wrażenie, że dokonał się cud.

Książę pochylił się i pocałował żonę we włosy.

- Można tak powiedzieć.

- Może będą następne - dodała z uśmiechem Francesca.

- Mam nadzieję, że nie za szybko.

Okres, gdy Francesca była przy nadziei, zapamiętał jako pasmo strapień, a choć bardzo kochał syna, to wcale nie spieszyło mu się do powtórzenia wcześniejszych doświadczeń. Objął żonę i mocniej ją do siebie przyciągnął.

- Szczęśliwa? - spytał, pochylając się nad nią.

- Całkowicie - odparła. - Nie sądziłam, że będę miała takie zdrowe i piękne dziecko, wręcz wcielenie doskonałości. - Wspięła się na palce, by móc dosięgnąć ust Sinclaira. - I że będę tak kochała męża.

- W dodatku po tylu miesiącach małżeństwa - zażartował. - To jest dopiero cud.

- W tym akurat nie ma nic nadzwyczajnego - odparła, poważniejąc. - Dobrze wiem, że będę kochać cię do końca życia. Myślę, że właśnie dzięki temu poczęłam dziecko. Potrzebna była miłość.

- Gdybyś miała rację, to niech Bóg ma nas w swej opiece, bo ześle nam całą gromadę.

Księżę znów pochylił się nad Francescą, tym razem jednak długo się ociągał z przerwaniem pocałunku. Wreszcie wyprostował się, wzdychając.

- Musimy iść. Nie możemy się spóźnić, bo inaczej pastorzy gotowi się pobić przed chrzcielnicą.

Francesca parsknęła śmiechem.

- I tak nam to grozi podczas uroczystości. - Jeszcze raz zerknęła na syna. - Szkoda go budzić.

- Damy sobie radę - zapewnił ją Rochford, uniósł dziecko i troskliwie owinął je kocykiem.

Malec na moment otworzył oczy, a potem przytulony do papy, znów smacznie zasnął. Wszyscy troje - księżę z synem śpiącym na zgiętym ramieniu i Francescą u boku - wyszli z pokoju, by dołączyć do reszty rodziny i uczcić wspólną przyszłość.